KARYKATURY

studyum sceniczne w czterech aktach.

Nagrodzone na konkursie im. Ignacego Paderewskiego, wystawione po raz pierwszy na scenie Teatru miejskiego w Krakowie dnia 8 kwietnia 1899 r.

AKT II.

Relski i Zosia już od kilku miesięcy mieszkają na Grzegórzkach; pokoik na czwartem piętrze nowo-zbudowanych koszar mieszkalnych, recte na poddaszu. Kuchnię mają wspólną wraz z szewcową panią Walentową; tam gotuje się obiad; makaron jednak można pokrajać u siebie; a w niedzielę wolno zlepić uszka do barszczu. (Siekane grzybki, owinięte w ciasto). Też u siebie. Na stolnicy.

Antoś wyszedł dzisiaj przed dziewiątą rano: w biurze weźmie urlop, u Schwindla ze Szpitalnej frak (półtora guldena za wypożyczenie na 12 godzin i kaucyi dziesiątka!) — bo Antoś dzisiaj, moja pani, zdaje egzamina jakieś tam. Tyż tu nie posprzątane, ani łóżka nawet; człowiek się krząta, kręci, bo ani czasu na uczesanie, a tu obiad trza przyrychtować.

Tylko, moi drodzy, cichutko, no, proszę ja was; słyszycie...:

A.. a,
Kotki dwa,
Szare, bure, obydwa;
A.. a..,
Kotki dwa, szare.. bu..re... Spi. Hysiaj, dzieciątko, hysiaj, gwiazdeczko, hyś!

Zosia, wpatrzona w dziecko z uśmiechem, stoi nad kołyską.

Aha, poduszeczkę trzeba poprawić.

Maleństwo moje.

Która też to godzina?

Dwunasta!

Biegnie ku stolnicy, kraje makaron.

Nóż na ziemię spadł z brzękiem... Aj!... Biegnie ku dziecku. Hysiaj, robaczku! Nie zbudził się: Spi.

Podniosła nóż, staje przy stolnicy.

Wbiega **Walentowa.** Proszę pani!

Zosia. Cicho! Dziecko się zbudzi.

Walentowa. O, jej. Wielgie cuda! szeptem: Proszę pani, jakaś pani. Pyta sie o paniom.

— Kto taki, ktoo?

Walentowa. Taka se pani. W latach już osoba.

— Tu chce przyjść? Po co. Antoś nie kazał nikogo...

Walentowa. Ja też jij mówiłam. Choć ta nie wiem, czego się ta pan tak ludzi boi. Swoja rzec. Nie takie sie na świecie... Panie Boże!

— No, ale kto? jak ubrana?... Mama!!...

Weszła **Matka Zosi,** kobieta zniszczona; lat ma około 50. Twarz sterana. Czarne ubranie przedmieszczanki. Na szyi różaniec.

Zosia podbiega — stanęła, waha się, Nie widziała matki tak dawno. I teraz.

Walentowa do siebie: Matka. Ale, ale!

Matka. Do pani córki nie łatwo się dostać. Nawet matce.

Zosia, milcząc, całuje ręce matki. Oczy ma spuszczone ku ziemi. A w oczach coś, jakby łzy.

Walentowa. Oj, to pani jest matka pani! podaje stołek. Ano, to ja nie wiedzący, musiałam się spytać, bo pan taki jest waryjat... nie, nie, ino.. zatyka sobie gębę.

Zosia. Co też pani Walentowa mówi!

Niech mama się nie gniewa. Bo to Antoś kazał, bo żeby obcy ludzie...

Matka. Hej, matka—to „obcy ludzie!"

— Ale nie — mamo!

Matka rozgląda się. Wstaje, idzie ku kołysce, stoi nad nią. Patrzy na dziecko.

Biedactwo—.

Zosia. Cicho, mamo — śpi. A prawda, śliczny?

Walentowa do matki. Bo pani to już sama nie wie, co z tem robić. A chodzi koło tego, jak nie wiem co!

Pauza.

Matka, siadając. Ano, Zosiu, przyszłam ja do ciebie, skoroś ty do mnie nie chciała. Przez cały rok! Oj wywdzięczyłaś się ty matce za wszystko.

— Niech mama nie gniewa się; ale ja nie miałam śmiałości i bałam się. Antoś, i chora byłam...

Matka. I nawet na pogrzeb nie ..

— Pogrzeb? Kto umarł?

Matka. Ano już dwa tygodnie będzie; mój umar.

— Oj...czym..?!

Walentowa. Ale, halee!

Matka. Panie! świeć nad jego duszą!—.

Ani na pogrzeb—.Bo choć ta ci był ojczymem, ale już na boskim sądzie.

Zosia. Nie wiedziałam.

Walentowa. Umar.pan! Bo pani to już i o świecie zapomniała, a nic nie wie. Ino ciągiem koło dziecka, abo przy panu.

Matka. Ha, no — i dla mnie on ta nie był dobry. Zwyczajnie mąż. Ale już i grzech wspominać, skoro się panu Bogu...

Walentowa. I co się to panu stało, na co się to zmarło?

Zosia. ...Za moją krzywdę!...

Matka wzdycha. Hej, hej. zamyśla się. Ja mu ta nie wypominam bo już i na boskim sądzie, ale pijał i pijał, a mnie do ciebie iść odkazywał; mówił, że zabije. Okrutną miał złość do ciebie.

Ano to mnie było markotno bez ciebie, ale wola Boża. Raz to ci się upił, ja mu ta nie wymawiam, bo po katolicku skończył i coś go potem na wnętrzu paliło: doktorzy nic; i tak już het—!

Z ożywieniem:

A pogrzeb to ci był taki wielgi i trzech księży, jeden jako niby za moje pieniądze, a dwóch od hareštantów; panów ci było tyle, niby, że on był przy sądzie.

Był ta i on... nie wymawiając.., ale zwyczajnie mąż.

Walentowa. Teza: Człowiek nie wi, gdzie, co jak — a że to i już.

Wiele się rzeczy na świecie widziało.

Matka. Ha, no—tak i koniec. I teraz to ja przyszłam tu, niby żebyś się ty do domu wróciła.

Zosia. ...Ja... do domu?!

Walentyna. Ale, ale!

Matka. Bo to widzisz, dziecko, chociaż ty mnie nie uczyniłaś, jako dobra córka, ale ta zawsze matka matką. Ja ci odpuszczam, bo ta i mój troche winien.

Zawsze to przy matce inaczej, a nie tak, na wiarę żyć, boska obraza—.

Zosia. Ale mamo, mamo!—co mama plecie!! Moje prawo przy dziecku i przy Antosiu!

Matka. Twoje prawo przy dziecku? to ja ci przecie dziecka nie wyrzucę za próg.— A pan Antoś, hej pan Antoś! Nie ten to Antoś, co na stancyji stał.

Hej, tak, tak. Ja mu życzyłam, jak matka rodzonemu, a on co?

Walentowa. Bo to, prawdę mówiący, pan to je, choć dobry pan i mądry pan, ale bo jes waryjat—.

Zosia. Moja pani Walentowa!! Niech pani nie tka palca między drzwi. Także coś!!

Chodzi, coś gestykulując.

Co mamie do głowy przyszło, co mamie do głowy przyszło!

Cz.. czy mama wie, że on dzisiaj egzamina zdaje?! czy mama wie, że on się ze mną ożeni? że on mnie kocha, że ja bez niego jednéj godziny nie mogłabym żyć!

Moje prawo ...także coś!

A ta on by mi nie wiem co zrobił, gdyby wiedział, ze mama tu była z takiem gadaniem!

Co mamie do głowy przyszło?

Walentowa. Ano, wiele się rzeczy na świecie widziało, ale żeby pan się z paniom... ha, no—!

Matka. Dziecko miałabyś przy sobie, a on niech płaci. A jakby nie chciał, to do sądu podać!

Zosia. Moja mamo—. Całuje rękę matki. Dziękuję mamie za wszystko dobre, ale niech mama idzie, ja skoczę do mamy kiedy, gdy będę mogła, ale niech mama teraz idzie, żeby mamy tu nawet nie widział, bo ja nie wiem co—!

Walentowa. Bo choć ta pani edukowana, o, jej!—i śliczna, na psa urok, ale, żeby tak coś, niby ślub... ha, no!—wiele się rzeczy...

Matka. Skoro tak ci obiecywał, to czego nie zrobił pierwej—. Ino ściągał i ściągał, aż i teraz już po harapie.—Oj głupia ja matka, żem ja się tobie z nim zadawać dozwalała. Ale człowiek inaczej myślał a dobrze, jakby rodzonemu.

Zosia. A to skaranie Boże! Taże ja mówię mamie, że nie miał lat i nie miał egzaminu jakiegoś tam, a teraz już i wojsko uspokoił i lato i dzisiaj już egzamin... pomyśl se mama, ja profesorową będę—pro, fe, so, ro, wą!!

. . . .

Otwierają się drzwi, wkracza **Wojciech.**

Migdał. Ubrany jest, jak podgórski amant. Młodzian lat 25-u, jedno oko rybie, zresztą cały jest, jak się przynależy.

Idzie manifestującym krokiem, staje front—:

Jézdem Migdoł, hohehé!

Zosia ze śmiechem. Thakże coś! Hahaha! Jak się pan Wojtuś ma.

Walentowa. Wojtuś Migdoł, alealée! Będzie szopa, alé!

Migdał. Towarzyszka mama, mówiła pannie Zofiji?

Matka. Jeszcze nie mówiłam.

Migdał. Ano to wskoczyłem z przeproszyniem, jak kumisarz na paragraf drugi, hohehehe!

Przybiera pozę mówcy; kobiety siadają; śmiejąc się, czekają.

Hrrm! Panno Zofijo! popatrzył w stronę kołyski. Hrrm! —. —E; skoro mi gdzieś wyleciało bez drogę, hohehé!

Zosia. akcent andrusowski. A niechże pan Migdał każe obębnić, może ludzie znajdą.

Migdał. Panna Zofija sama będzie bębnić, hohehe. wyciąga z kieszeni małą manierkę. Możebyśmy prztykneli? prztyka się palcem w podgardle. Jédwabna w kratę! Na rozwiązanie języków! przypija. Pijcie, towarzyszki

podaje Zosi.

Zosia. Idźże pan! Także coś.

Migdał. Pijże, towarzyszko, nó—.

Zosia wzrusza ramionami, podaje manierkę Walentowej: ta pije.

Migdał. Nie, to nie. Takeś sie już towarzyszko na burżujke skierowała!

Matka. Niech pan Migdał już mówi z czem przyszedł.

Migdał. Hrrm! Szanowne zbiegowisko!

Zosia. Hihihihi!

Migdał. Towarzyszko Zofijo i wy mama dobrodziko. Wicie, jakom jest krakoskie dziecko, przez urazy, w durch. Żem jest chłopiec i towarzysz, jak się przynależy. Jak robie, to robie, jak pije, to pije, jak kocham, to kocham—ja sie ta nie bede chwalił. Ale robota sie mi w rękach pali i przed fajerantem fertyk! Niechno majszter nademną se psuje gębę, to mu się zrobi ciepło. Ja sie ta nie będę chwalił.

Ino ryzelucyj tako: nie chcieli, ale musieli, wyzwolili mie, a tu mama dobrodzika, ukłon. nasuwa się na mnie i mówi o pannie Zofiji, niby że my oddawna kamraty... Zosia wstała... i że jako i mnie chyba casz, a niby, wedle opierunku. Ja sie zamyślił, jako głosować, a mama dobrodzika prawi deklaracyj, jako, niby, z przeproszeniem, nie wymawiając, patrzy w stronę kołyski. tee, wedle tego, za hónor...

Matka. Znajdzie się ta w skrzyni do pięćset guldenów, to mnie na stare lata dacie łóżko i w święconej ziemi pochowanie...

Zosia. ...Mamo!!!—E, już nawet szkoda mówić! idzie ku stolnicy, zajmuje się robotą.

Migdał wkłada ręce w kieszenie marynarki; oko przymrużając — prawym łokciem wachluje, bokiem podsuwa się ku Zosi.

Z kim.że, z kim.że panno Zofijo! Z kimże w tany? Z kimże wysuwa!?! To ja pannie serce niese czyrwone, panna nie chcesz gadać?! Z kimże w dyrdy, z kimże okoliczność!.?

A cóż panna Zofija, na taki artykuł:—Dwa tygodnie nima, jak zleciała na mnie kamienica po stryjciu, w Psi Wólce, he?—.

Walentowa. Ale, moja pani, moja pani—hale, hale!

Zosia. A słoma na dachu bardzo zbutwiała? Na tej kamienicy.

Matka. To sie da nową poszywkę, a za pięćset ryńskich warsztat, i będziesz panią.

Migdał. Ja chamów skieruje na towarzyszy, zgromadzynie po zgromadzéniu, szopa po szopie, aż mie z urny wyciągną. Potem do Widnia wyliwę — bede i towarzysz i burżuj, hohehehe.

z serdeczną prośbą:

No, panno Zofijo, jakże będzie, jakże będzie z nami, nó — ?

Walentowa, trzęsąc głową i całą osobą, jako i rękami fartuch gładzący. Wiele się rzeczy na świecie widziało. Ale, ale. Ja ta radze, jako niby ja, to mi się widzi, że pan Wojtuś... Do reśty, jak ta pani uważa.

Zosia przypadkowo głośniej uderzyła nożem w stół. Aj! spojrzała ku kołysce: spi. Syczy: Panie towarzyszu, kiedy pan tu miałeś iść, ile razy piłeś siarowe z mocną?

Migdał. Także sprawozdanie! ściska pięść. Takaś mi panna za moje ochfiarowanie, takie buty!?

Matka. Zosia, pożałujesz ty tego.

Migdał w drzwiach; grozi: Wrócisz sie ty do mnie, towarzyszko moja!

...Towarzysz Relski!!! wszedł Relski.

Zosia. Antoś, joj!

Migdał z radością. A to ja nie myślał, że towarzysz Relski to jest ten sam Relski; hohehe.

Relski stoi nieruchomy. Zmarszczył brwi.

Migdał miele słowa. Hohehe! A co się z towarzyszem działo? Tyle czasu od ostatni szopy, hohehe.

Relski. ...Więc czego. on tutaj. właściwie chce?!! idzie ku Migdałowi.

Zosia drżąca gładzi rękaw Relskiego, jakby chciała burzę zażegnać, a boi się przemówić.

Migdał. O—u! To sie towarzysz... bardzo postarzał. A, kłaniam sie jaśnie wielmożnemu radcy! To ci towarzysz! trzasnął drzwiami, wyszedł.

Relski rzuca kapelusz na łóżko.

Matka stoi, obojętna, zimna.

— Pauza. —

Zosia chce coś powiedzieć. Wi..widzisz, Antoś... mama przyszła...

Relski. Odwiedzić nas pani przyszła—.

Matka. ukłon przesadzony. Witam pana.

Relski. Proszę; niech pani usiądzie. Nie spodziewałem się.

Zosia, zdejmując zarzutkę z Relskiego, cicho. Antosieńku, nie gniewaj się. Że obiad.. i że mama... Relski jest we fraku.

Walentowa. Ej, a tyż to pan wygląda! Jak na bal. Ale, ale!

Relski. A... i pani tu.

Matka. Hm—.Ano przyszłam ja do córki, skoro jej do mnie nie było wolno. Ano pan, kiedy pan był jeszcze Antosiem... dusi łzy. ale, Bogiem a prawdą, nie spodziewałam się takiej wdzięczności po panu.

Zosia. Mamo—! co mama plecie!... Antosieńku, nie gniewaj się, że.. że..

Relski. — Pozwól. odsuwa Zosię.

Matka. A teraz, skoro mój umarł, to ja, jako matka, nie mogę na to dać zezwoleństwa, co się tutaj ...dzieje...

Relski drży. Prędzej, proszę panią, prędzej...

Matka wstała. Ano, panu, panu profesorowi się spieszy... i ubrał sie, j a k do ś l u b u.. A ja tam, jako matka, ta przyszłam, żeby Zosia i z dzieckiem do domu sią wróciła —.

Relski drgnął. A — . Co... co pani... mówi...

— Pauza. —

Ja.. w niczem Zosi nie krępuję. Zosia ma własną wolę...

Zosia. Antoś, Antosieńku mój złoty! zarzuca mu ręce na szyję.

Relski. Poplamisz frak!!!

Zosia. Widzisz, mama, widzisz! Mój, Antoś, mój! Słyszała mama: on mnie nie krępuje! Słyszała mama: ja mam swoją wolę! Czy mama se choć wyobrazić potrafi!

Walentowa. na boku. Ale, hale—.

Matka. Ano, — to i po wszystkiemu. Nie ma tu miejsca dla mnie, jak i dla inszych obcych ludzi.

Zosia. przez łzy. Mamo, nie mówże tak mama, także coś —. Całuje ręce matki.

Matka. A tobie Zosiu powiadam, że ja uczyniłam, jako mi sumienie a ksiądz na spowiedzi przykazał.

A teraz, to ja sie kłaniam, kłaniam panu profesorowi. ruch ku wyjściu.

Relski, milczy.

Zosia. No, to, chodźże mama... chociaż przypatrz się mama malutkiemu... A pocałuj go mama, no mamo, no —.

Relski do siebie. Piekło — .

Matka staje nad kołyską. Chrobaczek.

Niech ci Bóg da wszystko dobre, wnęczku mój... I imię, Ojca i Syna i Ducha św. Całuje dziecko.

Zosia, cicho łkając, osuwa się na ziemię. obejmuje kolana matki. Mamo, ma... mo...

Walentowa bardzo cicho. Ale... alée...

Relskiemu drżą powieki. ścina wargi. Zwraca głowę. idzie ku matce i Zosi. stanął. wyciąga rękę. —

Pa.. pani... jesteś... dobra — .

Matka. Ha, no! tak, tak. wychodzi.

— Pauza. —

Zosia ociera oczy fartuszkiem. Antoś, nie gniewasz się, co?

Relski. Nie.

— Pauza. —

Walentowa mruga na Zosię, aby nic nie mówiła.

Relski. Spotkałem jednego z moich dawnych przyjaciół. Nie mogłem się wymówić, przyjdzie tutaj.

Zosia. Twój przyjaciel przyjdzie? Jak to dobrze!

Walentowa. Ale, ale, przecie pan zacznie z ludźmi żyć.

Relski nagle. Dlaczego tu nie posprzątane—! Zosiu, ten brud... brud!!

Zosia. No widzisz, czasu nie miałam...

Walentowa. O la Boga, wielgie cuda! Nieposprzątane. A to pan jakby nie widział, że robota; i z dzieckiem i obiad... zaścieła łóżko jedno, ku drugiemu biegnie.

Zosia zatrzymuje się. O jej, obiad. Makaron.

Spiesznie kraje makaron.

Relski z trzaskiem otwiera okno. Powietrza... więcej powietrza—!

Zosia. Antoś! Co robisz? Dziecko się zaziębi.

Relski. Dziecko się zaziębi! Hehe!! Zamknij. — Zosia spiesznie okno zamyka.

Walentowa. Ej, bo tyż pan znowuj zaczyna cudować —!

Relski. Moja pani Walentowa! Czego tu pani... hamuje się... No, mąż się pytał o panią. Niech no pani idzie.

Walentowa. O, raju! mój sie pytał. Lecę, lecę! wybiega.

Relski porywa Zosię za rękę. Po co ty mi sprowadzasz te baby, słuchaj, ty—!!

Zosia. To.. ona.. sama. Ja już nie będę.

Trwożnie cofa się.

Relski puszcza jej rękę.

Zosia. Widzisz, ona jest dobra kobieta. Pomoże czasem. I życzliwa. Zresztą ja ciągle sama—.Nikogo do pomocy...

Relski. Tak, tak. Sługi niema, ty musisz wszystko robić, od tej baby pieniędzy pożyczać... Duszę się .. tchu... tchu!! zrywa krawatkę.

Zosia. Co robisz! Nowa krawatka. No widzisz, widzisz. A ja mówiłam rano, ty nie chciałeś słuchać, że ten kołnierzyk za ciasny...

— He, he, he, he!!

— Prosiłam: weź inny, weź inny...

— Głupiaś — .

cofa się: A.antoś—! Co. co się dzieje—?

— Ale ty mnie do rozpaczy doprowadzasz tem głu... tem gadaniem.

— Ty, ty, Antoś, jeszcze nigdy tak nie mówiłeś, jak dzisiaj.— A przecież ja cię kocham; ja cię tak bardzo kocham.

— Ach, dobrze, dobrze; powtarzasz mi to przy każdym obiedzie.

— Czy to źle jest? Czy źle—? Kogóż ja mam prócz ciebie i tego maleństwa? Zbliża się pokornie: Gniewasz się, co?

— zmusza się do tonu łagodnego. Ach, nie, nie, nie.

— bierze jego ręce. No to ukochaj Zośkę Antosiu; tak jak dawniej przysuwa twarz. Antosiu—.

Relski całuje jej czoło; ona szepcze:

Usta.. w usta.. tak bardzo.. no—.

Relski łagodnie usuwa się. Zamyślony siada. Zosia westchnęła; podejmuje krawatkę.

Ja to zaraz naprawię.

— Cóż—„pani profesorowa" nie ciekawa, czy egzamin zdałem?

— Aj, zapomniałam. z uśmiechem. Zdałeś; ma się wiedzieć. Ty nie zdałbyś!

— „Ma się wiedzieć"... Padłem.

— Upadłeś? biegnie ku niemu. Gdzie, kiedy, ale nic się nie stało?

— Hehe, nic, nic. Troskliwość, hehe. Przy egzaminie padłem!

— Jezus Marja, zemdlałeś!

— Nie!!! Nie zdałem egzaminu.

— Nie. zdałeś. egza. minu? stoi zdumiona, przybita wiadomością. Cóż teraz będzie, cóż teraz będzie—.

— Cóż! Brud, brud, jak był. Nic więcej, nic mniej — . Bez egzaminu na posadę pójdę, będziesz panią profesorową, weźmiemy ślub, będziesz panią, słyszysz!—. W brudnej mieścinie, dwa pokoiki, kupię stare meble, dużo garnków, rondli, będziesz szczęśliwą, prawda, Zosiu? No, mów, mów—!

— E, e! Bo Antoś zaczyna coś mówić od rzeczy! Także coś. Tak jakby bez rondli nie było szczęścia.

Niech Antoś nie myśli, że ja znowu jestem tak bardzo głupia.

Relski zdejmuje frak; wdziewa marynarkę starą.

Zosia sprząta, gorączkowo biega od jednego do drugiego, ciągle śledząc Antosia, Staje waha się, biegnie ku niemu, obejmuje go:

Ty nie dobry, ty, ty! Mów, gniewaj się, co chcesz... ale kochaj Zośkę, kochaj!

Są przy sobie.

. . . .

Z za drzwi dochodzi śpiew.

— Słyszysz?

— Aha. Ktoś śpiewa.

— złośliwy błysk: Czy wiesz, kto mi śpiewał tę pieśń?

— Któżby? Pewnie jakaś panna. Musiałeś ty biednych panien nazwodzić, ty, brzydalu. No, przyznaj się, no, no... Ty.. ty.. ty...

Wchodzi czereda czarnokawców.

Lassota głośno kończy solo z III aktu „Fra Diavola". Jurowicz wtóruje mu gwizdaniem. Z dawną fantazyą.

Relski i Zosia odsuwają się od siebie; zdziwienie.

Jesz w drzwiach. Charakterystyczny zapaszek familijny.

Równocześnie:

Witoldyński. Oto wtargnęliśmy do samotni myśliciela-poety.

Relski. A, a, nie spodziewałem się; wybaczcie.. jak się...

Stachowski. Sprowadziłem ci całą naszą paczkę.

Relski na boku. Nie bardzo ci jestem wdzięczny.

Zosia zakłopotana. Padam do nóg. Bardzo się cieszę; jest mi przyjemnie, przepraszam, że nie posprzątane... hm...

Relski przedstawia. To, to jest..y..moja kuzynka.

Zosia lekko pretensyonalny dyg.

Młodzieńcy: ukłon i wszyscy poczynają namiętnie poprawiać kołnierzyki.

Relski. Siadajcie, proszę was.

Zosia. Niech panowie siadają. Ja zaraz, tylko, tego... porywa stolnicę. wybiega.

Chóralny śmiech. Otaczają Relskiego.

Witoldyński. Odalisa co?

Relski. Proszę cię!!!

Jesz. Wstrętne. Słuchaj, ona jest Satans-Weib, co, prawda?

Stachowski zdziwiony i zakłopotany. Ale, więc dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

Relski stoi nieradny.

Lassota. Ale tu macie, kolego, wszystko stylowo urządzone.

Relski. Proszę, siadajcie.

Witoldyński. Patrzajcie, wierni, co za mina zakłopotanego żonkosia!

Jurowicz. Co z wami się działo, kolego?

Jesz. Mówiłem ci: kobieta cię zgubi—die Teufelin.

Relski. Nie spodziewałem się wizyty waszej, więc nieprzygotowany...

Stachowski. Słuchaj, Antek, dlaczego do mnie nie napisałeś? Ani słówka. Co to znaczy?

Głos z za drzwi: Andle.. andle.. handele!

Żydek wtyka nos.

Relski. Zaraz. Masz pan frak.

Bierze frak. wybiega.

Lassota. To wasz obecny dostawca garderoby?

Milczenie. Czarnokawcy oglądają się wzajem.

Witoldyński do Stach. Rozumiesz co z tego?

Jesz wciąga nozdrzami powietrze. Ja to odczuwam.

Stachowski. Nic, a nic.

Jurowicz spostrzegł kołyskę. Przebóg!

Lassota. Widzicie wy!?

Czarnokawcy parskają homerycznym śmiechem. Okrążają kołyskę.

Jurowicz. Cicho—. Zbudzi się!

Jesz. Na szatana, co to jest?!

Witoldyński, przyjrzawszy się bacznie, zawyrokował: Homunculus, Chowajcie milczenie.

Radowski. Dumny jestem z Relskiego! Własnje, dziecię miłości.

Jesz. Sssatans Kind, ono .będzie Satans Kind! Ja, ja wam zaręczam.

Stachowski. Mówcież, co to znaczy? Skąd? jak? Przecież byliście tu?

Witoldyński. Mnie to nie dziwi. Nie widziałem go od kilku miesięcy. Zmienił mieszkanie, usunął się od wszystkich, zamknął się w sobie! All rigth.

Jurowicz. Nie był w nastroju do utrzymania stosunków.

Witoldyński. Stroił tymczasem „harfę życia“.

Lassota. Grał wielki koncert na jednej strunie, tej złotej, co?

Witold. I oto jest echo pieśni. wskazał kołyskę.

Radowski, kiwając głową. Własnje, ja myślał, że to sytuacia polityczna tak go zniechęciła...

Jesz. Kolego Radowski, jesteście wstrętny z waszą „sytuacią polityczną”. Ja jestem zmuszony wyrazić moje najgłębsze ubolewanie, że wobec tak wspaniałego przejawu dzieła szatana, wy mówicie o polityce. Ach, stupider Okonek!

Radowski. Ja, proszę kolegi, zastrzegam sobie...

Witoldyński. przerywa. Do dysputy nie dopuszczam.

Radowski. ...i co do pomienionego faktu muszę zaznaczyć, że Antoś jest uwielbienia godny. U niego, własnje teorya zamieniona w czyn.

Jesz. Wstrętne. po namyśle. Chociaż w przyszłości może być wspaniałem, jeżeli...

Radowski. Pozwólcie. Ja proponuje, tu, zaraz, abyśmy tutaj stante pede zawiązali komitet, któryby przeparł kandydaturę Antosia. Własnje, prosz' kolegów, podaje wniosek nagły i popieram: obecna sytuacia wymaga tylko tak „jasno” zdeklarowanego faceta. Sądzę, iż tego roku, wszelką prywatę usuwając na bok, kandydaturę przyjmie. Koledzy, wniosek bez dyskusi oddaję pod głosowanie imjenne!

Jesz rozpaczliwie. Kolego Radowski, jesteście wstrętny!!!

Lassota. Ostrzegam, że echo się zbudzi. Zahuczy orgią tonów!

Stachowski. Proszę was; co wyprawiacie—! Robicie na mnie wrażenie stada waryatów.

Witoldyński. Zauważyć muszę, iż kolega Stachowski poczyna przejmować wrażenia. Jest widoczny rezultat lichej guwernerki.

Jurowicz, który zdala stał, przyglądając się kołysce, szybko wyjmuje książkę szkiców, podbiega: Przepraszam. Nagła kwestya. Kolego Witoldyński, moi drodzy, stójcie tak; peleryna do góry.

Głosy: Co, co, co to będzie?

Jurowicz. On będzie Śmierć. Wy, kolego Radowski, tutaj. Klęknijcie, proszę was, no, prędzej!

Radowski. Ta wy bzika macie, kolego Jurowicz!

Jurowicz. Jesteście skończonym głębiem! Chodź ty: Lassota. Dla dobra sztuki, do Radows. jednej chwili nie potrafi poświęcić. D. s. Głąb radykalny. do Lassoty: — Oprzyj głowę o brzeg kolebki, klęknij.

Lassota. Symboliczny kawał, co? klęka.

Jurowicz. Rozumie się. Zresztą nie jestem pewien. przygląda się modelom. Tak. Dziecko umarło, tutaj ojciec, tam śmierć. Profany na bok! popycha nogę Lassoty. Ta noga tak!

Zosia wbiega (uczesana): parska: Thakże coś!

Jurowicz. Matka! Genialna myśl! ukłon: Pani, przypuszczam, jako żona kolegi Relskiego, odczuwasz doniosłość chwili. Mam genialny plan.. jeżeli tylko w wykonaniu... ale spodziewam się...

Stachowski śmiejąc się. Niech pani nie słucha tego. X czarnych kaw ma w sobie ten młodzian.

Lassota uniósł głowy. Cicho profany—.

Zosia. Co panowie robią? Niech... Antoś zaraz...

Jurowicz. Niech pani sobie wyobrazi, że dziecko umarło.

Zosia oburzona. Także coś!! Panowie sobie kpią ze mnie!

Witoldyński nieruchomy. Suggeruję pani tę myśl. Ja chcę, byś wierzyła, niewiasto.

Jurowicz. To tylko szkic, moja droga pani, pięć minut. Mnie tylko kontury—. Niech pani klęknie, nie — niech pani się rzuci na ziemię, zemdleje, co to pani szkodzi.

Stachowski. Oszaleliście?!

Witoldyński. Rozkazuję ci, niewiasto.

Zosia. Ale... ale to tylko szopa, co?

Jurowicz. Rozumie się. ściska jej rękę. Kolega Relski rozpromienieje z radości, że pani tak. odczuwasz. Przepraszam, prze.praszam za moją natarczywość...

silnym uściskiem dłoni zmusza Zosię do uklęknięcia.

Zosia. Hihihi, ta, także coś, hihihi.

Jesz. Ja proponuję, by pani zapaliła papieros. W pozie stojącej. I demoniczny sarkazm na ustach. Ja sobie tak wyobrażam Satans Weib, als Mutter, w podobnej chwili.

Jurowicz. Dajcie pokój. Tutaj idzie o linie. do Zosi. Ręka prawa wyciągnięta—tak.

Zosia. Przepraszam panów, ale panowie, to są... hihihi.
Lassota. Cicho, profany!
Zosia. Dziecko się zbudzi—.
Jurowicz. Peleryna w górę! Pyszna grupa.

W głowach kołyski stoi Witoldyński, z peleryną, od spodu wydętą w formę czarnych skrzydeł. Lassota wsparł ponurą głowę o brzeg kołyski, Zosia z twarzą, przejętą doniosłością „szopy", i powiekami zwartemi, leży rozciągnięta tragicznie. Jurowicz szkicuje.

Naturalnie wchodzi

Relski. ...To, co znaczy!?
Lassota. Mil.czeć pro.fany!!
Relski. Zosia! W tej chwili mi wstań! A, moi panowie!
Zosia, wstając. Panowie mówili, że ty...
Jurowicz również. Czy mnie oczy zawodzą? Wy, Relski, rujnujecie grupę!
Relski. Jeżeli panowie...
Radowski. „Panowie"!? Jak ty do nas przemawiasz, Relski?
Relski. ...przyszliście tutaj, ażeby drwić, to ...proszę! naturalnie za drzwi.
Lassota zerwał się. Ee! zapina płaszcz,
Relski siada, usiłuje pokryć wzburzenie.

— Pauza. —

Radowski zasmucony. Ja właśnje mówił, że kolega Jurowicz ma bzika.
Jurowicz. Ależ, na Apollina, kolego, co się z wami stało! W czem wy się tu obrazy dopatrzyliście. Ja tylko szkic... kontury. Tyle razy pozowaliście, mnie, Lassocie... aa, Relski, czegoś podobnego—!
Relski, jakby do siebie. Pozowałem; zadługo wam pozowałem — a teraz tak trudno mi to przychodzi. — Przepraszam, przepraszam was, moi drodzy.
Witoldyński. Zaprawdę, ty poczynasz być zupełnie interesującym.
Zosia. Panowie mówili, że to ino szopa, i że ty będziesz Antoś...
Relski. Zosia, idź stąd!
Zosia zdumiona. T. akże.,. coś.
Relski, jakby przepraszał zmuszony. No, nie, nie. Ja, ja chciałem cię tylko prosić. Tytoniu brakło; proszę cię, przynieś.
Zosia. Ja... teraz... po tytoń...
Stachowski na boku. Antoś! Jakżeż można—.

Relski. Idź, przynieś.

Zosia zmieszana. Idę. otwiera drzwi, odwraca się. Mały się zbudzi.

Jesz od chwili siedzi nad kołyską, bawi się, „rozmawia“ z dzieckiem: „a ghu, gha“—: Już nie śpi.

Zosia. O, jej. podbiega do Jesza: Pąnie prawda, jakie oczka? Cały Antoś!

Jesz z rodzajem serdecznego wzruszenia. Kanarienvogel; der arme Kanarienvogel!

Wszyscy patrzą w stronę kołyski.

Zosia. Już idę. Ale gdyby krzyczał—Antoś! zakołysz—.

Wszyscy przygryzają wargi; z zapałem przyglądają się sufitowi.

Witoldyński. Kolega Radowski będzie kołysał.

Radowski, ukłon uprzejmy. Własnje, z całą satysfakcią, prosz' pani.

Zosia. Tylko delichkatnie proszę pana. wyszła.

Jesz. Ja ręczę; on jest okropnie delikatny.

Relski milczy.

Stachowski. Antoś, co to wszystko znaczy?..

Relski. wstał. Powiedzcie mi, moi drodzy, skąd wam przyszło— mnie odwiedzić, tak gremialnie...

Witoldyński i **Radowski** ruch zdziwienia.

Stachowski zakłopotany. No, hm, zaprosiłeś mnie przecie. Ja ich spotkałem; na tej przeklętej guwernerce nie miałem człowieka, z którym możnaby gadać, zaciągnęli wedle starego zwyczaju na „czarną w cienkiej“. Zresztą, nie przypuszczałem, że twoje stosunki... nic nie pisałeś. Oni nie wiedzieli nawet, gdzie mieszkasz, chcieli przecież znowu zobaczyć, uśmiechem pokrywa niepewność siebie: „męża przyszłości“, naszego...

Relski. Hehe, der kommende Mann, hehehe —

Jurowicz na boku szkicuje.

Radowski. To jest ta kobieta, o której, pamiętacie, własnje, studentka?

Witoldyński. Niema o czem długo mówić; sytuacya jest dla mnie jasna. Zaplątałeś się w awanturę, teraz nie pozostaje ci nic innego, jak pozbyć się tego wszystkiego.

Relski. wybucha: Tak, tak, tak! Ją wyrzucić na bruk, niechaj ulicznicą zostanie — dziecko utopić...

Stachowski. Ależ po co zaraz tragedye wywodzić!

Lassota. Kto jest ta, wasza, kolego, kuzynka?

Relski. Wedle moich przekonań, jest moją żoną!!!

Witoldyński. ironice. Aha.
Radowski. Rozumie się.

Stachowski. Braliście ślub, co? Ależ to byłoby więcej, aniżeli nierozsądne.

Relski. A tak, nierozsądne, hehehe. Ale było, ale już stało się i teraz następstwa, miłe, cudowne następstwa!

A, a! czekałem, tej chwili czekałem. Pomijałem rozkosz kupną, by stworzyć sobie czystą „symfonię", chłonąć wszystkie tony, upajać się, szaleć!

Mam teraz, mam to wszystko. Ona i ja, hehe, „w białych szatach neofitów" zasiedliśmy do „uczty miłości" — „orgia szczęścia"!

...Przeżarty brudem duszę się w tej norze, a powietrza zaczerpnąć nie wolno, bo „dziecko się zaziębi". Dziecko. Karykatura życia — karykatura miłości... Prawda, kolego Radowski, to ładne, prawda?

Jurowicz. Widzicie, kolego, to jest szkic, coście mi go chcieli urwać. Podpis: „Skon". Ha?!

Jesz. Słuchaj; to jest wspaniały temat; pozwolisz, ja to zużytkuję. Chyba, że ty już piszesz jaki sataniczy poemat. Ale nawet w tym wypadku... mnie to w powieści zabierze tylko 7 kartek, cóż?

Relski. cofa się. Dziwne jest. Jakie wy dziwne dajecie wrażenie. — Przez cały rok nie zdołaliście się zmienić — na włos!

Stachowski zły. Ukończcie raz tę farsę! dopuście go do słowa!! —. Ty tu tak nie możesz żyć. Nagle: Siadałeś do rygorozum?

Relski. Tak, dzisiaj; padłem.

Stachowski. Rozumie się. Nie mogło inaczej być w takich stosunkach. Ratuj się, człowiecze, póki czas! Nie oglądaj się na żadne względy, tu idzie o twoje życie! Ani sobie, ani jej szczęścia nie dasz.

Relski. Siadając. A tak, tak. Ale co robić, co ja mam robić?!
Jesz. Piszesz co?

Relski. A piszę, piszę, bardzo dużo piszę w dyrekcyi skarbu. 7 godzin dziennie. I potem do domu. Wspaniałe nastroje mam!

Jesz. Dziwne! Taki wspaniały temat! Ja w podobnym wypadku stworzyłbym sataniczną epopeę. Moderne.

Relski. Wybucha. Do Jesza. Nie męcz mnie. Na miłość boską, daj pokój. — —.

Chodzi po pokoju; nerwowo szarpie ubranie.

Ach, gdybym ja mógł ją wyrzucić! Gdyby ona nie ufała mi tak ślepo, gdybym ja wiedział przynajmniej, że ona to z wyrachowania robi; że udaje!.. Gdyby ona była kokotą, uliczną dziewczyną — jakże jej wdzięczny byłbym!

A tak — litość zdejmuje! Jak pies przywiązana, patrzy mi w oczy, ręce całuje — gdy ja przed chwilą szydziłem, wyrazami kopałem.

Wszystko robię, by mnie znienawidziła — a ona nic, tylko miłość i uwielbienie, to bezmyślne, wstrętne, głupie uwielbienie!

czarnokawcy okrążają Relskiego

słuchają z przejęciem.

Witoldyński. To męczarnie narodzin! W tobie poczyna się Uebermensch. I ja ci powiadam: tobie litością unosić się nie wolno, nie wolno ci — nie niszczyć... bo ty masz wychować w sobie...

Stachowski. Papierzane teorye!

Jesz. Do Stachowskiego. Wstrętne! Wszelki czyn jest wstrętny, powinniście dotychczas o tem wiedzieć, kolego Stachowski. Do Relskiego. A ty nic nie działaj, nic nie rób—czekaj, co się stanie. A coś przecież stać się powinno, stać się musi — stanie się.

Relski. Jakby do siebie: Zadługo już czekam, już dłużej nie mogę. Nie wytrwam.

A jednak... przed chwilą... do Witoldyńskiego gdybyś był przed chwilą... Jedno moje słowo: wszystkie jej nadzieje zmiażdżyłbym — w jednem mgnieniu oka.

Sił mi zabrakło. Ona szczęśliwa, taka szczęśliwa!

Radowski. No, ta słuchajcie, kólego! Ta wy się z nią ożenicie — ślub cywilny, no, spódziewam się tego po was —. Damy wam w redakci politykę zewnętrzną i będziecie dla partyi...

Relski. nie słucha tego. Do siebie: Pomyśleć, że tamta... że ona... nic nie wie, o niczem nie wie, że ona...

urywa, zmieszany badawczo patrzy na kolegów.

Jesz. A! wspaniałe, genialne, pschakreff kikeriki, wallahei, Bruder 's ist einfach genial, jest i druga! Hehe, miłość podwójna. Ta studentka, co? Płowe loki... hehe, so angenehm idiotisch! konflikt

psychodramatyczny. *zaciera ręce.* Słuchaj, Relski, ja tego użyję, pozwolisz?

Relski. *wstał.* Błazen jesteś! Ja nic nie powiedziałem. *Do czarnokawców:* Mózgi z bibuły — w żyłach czarna kawa!!

Jurowicz. Czarna kawa? Dobrze jest, chodźcie na czarną kawę.

Witoldyński. No tak, „czarna w cienkiej" jest zawsze znośna.

Stachowski ... tak rzekł Witoldyński.

Witoldyński. .... idziemy do Schmidta. To jest ciekawe dosyć zjawisko psychiczne. Pospolite, ale w nowem oświetleniu. Ja ci to zresztą zaraz wszystko wytłómaczę. Chodźmy.

Relski. Nie idę. Nie mogę teraz.

Jesz. No, słuchaj, masz takie wspaniałe podniecenie, byłoby wstrętne, gdybyś tutaj został.

Stachowski. Już byliście dzisiaj. Ja głodny jestem. Obiad.

Jesz. Wy jesteście wstrętny, kolego Stachowski! To na tej guwernerce zrobili was takim żarłokiem.

Radowski ...Magnackie ochłapy!

Jesz. *Teza:* Żaden szanujący się człowiek nie jada obiadów.

Radowski. Własnje. Burżujski przesąd.

Relski, *podając ręce szybko:* Do widzenia! Może przyjdę, ale teraz nie mogę.

Jesz. *do Radowskiego.* Protestuję przeciw używaniu tej wstrętnej terminologii!!

Witoldyński. Czekamy na ciebie, przyjdź. Widzisz, dużo ludzi, gazet, światła... Tylko ten Lorenz... paskudna kasta płatniczych. Rozerwiesz się, chodź.

Relski *podaje mu rękę.* No, może. Przyjdę. Bądź zdrów.

Wbiega **Zosia** *zdyszana.*

Są papierosy: tytoń i gotowe.

Relski. Wcześnie wróciłaś! Przeszło pół godziny.

Stachowski *na boku.* Antoś! Ty ją traktujesz, jak służącą.

Zosia. No widzisz, no, ja biegłam, no ale w tej trafice dużo ludzi... panowie odchodzą — !? dlaczego proszę panów?

Witoldyński i **Radowski.** My już musimy. *Ukłon, wychodzą.*

Jesz. *z uprzejmym gestem.* Na czarną kawę.

Zosia. Na... czarną kawę? Także coś.

Relski *podaje rękę Jeszowi.* Bądź zdrów.

Jesz demonicznie. Satansbrut!... Ty wrócisz... do nas! Na czarną kawę!!

Wyszedł.

Zosia. klękając przy kolebce. Nie śpi! A, panie, co to za złote dzidzi. Moje, moje! No, niech pan patrzy: nie śpi i nie beczy! Mój aniołek; on zawsze taki.

Stachowski. Chłopczyk?

Zosia. Aha. Ale jeszcze, wie pan, jeszcze nie chrzczony.

Relski siada z boku. Smutnie uśmiecha się.

Stachowski. Ileż ma już lat? Hm, chciałem się spytać...

Zosia. A już blizko półtora miesiąca; nie, zaraz... Wtorek, środa, czwartek, aha, we czwartek sześć tygodni będzie, i Antoś ze chrzcinami ściąga; to nawet jest niebezpiecznie. Wiesz, Antoś, kiedy teraz pan jest... Bo to, proszę pana, i Antoś mówił, że nie ma kogo prosić na chrzestnego. A pewnie, że trzeba kogo godnego. To, może, Antoś... może co... może pan — ?

Stachowski. Ja?!

Relski nagle. A cóż? Gdybym cię prosił? odmówiłbyś. Oczywiście... przyjaciel — ale w podobnych warunkach...

Stachowski, idąc ku niemu. Ależ, słuchaj, chłopcze, dobrze! Tylko, widzisz, mnie to dziwnie jakoś brzmi. Nie mam pojęcia. Ale, jeżeli tylko chcesz tego...

Relski ściska Stachowskiemu rękę. Dziękuję ci za tę gotowość; serdeczne dzięki.

Zosia wstała. O panie, jak to dobrze! Bo już sześć tygodni we czwartek — jak to dobrze! A na matkę — to, to... a, to ładnie będzie! Tę pannę, wiesz, ta, co ty do niej na lekcye chodzisz.

Relski... Ssss!

Zosia. A może ona nie zechce. Ale to ładnie byłoby — do Stachowskiego figlarnie: jeszcze może pan i ona... hihihi! Antoś, a ona jest ładna?

Relski. Ładna, Zosiu, ładna; to bardzo ładna panna. Inteligentna i mądra i bardzo miła. I śpiewa, bardzo ładnie śpiewa!

Zosia smutna. I śpiewa i mądra — . No to cóż, no cóż ja winna, że mnie do szkół nie dawali.

Relski. Pewnie, pewnie. To ja jestem winien.

Stachowski na ustach jakby wyraz niesmaku. Ja teraz, pożegnam—

Zosia. Pan już idzie...

Relski. Do widzenia. Przyjdziesz? przyjdziesz tu jeszcze kiedy?

Stachowski rękę podaje Zosi. Żegnam panią. Odwiedzę.

Relski odprowadza Stachowskiego do drzwi.

Pauza.

Relski chodzi szybko, unikając wzroku Zosi; ona patrzy za nim; waha się;

— Antoś —

— Co?

— A ta panna, co ty chodzisz... ta panna, ta, co ty na lekcyę. — Co ty tam chodzisz...

— ?... stanął.

— głosem drżącym... to, to... jest ona ładna?

— Tak.

— A, ile ona — . Ale, ja chciałam się pytać, niby, ile ona może mieć lat...

— Nie widziałem jej metryki.

Pauza.

Zosia spogląda to na dziecko, to na Relskiego. Przeciera oczy; westchnienie.

— Obiad już zaraz.

Relski stanął przy oknie. Uderza palcami w szybę. Zosia idzie ku szafie, staje. Patrzy w stronę Antosia; krok naprzód, cofa się. Oburącz ściska sobie skroń.

Jakoś mi dziwnie. Tak, jakby głowa bolała.

Milczenie.

Wyjęła serwetę z szafy, idzie w stronę stołu, patrząc ku Relskiemu. Nagle serweta na ziemię — rzuca się na kolana; krzyk:

Antoś!!

— łagodnie: Wstań, Zosiu — .

— ręce złożyła, jak do modlitwy: Antoś, Antoś, Antoś. Powiedz, powiedz, powiedz, że ty mnie kochasz!. Zaraz mów, Antoś, że mnie kochasz — —

On milczy, wpatrzony w Zosię. W oczach ma wzruszenie.

... bo widzisz, bo ja — bo teraz — ; bo teraz, to byłoby bardzo źle. Gdybyś ty mnie — nie kochał. Bo teraz, Antoś... powiedz, mój złoty, mój jedyny, powiedz...

— .... Kocham. Wargi ścięte bólem.

Zosia obejmuje jego kolana; opiera o nie głowę. Przez łzy.

Tak, tak, to dobrze. O tak, dobrze, dobrze. Bo dzisiaj, bo teraz...

— Wstań Zosiu.

podnosi ją; ona cicho łka.

No cicho, no nie — . Nie płacz; Zosiu — . gładzi jej włosy.

Zosia kładzie ręce na jego ramiona, wpija się w usta.

Relski usuwa się; siedzi zasępiony.

— Nie gniewać się, Antoś, no — . Ale dzisiaj, ty dziwny byłeś — . I ci panowie, jak oni przyszli, to ty mnie zaraz z domu niby po tytóń. A potem ja przychodzę, to oni wyszli.

Kazali mi leżeć na ziemi, a ty mówiłeś mi: „głupia".

— Wymówki! zerwał się. A moja ty! Rozdrażniony byłem, powiedziałem, przeprosiłem, czegóż więcej chcesz? Czego ty właściwie odemnie chcesz?!

— Zosia przeczy kilkakrotnym gestem: To nie to, Antoś, nie to. Ja nie wymawiam, bo tobie wolno. Tobie wolno mówić. To nie, że ty mówiłeś „głupia", tylko, że ty myślałeś, że myślisz — „ona jest głupia".

Ja nie jestem tak bardzo głupia. Ja tego wszystkiego nie umiem powiedzieć, ale ja to mam w głowie — i mam .... wszystko, i to...

ręce na piersi, na głowę.

I ja cię bardzo kocham, a to jest wielkie słowo. To tego nie kupić, ani się nauczyć.

Ale teraz już nic — już. Ty jesteś dobry, ty nie chciałbyś dla mnie złego, ty Antoś, ty mój.

— Nie całuj mnie po rękach; ja tego nie mogę znieść!

— Przepraszam. Nie gniewaj się; nie wiedziałam.

Walentowa wchodzi z wazą. Ej, państwo, ciągiem przy sobie, niby dwa gołębie. A zupa już wychłódła. Ani na ulicę nie patrzą państwo, a ci tu banda idzie z wojskiem. Gra, aż nogi tańczą.

Wazę stawia na stole, wychodzi.

Ulicą przechodzi oddział wojska z muzyką.

Zosia. Ojej! podbiega do okna. Ci to dopiero ludzi! Batalion, nie fanę niesą — cały pułk! Antoś chodź-że. Patrz, jak to ładnie. Aj, jaki śliczny koń. Ten lejtnant się szablą kłania — To pewnie tej pannie. Chodź-że Antoś, patrz, jak też ten stanik na niej leży. Ten pan, co z nią idzie, tak się do niej śmieje; pewnie narzeczeni. Ale tyż to ona ma włosy! Takie jasne loki!

Relski. Gdzie, kto? stanął przy oknie.

Zosia. A—no tam. Na drugim trotuarze. O, o, patrzy się do naszego okna.

Relski. zrzucił storę. Ten kretyn jest przy niej, znowu jest przy niej!

Zosia. Dlaczego storę spuściłeś?

Relski. To podnieś.

Zosia. Kto jest ta panna? Ty znasz ich? To narzeczeni?

Relski. Kłamiesz!! powściąga się. Nie, nie. Ja znam ich... To jest... a, nikczemny kretyn!

— Ten pan. A ona?

— Wiesz kto?! Chcesz wiedzieć kto? To jest ta panna, którą ja uczę.

— O — jej! No, widzisz, ja myślałam, że ona ma Bóg wie jakie suknie! To chyba materya droga, ale skrojone — ! ... Wiesz Antoś, co — . Bo ty może nie wiesz, jaki ja mam krój?

— Nie wiem, nie wiem, nie wiem.

— To byłoby dobrze! Ty powiedz matce tej panny, niech ona da do mnie krajać, ja mam śliczny krój. To i dla mnie lepiej, bo haftem mało się zarobi, a dużo jest męki...

— Chachachacha! To przecie piekielnie wspaniałe! chwyta rękę Zosi. Sssłuchaj, ty, chcesz koniecznie robić suknie tej pannie!?

— Tylko krajać. cofa się. I to nie koniecznie.

— To ja, ja, wiesz, z nią się ożenię, a tobie będziemy dawać suknie do kroju, cóż, Zosiu, cóż — ?

— Hihihihi! Ależ to Antoś, hahahaha, ożenić się, thakże coś!

— Czego ty się śmiejesz, ty!?

ona wskazuje kołyskę.

— Ciszej, bo śpi — .

— Co, co, co?! Ty — !! myślisz, dla tego, że dziecko, to ty mnie już zmusisz?!!

— An..toś — ! Co tobie jest? Ależ ja nic nie myśle. Tylko tak głośno wołałeś, a malutki śpi.

— A, a. puszcza rękę Zosi Ty nie myślisz, ty, Zosiu, nie myślisz?!

— Ależ nie. W imię Ojca i Syna... co też ty...

— To źle, Zosiu, to bardzo źle, że ty nie myślisz. Zosiu, to jest strasznie źle, że ty mi tak ufasz.

. . . Ten kretyn, bezczelny kretyn!

Zdejmuje marynarkę, zarzuca surdut.

— Idziesz? Obiad! —

— Nie będę. Nie jestem głodny.

Wybiegł.

Zosia patrzy przed siebie. Stoi nieruchoma, milczy.

. . . Jak on to dziwnie powiedział — . „to bardzo źle“ — . Co to za dzień! co to za dzień!

Walentowa w drzwiach. Dzisiaj jest wtorek, pani zapomniała?

— Aha — , wtorek.

Stoi, jak przykuta do miejsca.

— Co to za dzień! „to bardzo źle“ ... aha, wtorek. Powtarza w kółko: ... wtorek ... wtorek... wtorek....

D. n. *Jan August Kisielewski.*



JAROSŁAW VRCHLICKÝ

i jego dramat „Bar-Kochba".

(karta z współczesnej literatury czeskiej) *).

Jerzy Karasek jest w każdym razie ciekawem w literaturze czeskiej zjawiskiem. Z zawodu oficyał pocztowy, niezmęczenie produkuje nierymowane, pozbawione nawet metryki wiersze dekadenckie i zawzięcie skacze do oczu wszystkim literatom, mającym jakiekolwiek uznanie, nawet takiemu moderniście, jak Machar. Samo nazwisko Vrchlickiego wyprowadza go z równowagi. Nie dosyć na tem: swoje antypatye przenosi jeszcze i do nas i na kartach „Życia" krakowskiego referuje o literaturze czeskiej w taki sposób, jak gdyby ona była areną popisu samych nędzot umysłowych i jakgdyby najlichszemi z nich były utworyJarosława Vrchlickiego.

Karasek od r. 1893 wydał cały szereg poezyi, romansów, studyów, i jest potężnym filarem „Moderni Revue". Bardzo ciekawy zbiorek p. t. „Sodoma" (1895) kupowano na wagę złota, bo cały nakład skonfiskowała policya, a jedynie kilka egzemplarzy udało się złowić za drogie pieniądze dla amatorów osobliwości.

---

[1]) Ob. zeszyt październikowy, 1899.

A musiały tam być osobliwe rzeczy. Pan oficyał pocztowy jest arystokratą, zapewne w duchu Nietscheańskim, a przytem legitymistą. W dziele „Księga arystokratyczna”, wydrukowanem w 199 egzemplarzach (z tych 9 opatrzone drogocennym podpisem autora) znajdujemy nierymowany sonet p. t. „Na wiadomość o śmierci hrabiego Paryskiego”, który kończy się w taki sposób:

„Filipie, jakże smutnem jest umieranie wśród szczątków dworu,
Gdzie korona spada z pochylonej głowy,
Przed którą nikt dotąd nie skłonił się, aby rzec: Souveraine!
Miej moje dumne pozdrowienie, Sire! Niech lilie burbońskie
Rozkwitną na tarczy poety, który, jak Ty, wśród tłuszczy,
Wysoko wzniósł barwy swego suwerennego rodu.

Ten arystokrata-suweren pocztowy w poetycznem widzeniu ujrzał Najświętszą Maryę Pannę, jak mu się zjawiła niby „inicyałka, zapomniana w zeszycie starych legend”. Zapomnienie „legendowej inicyałki” nie przeszkadza mu sonetować do papieża „Lwa XIII” i przyznawać się, że się czuje niegodnym skłonić swej buntowniczej głowy przed sławą jego tyary, „płonącej płomiennym deszczem drogich kamieni”.

Abyśmy pomimo skonfiskowania „Sodomy” ani na chwilę nie wątpili, jak jest strasznym grzesznikiem p. Jerzy Karasek, buntownicza głowa pana oficyała wysiliła się w roku następnym (1897) na zbiorek „*Sexus necans*, księga pogańska”, gdzie spowiada się przed czytelnikiem ze swych „Bachanalii”, „Poczucia zemsty seksualnej”, „Zmęczenia” (czem?), „Smutku mięsa”, „Nagości snów”, „Wstrętu do kobiety”, „Wygasłych ogni” i—*horribile dictu ac auditu*—„Defloracyi duszy” — takie bowiem tytuły noszą zawarte tam poezye. W „Syntezie”, poświęconej „Wygnańcom miłości”, Karasek śpiewa:

„Kochankowie, których pragnienie szło czyste
Błotnistą drogą,
Biali kochankowie, nieukojeni kochankowie, duszą omdleni przed zbliżeniem,
Którzy pragnęliście napoju,
A nie piliście,
Którzy szliście do upragnionego domu,
A nie weszliście,
Których dusze wrzały tęsknotą, jak ule zaniepokojeniem pszczół,
Was pozdrawiam, smutni, w waszem pragnieniu, któregoście się zaparli,
W mękach odtrąconego ciała, marni pątnicy,
Współczucie wam śpiewam.

Wynaturzona lubieżność p. Karaska łączy się z dziką krwiożerczością i instynktami morderczymi, jak o tem świadczy wiersz jego w „Almanachu secesyi", w którym powiada:

Dzika, przeklęta upaja mnie rozkosz,
Z wściekłej ochoty pęka me uczucie,
By wpaść i rzucić się na twoje ciało,
Na twe gorące, zmysłowe ciało,

Wyssać z ust twoich wszystką krew twoją,
W szale zadusić oddech w twojem gardle,
Rozłamać kości i rozerwać mięso.
Ciemne twe, barbarzyńskie, surowe mięso.

Nie wątpimy, że oficyał-dekadent z wysoką przyjemnością urzeczywistniłby na Vrchlickim tę swoję „poetycką" zachciankę, gdyby nie obawiał się—może nie Pana Boga, ale w każdym razie kłopotu ze sądem. Jest to najzawziętszy, ale zarazem najkarykaturalniejszy z przeciwników Vrchlickiego, gorliwie i niezmordowanie wspinający się na palce lub włażący na szczudła, aby zdmuchnąć nimb, unoszący się nad czołem wielkiego poety. Sprzymierzeńców ma on niemało, a ci przy lada sposobności wyprawiają kocią muzykę. Jarosław Hilbert, autor „Winy", dramatu realistyczno-pesymistycznego, lubo sam wydawca mocno modernistycznego, zabarwionego dekadentyzmem miesięcznika „Wolne kierunki" już w zeszycie I swego organu (z roku 1896) napiętnował to postępowanie w felietonie, noszącym tytuł „Vrchlický-football". Hilbert pisze między innemi: „Stało się dzisiaj najmilszą zabawą naszych zamiataczy estetycznych kopnąć kiedy niekiedy Vrchlickiego... A co najwięcej gniewa, że wszyscy ci napastnicy poważają się nazywać siebie głosicielami uczuć młodych, i to tak ogólnie, jakby istotnie mieli w ręku pełnomocnictwo od nas wszystkich. Nie, gorąco wam dziękujemy za waszą reprezentacyę, panowie! Mówcie w imieniu swego ciasnego stronnictwa, jeśli chcecie, ale nie okłamujcie publiczności, że mówicie za całą młodzież, gdyż jest tu jeszcze wielu, którzy z miłością lgną do swego wielkiego poprzednika, głęboko skłaniają głowę przed jego zasługą i z podziwem poglądają ku niemu, albowiem wiedzą, że, aczkolwiek z innego gruntu wyrosły(?), pną się jednakże tylko ku temuż słońcu, którego on się dotyka".

Te słowa utalentowanego młodzieńca są zaiste głosem sumienia młodszych, które im powiada, że Vrchlický jest, jako był zawsze, przedewszystkiem poetą młodości. Potężny jego umysł posiada

dziwną siłę rodzajną, jak posiew wiosenny, a obok tego niesłychaną giętkość, rzutkość, właściwą młodości, wynajdującą nowe drogi, nowe formy, chwytającą nowe przedmioty, a przedewszystkiem odczuwającą nowe prądy z nadzwyczajną trafnością i subtelnością. Był on symbolistą, i to znakomitym, jeszcze wtedy, gdy o szkole symbolizmu nie było ani wspomnienia, a jego wiersze „nastrojowe” o wiele wyprzedziły całą szkołę nastrojowców czeskich. Tylko dekadentyzm nie ujrzy go nigdy w swoich szeregach, z czego mu robi poważny zarzut jego tłómacz, Zenon Przesmycki. Młodzież szczera, nie poddająca się ciasnemu zaślepieniu stronniczemu, wrażliwa na wszystko, co wzniosłe i szlachetne, będzie zawsze po stronie wielkiego poety, choćby całe zgraje rówieśników kamieniami nań miotały. Słusznie więc mówi Hilbert, on już doszedł do tegoż słońca, do którego młodzi się wspinają. Ukazuje im drogę.

Rozwiedliśmy się trochę dłużej nad przeciwnikami poety z młodszego pokolenia, aby pokazać, jak ciernistą była droga, po której Vrchlický zdobywał sobie z każdym dniem rosnącą cześć i uznanie. Miał on także niemało niechętnych i pomiędzy starszymi. Nie łatwo i nie prędko pojmowali oni jego śmiałe idee, przeobrażenia w formie, jego uniwersalizm, egzotyczność, która jednak nie pozbawiała go charakteru narodowego. Znajdowali się między nimi i tacy, co byliby skwapliwie zdetronizowali Vrchlickiego, ale im się nikt inny w zamian nie nastręczał. Z młodszych żaden nie rozwinął się do pewnej, dość nawet pobłażliwie stawianej miary, nawet Świętopełk Czech, który robił zawód najgorętszym swym zwolennikom, zbaczał na pole satyry, ujmował w rymy tendencye swego stronnictwa politycznego, nie wiedząc, czy też może nie chcąc wiedzieć, że od niego wyglądano „Pana Tadeusza” czeskiego, a tym przecież ani poemaciku „Pod cieniem lipy”, ani odlanego w heksametry „Wacława Živsy” nazwać niepodobna. Starsi przeciwnicy powoli godzili się z faktem dokonanym, górującem nad wszystkimi znaczeniem Vrchlickiego. Jeden z najzaciętszych jego przeciwników, który utrzymywał, że jego utworów brać do ręki nie może, po upływie kilku lat powiedział:

— Ach, gdyby nawet to, co oryginalnie tworzył, nie miało tej ceny, jaką do niego przykładają, to już same przekłady zapewniłyby mu pierwszorzędne stanowisko w literaturze!

Tak więc w epoce żabiego wrzasku i kocich muzyk, wyprawianych mu przez hałastrę nliczników literackich, Vrchlický rósł

w znaczenie u starych i u młodych, u wyższej inteligencyi i ludu zyskiwał coraz bardziej dobrze zapracowaną sławę. Obcy coraz więcej z nim się zapoznawali, imię jego przedzierało się tam nawet, gdzie ledwie o narodzie czeskim coś słyszano. Dowodem uznania były godności, które go spotykały. W akademii czeskiej, jako członek zwyczajny i sekretarz oddziału IV, wywiera wpływ przeważny. Z jego to podniety akademia przedsięwzięła między innemi publikacyami i wydawnictwo „Zbiornika poezyi powszechnej", który on sam ozdobił znakomitymi przekładami „Orlanda Szalonego" i „Dziadów", a nadto wyborem poezyi Baudelaira i Lisla.

Już dawniej Towarzystwo historyczno-literackie polskie w Paryżu mianowało go swoim członkiem honorowym. W r. 1891 tęż samą godność udzieliła mu akademia w Padwie. Felibrowie w Marsylii, uprawiający literaturę prowansalską i popierający pisarzy katalońskich, dowiedziawszy się o jego przekładzie poematu katalońskiego Verdaguera „Atlantis" oraz drobniejszych poezyi Mistrala, Aubanela i Grasa, zaprosili go w r. 1892 na swego członka i udzielili mu swą oznakę, cykadę (konika polnego). Klub artystyczny (Umielecka Beseda) w Pradze mianował go swoim członkiem honorowym, uniwersytet zaś praski obdarzył tytułem honorowego doktora filozofii. Zwrócono uwagę, że mąż ten, nietylko ogromnego talentu, ale i olbrzymiej wiedzy, byłby znakomitym nabytkiem dla młodocianego uniwersytetu czeskiego i rozpoczęto starania u ministra oświaty Gautscha o mianowanie go profesorem literatury nowoczesnej. Ostatecznie nominacyę jego podpisał p. o. ministra rodak nasz, Edward Ritner, będący kolegą Vrchlickiego w akademii czeskiej. W lipcu tegoż roku Jerzy Brandes, odwiedzając Pragę, złożył także wizytę Vrchlickiemu i niebawem między nimi zawiązał się ściślejszy stosunek.

Nowe uczczenia czekały poetę w początkach roku następnego. W tajemnicy przed Vrchlickim, który jest człowiekiem skromnym, bynajmniej nie żądnym owacyi, przyjaciele i wielbiciele przygotowali mu jubileusz, wybierając na tę uroczystość dzień 16 lutego, jako czterdziestą rocznicę jego urodzin, z czem połączono dwudziestopięciolecie jego działalności literackiej. Nie będziemy opisywali szczegółów tej uroczystości, powiemy tylko, że okazała ona, jak głęboko cześć i uznanie dla wielkiego poety w sercach narodu zapuściły korzenie. Ze wszech stron na wyścigi składano hołd jego talentowi i zasługom, zasypano młodego jubilata powodzią adresów, listów i telegramów, miasta ofiarowywały mu obywatelstwo hono-

rowe, stowarzyszenia obierały go członkiem honorowym. Każde poważniejsze pismo umieszczało o nim artykuł, rozstrząsający to, co dla narodu czeskiego wykonał, a z bibliografii wychodziło na jaw, że liczba tomów, przez niego napisanych, głównie wierszem, a w małej tylko cząstce prozą, oryginalnych i tłómaczonych, dochodziła do stu. Na uczczenie jubileuszu wydano osobny numer „Złotej Pragi", w którym przyjaciele i wielbiciele peety wyrażali swoje uczucia lub opowiadali o swych osobistych z jubilatem stosunkach. W owym numerze „Złotej Pragi" znajdujemy dwa wiersze polskie, jeden sonet Miriama (Zenona Przesmyckiego) p. t. „Nowa Tebaida". drugi obszerniejszy pióra autora obecnego artykułu, a poświęcony uczczeniu jubilata.

Od Polaków przyszło na jubileusz sporo listów i telegramów, ale tylko z Galicyi i Poznańskiego; Warszawa zachowała zupełne milczenie. Za to później w artykułach i wzmiankach o odbytym jubileuszu mówiono o jubilacie z wielką sympatyą i uznaniem. Niesłychanie uprzejmy poeta odpowiedział wszystkim, którzy go uczcili, osobiście, i to każdemu oddzielnie.

Między biografiami okolicznościowemi na szczególniejszą uwagę zasługuje książeczka „Jarosław Vrchlický, przygotowanie do przyszłych studyów jego liryki i epiki“ pióra Edwarda Alberta, znakomitego uczonego i profesora w Wiedniu. Albert pochodzi z Czech północnych z Żamberka, gdzie urodzony 1841 roku, jako syn ubogiego leśniczego, jeszcze do 16 roku życia pasał konie. Wziąwszy się nieco późno do nauki, okazał niesłychane zdolności i wszedł do uniwersytetu na wydział medyczny, gdzie z zapałem oddawał się chirurgii. Na tem polu wsławił się, jako lekarz i w uniwersytecie wiedeńskim profesor chirurgii praktycznej oraz autor znakomitych dzieł w swej specyalności. Zasługi jego pozyskały mu wiele odznaczeń, między innemi tytuł radcy dworu, godność zwyczajnego członka akademii czeskiej oraz dobrze zapracowany majątek. Pomimo, że chirurgia od sztuk pięknych oddaloną jest o tysiące mil, Albert podobnie, jak jego kolega Billroth, odpoczynku szukał w zajęciach estetycznych — Billroth z upodobaniem oddawał się muzyce, Albert poezyi. Oddalenie i działalność na obcym gruncie nie rozerwały węzłów uczonego z ziemią ojczystą. Albert zrobił wielką przysługę literaturze czeskiej tomem przekładów p. t. „Poesie aus Böhmen". Drugi tom tego dzieła poświęcił wyłącznie poezyom Vrchlickiego i podał w nim próbki z 40 zbiorków autora. Przytem przy sposobności jubileuszu pomieścił w pismach wiedeńskich artykuły o jubilacie, a po czesku wystąpił z artykułem w „Svie-

tozorze“ i wspomnianą już książeczką czeską o Vrchlickim, która istotnie jest nieocenioną pomocą dla wszystkich, co piszą o wielkim poecie, a której i artykuł niniejszy wiele zawdzięcza. W uniesieniu nad swym ulubionym poetą wypowiedział o nim zdanie, że „on rozszerzył widnokręgi poezyi czeskiej do nieskończoności”. Prof. Alberta niesłychanie charakteryzuje to, co napisał we wspomnianej już książeczce na str. 28: „Mój kolega Billroth w jednej mowie swojej, którą wypowiedział w izbie panów, napomknął, że nie wie, coby począł, gdyby miał dziennie tylko ośmiogodzinną pracę. Tak myśli i Vrchlický, tak myślę i ja, i tysiące ludzi, dla których od dziecięctwa praca stanowiła największą rozkosz”.

Uroczystości jubileuszowe minęły, ale nie ustawały oznaki czci i hołdu dla jubilata. W środku roku przybył do Pragi delegat przyszłego zjazdu literatów polskich, mającego odbyć się w następnym roku we Lwowie w czasie wystawy. Zaprosił on literatów czeskich na zjazd, a przedewszystkiem Vrchlickiego. Jak wiadomo, naonczas w radzie państwa między posłami polskimi a czeskimi panowały nieporozumienia, prowadzono więc agitacyę w celu powstrzymania Czechów od zbiorowych wycieczek na wystawę lwowską, i, jakkolwiek agitacya ta odniosła skutek, prywatnie bardzo wielu Czechów do Lwowa pojechało. Na agitacyę nie zwrócił także uwagi Vrchlický i razem z Jelinkiem, Szubertem i Gabryelą Preissową znaleźli się na zjeździe i wystawie. Powitany z zapałem i serdecznością zastał tam między innymi znajomych już sobie z dawniejszych stosunków Jeża, pamiętnego z pobytu w Paryżu, i Adama Asnyka. Z tym ostatnim zawarł ściślejszy stosunek za jego pobytu w Pradze r. 1891, gdzie poetę polskiego wieszcz czeski uczcił pełnym zapału toastem, pomieszczonym potem w zbiorku „Osty z Parnasu“. Oprócz pokrewieństwa duchowego obaj uderzali pewnem podobieństwem fizyonomii, co zwracało powszechną uwagę, gdy zasiedli obok siebie, obrani wiceprezesami honorowymi zjazdu. Na bankiecie, zamykającym posiedzenie zjazdowe, Vrchlický zrobił obecnym niepospolitą niespodziankę, odczytał bowiem znakomity wiersz, do którego pochop dał mu obraz Jana Styki. Entuzyazmu uczestników opisać niepodobna, udzielił on się również publiczności, gdy nazajutrz ukazał się w pismach lwowskich w dwu przekładach, prozą i wierszem. Po kilku dniach, nużących wrzawą i nadmiarem wrażeń, Vrchlický powrócił po cichu do Pragi, zatrzymując się dla odpoczynku w Krakowie, gdzie go oczekiwano z nowemi owacyami, ale poeta, w skromności swojej nie domyślając się czegoś podobnego, nikomu się tam nie pokazał. Wrócił do domu, znużony

fizycznie, ale podniesiony na duchu i umocniony w swoich dawnych sympatyach.

Wspólność sympatyi i poglądów już dawniej powiązała ze sobą Vrchlickiego z Edwardem Jelinkiem. Poeta serdecznie kochał i dobrze pojmował Jelinka i niejeden wiersz, tyczący się rzeczy polskich, jak np. „Michał Szwajcer“, „Mickiewicz a Santa Croce“ jemu poświęcił. Temu stosunkowi i autor niniejszego artykułu głównie zawdzięcza, że chwilowa niechęć, zasiana przez intrygi warszawskie i praskie, nie poróżniła go z Vrchlickim, czegoby później nigdy należycie oddżałować nie zdołał. Z boleścią Vrchlický patrzał, jak jego przyjaciel, dotknięty okropną, zabójczą chorobą piersiową, wiądł coraz bardziej, i to w epoce życia, gdy mógłby na szerszą skalę spełniać zadanie, do którego wziął się z taką pilnością i z takiem wszystkich sił poświęceniem.

Gdy 10 marca 1897 r. wierny nasz przyjaciel zamknął oczy, strata dotknęła żywo poetę. Obecny przy rozbieraniu papierów po zmarłym dziwnych doznawał uczuć i wyraził je w wierszu „Spuścizna”, pomieszczonym w zbiorku „Na siedmiu strunach”.

Oh, żywot cały! Długi czy też krótki,
Co się zostanie z niego? Jakieś karty
I rojeń marnych, niespełnionych smutki,
I ciężkiej pracy nuda, szpargał starty.

Ten, czyje były karty, już śpi w ziemi. —
A z nim zapadło, co czuł i gdzie bywał,
Książki zostawił z uwagami swemi
I stosy gazet, do których pisywał.

On, dusza tego wszego, już nie żyje;
Gdy tam czytamy swe własne imiona,
Nie wiemy, czy to nasze czy też czyje,
I towarzyszy pyta twarz zdziwiona.

Przed majestatem śmierci wszystko spływa
We mgłę. My żyjem tutaj, on umarły...

Z wdzięcznością w dopisku przy przekładzie „Dziadów“, który nosi tytuł po czesku „Tryzna“, Vrchlický wspomina, jak Jelinek dopomagał mu w tem dziele wypożyczaniem źródeł ze swej bogatej biblioteki, której część polska znajduje się obecnie w bibliotece Muzeum czeskiego, jako osobny dział imienia Edwarda Jelinka.

Gdy w czerwcu r. 1898 licznie zebrani Polacy przybyli do Pragi na jubileusz Palackiego, drugi zjazd słowiański (pierwszy odbył się r. 1848) oraz pierwszy zjazd dziennikarzy słowiańskich w Austryi, poczytywali sobie za obowiązek okazania czci mężom, zasłużonym na polu wzajemności czesko-polskiej. Na grobie Jelinka złożono bogaty wieniec, a wybrani goście odwiedzili Emanuela Tonnera, Jarosława Vrchlickiego, Franciszka Kvapila i Adolfa Czernego.

Deputacya polska dziękowała także Vrchlickiemu za mistrzowski przekład „Dziadów", a serdeczny i uprzejmy poeta każdego ze swoich gości obdarzył jakimś egzemplarzem ze swoich utworów. Bardzo chętnie przyjął zaproszenie na odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Krakowie. Na pamiątkę tego dnia grono Polaków na fotografii zbiorowej u Langhansa skupiło się około Tonnera, Vrchlickiego i Czernego, a kopie przyniosły illustracye czeskie i Kuryer obrazkowy, wychodzący przy gazecie „Hlas naroda".

Do Krakowa jechał Vrchlický z adresem akademii czeskiej; towarzyszyli mu Kvapil, Czerny, dr. Kadlec (sekretarz Teatru narodowego) i wielu innych Czechów. Gości przyjmowano z gorącą sympatyą. Z Krakowa zrobił wycieczkę do Lwowa, dokąd zaprosił go jeden z przyjaciół na kuma. Ani się spodział, gdy zawiadomieni wcześniej literaci lwowscy powitali go na dworcu.

Należałoby sądzić, że te i tym podobne objawy u swoich i u obcych powinny były otworzyć oczy młodocianym przeciwnikom i ich sprzymierzeńcom na nieszlachetną niedorzeczność ich postępowania względem męża, który jest taką ozdobą ich literatury i społeczeństwa. Niestety stało się całkiem przeciwnie. Właśnie w roku jubileuszowym rozpoczęły się najazdy p. Karaska i innych rybek dekadenckich, i podjazdówka ta dotąd nie ustaje. Z pewnością cała działalność literacka szkoły „modernistycznej" pójdzie prędko w zapomnienie, za lat dziesiątek jeden i drugi nikt nie będzie czytał ani dławiących niedorzecznością wierszy, ani też ciętych artykułów „Moderni Revue", „Rozhledów", „Czeskiej Straży", ani nawet wtórującego im „Czasu". Wszelako mają zapewnioną nieśmiertelność herostratową za swe napaście... w biografii Jarosława Vrchlickiego. Do jakiego stopnia uzuchwalenia dochodzą, mieliśmy próbkę po powrocie poety z Krakowa i Lwowa: „Czeska Straż" w № 27 rocznika IX pisała: „Pan Vrchlický uznał za dobre swoje porządnie znoszone gronostaje króla poezyi czeskiej oddać do naprawy i załatania braciom Polakom. Wziął udział w uroczystości Mickiewicza i stamtąd pojechał do Lwowa i w obu miejscach pozwolił Polakom wielbić się, jako wielki poeta wszechświatowy" i t. d. Na tę brutalną wycie-

czkę daliśmy odprawę w pismach czeskich, co skusiło „Czeską Straż” do oznajmienia, że ma wszelki powód „do powątpiewania, żeby czciciele polscy pana Vrchlickiego znali bliżej młodą poezyę czeską i żeby wiedzieli, iż „punkt ciążenia rozwoju literackiego u nas (u Czechów) dawno już przeniósł się od pana Vrchlickiego gdzie indziej“.

To naiwne wywnętrzenie się dziewięcioletniego czasopisma aż nadto dobitnie wskazuje, o co pp. przeciwnikom idzie. Niestety, wszelkie ich przekonywania o tem, że Vrchlický już nie jest „królem poezyi czeskiej“, że „gronostaje jego już się podarły“ nie wzruszają nas wcale. Ci, co go znają, wiedzą aż nadto dobrze, iż do żadnej królewskości nigdy nie rościł pretensyi i w żadne gronostaje się nie drapował. Mało, bardzo mało znajdzie literatów tyle wolnych od wszelkiej pozy wyższości, co Vrchlický. Każdy, kto się do niego zbliża, mimowoli ulega niepokonanemu urokowi jego obejścia, w którem odźwierciedla się dusza czysta, podniosła, szlachetna, a szczytna swoją niezrównaną prostotą. Pomimo szalonej pracowititości Vrchlický bynajmniej nie unika ludzi, nie zamyka się przed gośćmi, częstokroć bardzo natrętnymi. Wprawdzie każdy, kto go odwiedza w domu, znajduje go przy stoliku, ale miły gospodarz nie odprawia go i nie pozbywa się kwaśnym humorem, owszem nieraz zachęca do pozostania, zwłaszcza, że rozmowa z nim toczy się żywo, tryska werwą, dowcipem. W kółku miłych sobie Vrchlický żartuje, dowcipkuje, opowiada anegdoty, jak student, a jednak w produkcyi jego literackiej humorystyka gra bardzo podrzędną rolę. Nigdy nie wystawia szyldu z godłem, mającem oznajmiać światu: oto idzie wielki człowiek!

Nizkiego wzrostu, drobnej postaci, pochylony na lewy bok od nadmiernego siedzenia przy biurku, z włosem, dobrze przerzedzonym i ostrzyżonym krótko, również krótko strzyże brodę, tylko wąsy zapuścił długie, zwieszające się z obu stron. Na każdego dziwne robią wrażenie jego oczy jasno-niebieskie, zazwyczaj łagodne, ale odbijające w sobie każde uczucie, które drga w duszy poety. Żywe ruchy i błyski oczu wtórują słowom jego, toczącym się z ust z jakąś wulkaniczną wybuchowością. Znakomicie pochwycił go malarz Oliva (znany także z udatnych illustracyi do „Ogniem i mieczem”, Sienkiewicza), przedstawiając poetę, szermującego rękoma i siedzącego na ławce obok prof. Alberta, który z powagą słucha słów swego przyjaciela.

Zwyczajnym wyrazem oczu i fizyonomii Vrchlickiego jest dobroć, która istotnie stanowi główny rys jego charakteru. Odpłaca

wdzięcznością za najmniejszą przysługę, a chętnie robi dobrze, gdy mu nadarzy się do tego sposobność. Skoro został członkiem akademii, zanim jeszcze pomyślał o polepszeniu własnego bytu, starał się o zabezpieczenie materyalne swoich przyjaciół. A zyskiwał sobie ich wielu, bo, lubo nie wysila się na to, jednakże urokiem swego obejścia dziwnie podbija sobie serca ludzi.

Gdyby Vrchlický był pisarzem angielskim, francuskim lub niemieckim, przy swojej szalonej płodności posiadałby już co najmniej krocie, miałby w mieście obszerny apartament, urządzony z przepychem, willę na wsi... ponieważ jest pisarzem słowiańskim, posiada skarby, ale tylko w duchu swoim. W Pradze mieszka na pobrzeżu Palackiego w domu z widokiem na Wełtawę, przedmieście Smichow, górę Petrzin i Hradczany, ale aż na czwartem piętrze, latem wyjeżdża z rodziną gdzieś do cichego zakątka w niedrogiej okolicy. Dom urządził sobie ze skromną wykwintnością, jedynym zbytkiem są tam książki: biblioteka zajmuje dwa pokoje, a w niej chyba nie brakuje żadnego ważniejszego dzieła poetyckiego z jakiejbądź literatury. I nie dość, że ma taką obfitość książek, ale i owładnął niemi, bo nie tylko pisze bardzo wiele, ale i czyta nadzwyczaj dużo. Pamięć ma wyborną, co przeczyta, to trzyma w niej mocno, stąd jest on nietylko poetą, ale i niepospolitym uczonym. Kiedyś Wiktor Gomulicki nazwał go trafnie „poetą—erudytą"; nie wyczerpuje to wprawdzie jego charakterystyki, bo z równem prawem możnaby go nazwać poetą — filozofem, poetą — myślicielem i tym podobnie, ale jest słusznem uznaniem dla jego wiedzy, równie olbrzymiej, jak i talent. Z którejkolwiek strony spojrzymy na Jarosława Vrchlickiego, musimy przyznać, że jest to mąż... fenomenalny.

Czujemy dobrze, iż ten zarys biografii i charakterystyki poety i człowieka, skreślony piórem, nie stojącem, zaiste, na wysokości swego zadania, powinniśmy zamknąć ogólną charakterystyką piśmienniczej działalności jego. Wobec jednakże tego zadania opadają nam zawsze ręce i przypomina się nam wykrzyknik jednego z literatów czeskich:

— Ach, ten Vrchlický! Gdyby człowiek chciał wszystko przeczytać, co on napisał, musiałby chyba nic innego nie brać do ręki!

Zaiste Vrchlický należy do tych olbrzymów produkcyi, o których dzieje literatury zapisały, jako o fenomenie łatwości i szybkości twórczej. Jeżeli z podziwienia wyjść nie możemy wobec 400 z górą tomów Kraszewskiego, to produkcya Vrchlickiego jeszcze nas więcej zdumiewa, gdy pomyślimy, że to jednak są rzeczy, z bar-

dzo małym wyjątkiem pisane w mowie wiązanej, która przecież nie przychodzi tak łatwo na zawołanie. A przytem poeta latami życia i pisania dalekim jeszcze jest od kresu, na którym zatrzymał się Kraszewski. Do niego możnaby powiedzieć ten frazes starożytny, to życzenie rzymskie: *Dii tibi dent annos, caetera tibi ipse sumes!*

Nie kuszę się podawać bilansu bibliograficznego prac Jarosława Vrchlickiego, bo to przeszłoby moje siły i rozsadziłoby znacznie ramy niniejszego pobieżnego artykułu. W numerze jubileuszowym „Zlaté Prahy” wyliczono wszystkie prace poety od r. 1872 — 1892. Nie ręcząc za zupełną dokładność tego spisu, widocznie układanego naprędce, bo opuszczone są „Nowe poezye epiczne” z datą r. 1881, znajdujemy tam 38 zbiorów i oddzielnych poematów lirycznych i epicznych (a zatem z opuszczonym tomem 39), 20 dramatów, 3 teksty do muzyki, 3 zbiory nowell, 3 studya literackie i 27 dzieł przełożonych, przeto wszystkiego razem 95 tomów. W tym spisie jest jeszcze 39 tomów i tomików, znajdujących się pod prasą lub spoczywających w rękopiśmie. Produkcya ta bynajmniej nie osłabła, możemy więc śmiało wnioskować, że jeszcze lat kilka życia i pracy, a dwie setki obciążą spisy bibliograficzne dzieł Jarosława Vrchlickiego.

Wprawdzie powie ktoś, że w tej ogromnej powodzi wierszy muszą z konieczności być rzeczy lepsze i gorsze. Nie przeczymy temu, ale możemy każdego ze sceptyków zapewnić, że, gdyby zebrać wszystko, co Vrchlický najsłabszego był napisał, i podarować to jakiemu innemu poecie, to zbiór ten obdarowanemu zapewniłby już sam przez się pierwszorzędne stanowisko w literaturze. A co za rozmaitość tonów i tematów, a przytem form wierszowych! Przed Vrchlickim sądzono, że język czeski jest zbyt prozaiczny, że niełatwo gnie się i poddaje rymom i układowi strofkowemu, a dowodu tego szukano w pewnej monotonii u wielu poetów lirycznych, tymczasem Vrchlický zwycięsko pokonywa najtrudniejsze formy wierszowe, jakich przed nim używała poezya różnych ludów. Tercyny, stance, oktawy, sonety włoskie, ronda, ballaty i ballady starofrancuskie, ritornelle, strofy à la Spencer, gazele oryentalne, pantoumy malajskie, prozę poetycką à la Krasiński i t. d. znajdujemy w różnych zbiorach jego, a do tego dodajmy jeszcze rozmaite misterne wiązania strof, będące niezaprzeczenie wynalazkiem szczęśliwej chwili jego własnego natchnienia.

A jakąż rozrzutną obfitość zdumiewających porównań, metafor, zwrotów poetyckich rozsypuje ten milioner duchowy na każdym niemal kroku, w największych nawet drobnostkach! Co za rozmai-

tość tonów od najwznioślejszych polotów w dziedziny pozazmysłowe do tkliwych wzruszeń serca nad rzeczami powszedniej miary, w których jednak poeta coś z odbicia krasy i nieśmiertelności dojrzeć potrafi, od uniesień, pełnych zapału i wiary w przyszłość, do gorzkiego pesymizmu i zwątpienia. Nieraz, czytając zbiorek liryk Vrchlickiego, doznawaliśmy uczucia takiego, jakbyśmy patrzeli na szalony ruch kalejdoskopu, od którego ćmi się w oczach.

Oczytanie, erudycya, wiedza literacka poety zdumiewa nas, a co więcej przygnębia. Ile ten człowiek musiał przeczytać i jak przeczytał! Po rozmaitych zbiorkach są wiersze, najczęściej ujęte w formę sonetów, charakteryzujące niesłychanie trafnie rozmaitych poetów i autorów, począwszy od starożytnych, a skończywszy na współczesnych. Z tych wierszy, których znaczny zasób posiadamy w tece w tłómaczeniu polskiem, możnaby śmiało ułożyć poetyckie dzieje literatury powszechnej.

Kto ma takie skarby myśli, uczuć, poglądów, wiedzy w swej głowie, mógłby zaiste poprzestać na pisaniu rzeczy oryginalnych i przekłady pozostawić innym, mniej do działalności twórczej uzdolnionym. A jednak Vrchlický przekłada pilnie, wytrwale i przekłada rzeczy nie tylko pierwszorzędnego w literaturze powszechnej znaczenia. Prof. Albert wyliczył w swej broszurze, iż do końca r. 1892 przełożył poezyi większych i mniejszych z 383 poetów francuskich, włoskich, angielskich, niemieckich, hiszpańskich, prowansalskich, katalońskich, portugalskich, wschodnich, łacińskich. Do dziś dnia poczet ich wzrósł niepomiernie. Zdumiewającą jest przytem jego biegłość językowa.

Wśród tych są tacy pisarze, jak Dante, Michał Anioł, Tasso, Aryost, Byron, Edgar Poe, Goethe, Szyller, Leconte de Lisle, Baudelaire, Carducci, Foscolo, Cannizaro, poeta kataloński Verdaguer, prowansalski Gras i t. d. i t. d. Do nich później przybyły między wielu innemi przekłady Luizyady Kamoensa i mistrzowskie tłómaczenie „Dziadów" Mickiewicza.

Pracując usilnie, niezmordowanie, nie usuwa się nigdy od udziału w sprawach publicznych i narodowych. Dawniej ulegał zazwyczaj prośbom o prologi dla rozmaitych uroczystości i zjazdów, póki nie przekonano go, że jest to nadużywanie talentu i czasu i pracę tę mniejszym pozostawić należy. Wobec tego jakże nędznymi, marnymi nam wydają się te żabie skrzeki zazdrośnych chłystków, a nawet lekceważące sądy i uwagi pseudo-przyjaciół. Jednemu z takich nader trafnie odpowiedział w wierszu „Dobra zabawa", który znajdujemy w zbiorku „Pajęczyny".

Gdym cały żywot nad pieśniami strawił,
Rzekł mi przyjaciel: „No, dobrześ się bawił.
Majątku nie masz, lecz sławę u braci!“
Wielka pociecha! Dzięki, miły panie,
Rannemu w boju nieraz się to stanie,
Ma sławę, ale krew powoli traci.

A poeta istotnie krew traci, bo przecież „krew pieśni” cedzić trzeba, jak słusznie mówi Vrchlický w wierszu „Westchnienie“, znajdującym się w zbiorze „Nim całkiem zmilknę”.

O Boże, czegoż do pieśni trzeba?
Tak mało!
Spójrz tylko na kwiat i w stronę nieba,
By się twe serce zaśmiało,

Spojrzyj w twe wnętrze, by ci boleśniej
Załkało, łkało i łkało,
By się na rubin ścięła krew pieśni —
Tak mało!

Krwawić więc pierś swoją, wnętrze swoje rozdzierać musi poeta, aby wypłynęła krew pieśni, która ścina się na rubin. A jednak rubinem tym jakże często lekkomyślni ludzie poniewierają!

Lekceważono i szydzono nieraz i z tego, co stanowi wielkość poety, mianowicie z odczuwania krasy, bólu i uczuć całego świata i wszystkich momentów dziejowych. W tem, co stanowi szczególniejszą oryginalność poety czeskiego, w tej jego rozległości widnokręgów miejscowych i czasowych, dopatrywano złośliwie braku oryginalności. Takim odpowiedział Vrchlický w „Slokach polemicznych”, które spotykamy w zbiorze „Napadało rosy” (1896 r).

Vrchlický stoi tak wysoko wyniesiony po nad powszedni poziom literatury czeskiej, że może z szyderswem pogardy spoglądać zgóry na uwijające się u stóp jego robactwo, usiłujące podgryźć korzenie drzewa jego dobrze zapracowanej sławy. Ma prawo odzywać się z poczuciem swej wyższości na marne zaczepki i ciasne niesłuszne zarzuty. Czasami w poezyach jego znajdujemy echa gorzkich uczuć w obec niezrozumienia go, najczęściej umyślnego. Są to jednak bardzo rzadkie objawy. Czasami odpowie, i to bardzo łagodnie. Na często robiony sobie zarzut, jakoby talent swój rozpraszał na drobnostki, odpowiedział raz z dumnem poczuciem swojego znaczenia i talentu (w wierszu „Same fraszki” w zbiorze „Pajęczyny” 1897 r.)

Nie chcę, nie chcę starej rany
Na targ świata więcej nieść,
Te zabawek filigrany
Drobne, małą budzą cześć.

Z etażerki są to fraszki,
Bibeloty — więcej nic,
Marne, tanie to igraszki.
Nie zrumienią wcale lic.

Lecz pod lupą onyks ryty
Prędko zdradzi mistrza dłoń.
Nieraz więcej, niż drzew szczyty
Tai nam paproci toń.

Takich onyksów, rytych ręką mistrza, takich krótkich, drobnych wierszyków z wielką głębią myśli znajdzie bardzo wiele między utworami poety. Pozwolę sobie przypomnieć tu drobiazg, który w r. 1897 umieszczony w „Wędrowcu" na niejednym czytelniku uczynił potężne wrażenie. Nosi tytuł „Sospiria", a wyjęty jest ze zbiorku „Nim całkiem zmilknę".

Ach, Boże, jam myślał i śnił,
Pracował ze wszech sił,
  A cel gdzie był ?

Głos mój pochłania przestrzeń pusta,
Odpowiedź dają blade usta:
  Czego chcesz więcej? Tyś żył!

Tak jest, żył i żyje poeta, wielki, podniosły, szlachetny, gorący bojownik najcenniejszych ideałów, w czem wybitnie uzewnętrznił charakter swój Słowianina, i to zachodniego. To, co stanowi niezachwianą podstawę jego produkcyi i myślenia, czyni go także poetą ludzkości, co przynosi niespożytą chwałę i jemu samemu, i narodowi, który go wydał, i plemieniu, do którego ten naród należy. A w tem plemieniu znaczna część chluby przypada tym pobratymcom, którzy go najlepiej rozumieją i odczuwają. I on też ich odczuwa i rozumie, czego dowód dał na wielu kartach swoich. Nie darmo w sonetach o Mickiewiczu powiada, że wszystko, co nas się tycze, on

„czuje, niby rany swego czoła".

*

* *

Nie kusząc się bynajmniej o ogarnięcie całej działalności literackiej i poetyckiej Vrchlickiego, uwzględnię poemat tomowy w XII-tu pieśniach z prologiem i epilogiem. Był on dawno przedmiotem marzeń poety, ale powstał dopiero w epoce pomiędzy r. 1894 a 1897, a zatem w czasach, gdy podrażnieni wspaniałością jubileuszu zawistnicy i wrogowie największe wrzaski i kocie muzyki wyprawiali. Najłagodniejsi z nich jeszcze łaskawie zgadzali się z dokonanym faktem świetnej przeszłości autorskiej Vrchlickiego, tylko co do przyszłości dowodzili, że niema się co łudzić, bo wielki mistrz poezyi wchodzić będzie coraz bardziej w stadyum wyczerpania. I, jakby chcąc im zrobić niezbyt pożądaną niespodziankę, mistrz napisał poemat w formie dramatycznej p. t. „Bar-Kochba".

O powstaniu poematu tak się spowiada we „Wstępnem słowie":

„Zagadkowa postać Bar-Kochby czyli Bar-Kosiby, ostatniego samodzielnego władcy Izraela, wiążąca się z ostatnim żywotnym wybuchem żydowstwa, jako państwa samodzielnego, przeciwko ogromnej przemocy światoburczej potęgi rzymskiej, już od dawnego czasu zajmowała umysł twórcy niniejszego poematu. Autor tych wierszy w dumnych rojeniach młodości marzył także o wielkiej epopei całego człowieczeństwa, w której historya o Bar-Kochbie miała być ogniwem podobnie, jako jest niem z jego wykonanych już prac „Hilarion" lub „Julian Apostata". W skutek nabytego z lat późniejszych doświadczenia cały plan upadł, rozbiwszy się na same li tylko większe lub mniejsze „ułomki epopei" [1]). Materyał o Bar-Kochbie ciągle był odkładany głównie dla braku i nieprzystępności źródeł".

Tak więc widzimy, że Vrchlický miał tenże sam „wielki sen młodości", jaki miewali rozmaici wielcy i mniejsi poeci, sen, którego spełnienie było niemożliwością, ale któremu literatury rozmaitych narodów zawdzięczają znakomite, lubo w stosunku do pierwotnego pomysłu fragmentaryczne utwory, jak „Legenda wieków" Wiktora Hugo, lub u nas „Dziady", oraz całe szeregi poezyi epickich Vrchlickiego. Sen zaiste wspaniały, imponujący, choć cząstkowo tylko wyśniony!

„Bar-Kochba" napisany został formą dramatyczną, lubo właściwie jest eposem. W tej formie przepyszna, antyczna w stylu biblijnym proza łączy się ze znakomitym pełnym potoczystości, a zarazem siły i energii wierszem nierymowanym, jambicznym.

---

[1]) „Ułomki epopei" (1886), „Nowe ułomki epopei" (1895)—są to dwa zbiory poezyi epicznych, charakteryzujących rozmaite chwile dziejowe.

Bar-Kochba składa się, jak już wspomnieliśmy, z prologu, dwunastu pieśni i epilogu. W prologu widzimy scenę, niejednokrotnie spożytkowaną przez malarzy—gromada pątników płacze i lamentuje na gruzach świątyni Salomonowej. Słychać głosy, z których jeden powiada:

...„gdzie arka była, tam legowisko liszki, a wśród kamieni zburzonych ołtarzów żmija mieszka. Zamiast śpiewów psalmistów brzmi narzekanie wygnańców i pielgrzymów zgłodniałych, zamiast arcykapłana i proroków tłumy żebraków biją głową o mur milczący”...

A inny prawi na to:

„Jak zboże pod nogą żeńca, padamy bez oporu, obce płomienie trawią miasta i wsie nasze, cudzoziemiec zasiada za stołami ojców i karmi psy swoje wieczerzą dzieci naszych, nasz płacz bije w bramy niebios, a Ty milczysz ustawicznie”.

I znowu poprzedni głos się ozywa:

„Żołnierz rzymski chodzi tam, gdzie lewici kąpali się przed świętą ofiarą. Twe słońce pogląda w bramy miasta i świątyni Twojej i nie zasłania oblicza, księżyc wpuszcza tam swoje łzy srebrne, ale te nie pocieszą i nie pomogą”.

I pielgrzymi wołają, aby Bóg zesłał im przyobiecanego Mesyasza. Wśród pątników przechodzą rabbi Akiba i Meir.

Stary rabin tak przemawia do ucznia swego:

Tu widzisz znowu całą dolę naszą,
Wieczysty lament i kwilenie wieczne.
O mur świątyni tłuką głowy swoje,
Lecz błogosławić za to ich musimy,
Gdyż ta rozpaczna boleść jest jedynym
I żywym świadkiem, że żyjemy dotąd!

Twórca Talmudu wierzy w przyjście Mesyasza, wierzy w nie także i uczeń jego, ale Meir wyobraża sobie, że przyjdzie z zastępami aniołów niebieskich, Akiba zaś oczekuje, że wyjdzie on z ludu. Zwierza Meirowi tajemnicę, iż część broni, wyrobionej przez Żydów na rozkaz Rzymian, ukryto, i że ta czeka na chwilę powstania narodu.

Zjawia się Miriam, prowadząca dwunastoletniego synka Bar-Kochbę. Chłopiec dziwi się, że Bóg dopuścił pohańbienia ludu swego. Zmęczony drogą zasypia obok matki, a nad czołem jego błyszczy wielka gwiazda. Akiba i Meir zastanawiają się nad dziwną jego urodą; rabin prorokuje:

Do wielkich czynów chłopiec ten powołan.
Pan dziwy jego rękoma wykona,
Szczęśliwy jestem, że dziś to rzec mogę.

W mroku nocnym chmura zasłania gwiazdę, po za ścianą świątyni migoczą błyskawice bez grzmotu, i ziemia lekko się trzęsie, a przez scenę przelatuje Asmaweth, jeździec apokaliptyczny, anioł śmierci i zniszczenia. Jest on ogromny, twarz ma spływającą we mgłę, a z mrocznej szaty sterczy biały gnat z kosą. Asmaweth woła:

Jesteście wszyscy potępieni—wszyscy! (znika).

Zaiste scena ta przy swej prostocie robi potężne wrażenie.

W pieśni I („Spotkanie na górze Garizim") widzimy cesarza Hadryana, który pod przybranem imieniem wraz ze swym ulubieńcem Antinousem wędruje po Syryi. Z Samary wracają Akiba z Meirem, oburzeni na separatystyczne usposobienie Samarytan. Spotkawszy się z Rzymianinem, zawiązują z nim rozmowę. Hadryan przedstawia im, iż Żydzi mało powinni widzieć powodów do niezadowolenia z obecnego stanu rzeczy. Macie, mówi, swe szkoły i synagogi, odnowioną władzę synedryonu, wasz handel kwitnie, bogacicie się, wpływ wasz sięga nawet do dworu cesarskiego.

Akiba. To wszystko prawdą jest, retorze mądry,
Lecz to okruchy, które dla Łazarza
Z bogacza stołu spadają.
Hadryan. Wy chcecie więcej?
Akiba. My chcemy wszystkiego.

Zostawszy sam, Hadryan rozmyśla nad tem, co mu rozmowa z rabinem objawiła. Więc Żydzi ciągle jeszcze są nieprzyjaciółmi Rzymu. Postanawia przeto wysłać tam srogiego wielkorządcę Anniusza Rufa, bo „kowadłu młot się należy".

Według podań hebrajskich, Hadryan pierwotnie sprzyjał Żydom, dopiero gdy w podróży do Syryi przekonał się o ich usposobieniu nieprzyjaznem, postanowił wygładzić wszystko, co ideę żydowską ze sławniejszych czasów przypominać mogło. Hadryan zaiste nie był z tego rodzaju władców, co Tyberyusz, Kaligula, Neron i Domicyan, powiada nawet:

Szalony, a ja tam w Rzymie sądziłem,
Że świat spokojny śpi pod mojem berlem,
I że spokojnie żyć jak mędrzec, można.

Był on czemś w rodzaju Józefa II, należał do władców, którzy pragną dobra swych poddanych, ale wobec oporu stają się tyranami i srogimi prześladowcami.

W pieśni II widzimy zgromadzenie ludowe w dolinie Bet-Rimmón. Po charakterystycznych sporach, kto ma przemawiać, rabbi Gamliel, jako głowa synedryonu, udziela głos Joszui ben Chananii, który wraca z Rzymu i oznajmia, że Hadryan bynajmniej Żydom nie sprzyja. „Dowodów"! woła Jose Kisma, „podejrzenie jest tylko plewą na wietrze". „Usta złych doradców nakapały mu jadu w uszy"!—mówią inni. „Hadryan już nam nie wierzy" powiada Joszua. „I ma słuszność"!—woła Akiba. „Czyż można złączyć ogień z wodą, żar słońca z lodem"?

Joszua opowiada dalej, z jakimi edyktami ma przybyć wkrótce Rufus, nowy legat; opowiadanie to sprawia piorunujące wrażenie. Lud woła do głosu Akibę. Stary rabbi, co żywot cały podniesieniu ludu swego i jego lepszej przyszłości był poświęcił, woła do powstania przeciwko Rzymianom. Bogacze stawiają opór, wszczyna się spór, zarzuty zdrady padają z jednej i drugiej strony, mało do walki na pięście nie dochodzi, dopiero Gamliel uspakaja zwaśnionych.

Na przednie miejsce występuje Jose Haglili, wymownemi słowy wychwala Akibę, jako słońce, różę Izraela, serce ludu, przyznaje mu słuszność, iż żąda, aby owca, którą lew chytrze zwabił, że głowę w paszczę mu włożyła, wyjęła ją co żywo, gani jednak za to, iż chce, aby ta owca sama lwu w głowę zęby zapuściła. Korzystając z zaniepokojenia wśród ludu, Jose Kisma każe przed czynem dobrze obejrzeć lwią paszczękę. Nie owieczką jesteśmy wobec lwa, ale muszką. Muszka może brzęczeć w słońcu, byleby lwu z drogi schodziła. Już szala przechyla się na stronę pokoju, gdy Akiba wzywa lud, aby sam wybierał pod hasłem: „wszystko, albo nic"!

Wśród ogólnego wzruszenia Akiba zakrywa szatą oblicze i pada na ziemię z wysilenia. Gamliel wzywa Ducha, co wiódł tyle czasu Izraela, i pada obok Akiby. Wtem słychać grzmot i uderzenie pioruna. Gamliel zrywa się: „To Bathkol (głos) niebieski!" woła. Lud wzywa Akibę na wodza, ale rabbi czuje się zbyt starym i oznajmia, że w grzmocie słyszał słowo: Bar-Kochba! „Kto to taki?" pyta lud.

Akiba. On, który przyjdzie, on gwiazda z Jakóba.
Nasz zbawca prawy i Mesyasz!

Dopóki nie przyjdzie, przywództwo nad ludem dzierżyć ma Akiba. Stary rabbi wznosi thorę i każe ludowi przysięgać, że pójdzie za nim, a kto się z zamysłem rokoszu nie godzi, ten niech przynajmniej nie przeszkadza. Akiba odchodzi z Meirem szukać mesyanistycznego Bar-Kochby.

W pieśni III („Między grobami“) Bar-Kochba w białej szacie, rozdartej na piersiach, siedzi w otwartym grobowcu. We wspaniałym monologu wypowiada wewnętrzną walkę z wątpliwościami, czy zdoła obudzić i wskrzesić lud zamarły, czy spełni czyn, do którego się gotuje przez modły, post i obcowanie ze zmarłymi. Przez dolinę przechodzą Akiba i Meir; rabbi narzeka, że zginął nagle jego uczeń, w którym największe pokładał nadzieje. Wtem z grobowca idzie ku nim biała postać, niby cień umarłego. Akiba poznaje w nim Bar-Kochbę. Nagle wszystkie wątpliwości ucznia „kładą się u nóg jego, niby psy zgłodniałe"; pada do stóp Akiby, obejmuje je. „Wstań, dziecię snów moich!“ mówi rabbi, „czas próby minął... Te groby są składem naszej broni... Jutro już okażesz ludowi swoją misyę. Ma być zorana święta góra Syońska i założone tam nowe miasto pogańskie!“ „To się nigdy nie stanie!“ woła Bar-Kochba.

Pieśń IV nosi tytuł „Wybraniec Pański“. Na stoku Syonu w namiocie siedzi nowy wielkorządca Rufus, któremu syn i legat jego, Tytus Anniusz, oznajmia, że deputacya gminy żydowskiej chce z nim mówić. Deputatów jest trzech: Akiba „żar uczucia“, Theradyon „lód rozumu“, a trzeci—Bar-Kochba! Każdego z nich Rufus każe wpuszczać oddzielnie, a tymczasem zabrać się do spełnienia rozkazu cesarskiego—zorania Syonu. Rozmowa z Akibą, a potem z Theradyonem przypominają nieco rozmowę Irydyona z Ulpianem. Tymczasem Bar-Kochba pięścią powala byka przy pługu, a potem żołnierzy, co się do pługa zaprzęgli. Rufus sam chce pług prowadzić, ale Bar-Kochba z podniesioną ręką wzbrania mu tego. „Ktoś ty, barbarzyńco?“ pyta Rufus, na co Akiba odpowiada wobec ludu:

To wybraniec Pański!
Wstał nowy Saul, i wstał Dawid nowy,
I nowy Samson między zastępami,
Róg swojej siły wylał Pan na niego,
Swój grom do jego mocnej pięści włożył,
Swe błyskawice w oko; i aniołów
Postawił przy nim setki, a ci kryją
Skroń jego swemi stuokiemi skrzydły;
Cios go nie dotknie jego nieprzyjaciół,
On, wielki, kroczyć będzie w pośród małych,

Po głowach gadów stąpać mocno będzie,
Wilczycę starą w samą pierś ugryzie,
Aż ta u nóg mu wszystką krew wycedzi!
Jest to Bar-Kochba, jest to gwiazd syn wielki!
Twój, ludu, nowy król i Mesyasz!

Lud otacza Bar-Kochbę, Akiba ogłasza go królem Izraela, Rufus poglada na wszystko osłupiały, a gdy lud z okrzykami odprowadza Bar-Kochbę, mówi do Tytusa Anniusza:

Wiadomość zaraz trzeba dać do Rzymu;
Ten pożar większym będzie, niż się zdaje.
Akiba czuciem, Theradyon rozumem,
Bar-Kochba większym jeszcze jest — bo czynem!

„Wojskiem Pańskiem" zowie się pieśń V i wprowadza nas do obozu Bar-Kochby. Herold wychodzi z namiotu wodza i wzywwojowników, aby na dowód męstwa i poświęcenia dla sprawy każdy sobie uciął palec u ręki. Do pieńka przystępuje Bar-Kochba i pierwaszy siekierą palec sobie ucina, za jego przykładem idą jeden po drugim, a każdego z uciętym palcem wódz obejmuje i całuje. Młodego, urodziwego Bar-Dromę wstrzymuje matka, która urąga wodzowi, Bar-Kochba przeto za niego drugi palec sam sobie ucina. Ogromny zapał ogarnia całe wojsko.

W pieśni VI („Tur-Simon") widzimy wał twierdzy tego nazwiska. Przed namiotem Rufusa żołnierze rzymscy wbijają siedem krzyżów i wykopują siedem dołów dla jeńców żydowskich. Rufus pragnie dać przykład grozy, aby wiedziano, iż z Rzymem niema żartów. Wprowadzają 14 mężczyzn i kobiet; krzyż czeka mężczyzn, zagrzebanie po pas na pastwę szakalów—kobiety, jeśli która z nich nie powie prawdy, jak powstał spór pomiędzy żołnierstwem a hałastrą żydowską. Z badania okazuje się, że na orszak weselny napadli żołdacy. Rufus w tyrańskiem uniesieniu każe powiesić ojca, narzeczonego i brata panny młodej, a ją samą zagrzebać po piersi i pod krzyżami ognie porozpalać. Kiedy napawa się widokiem męczarni, dają mu znać, że Bar-Kochba zebrał dwie setki tysięcy mężów tak odważnych, iż sobie sami palce u rąk ucinają, a tak silnych, iż wyrywają cedry z korzeniami [1]). Bar-Kochba zbliża się do miasta, żołnierze rzymscy pobici, powstańcy biorą miasto i wyzwalają męczonych. Lud z uniesieniem wita w Bar-Kochbie Mesyasza.

---

[1]) Wzięte z podania rabinistycznego o Bar-Kochbie.

W pieśni VII („Nowy Jeruzalem") przenosimy się do dworca Bar-Kochby w Betarze. Przy stole siedzą głowa i ręka walki świętej. Między nimi zaczyna powoli kiełkować rozdwojenie, rabbi jest przedstawicielem tradycyi, w wodzu budzić się poczyna polityk. Dla Akiby dzieło dalekiem jest dokonania, dopóki Jeruzalem nie zostanie, jak dawniej, głową państwa. Bar-Kochba chce Betar zrobić „nową Jerozolimą". Potem wychodzi na jaw różnica w poglądach na chrześcjan. Bar-Kochba pragnie wciągnąć ich do sojuszu przeciwko Rzymianom, Akiba widzi w nich jeszcze gorszych wrogów, niż Rzymianie, zgadza się jednak na rokowanie z Judasem, biskupem jerozolimskim. Judas, żyd z pochodzenia, daje się chwilami poruszyć ideą patryotyzmu izraelskiego, ale zasady „królestwa nie z tego świata" biorą górę. W monologu Bar-Kochba powiada:

Istotnie sekta ta z innego świata,
Więc ją wypuszczam całkiem z mego planu.
W nas tylko siła. W nas—cóżem powiedział?
We mnie jedynie, bo tak chcę i myślę.
Dziś z chrześcijany — jutro z rabinami
Dam sobie radę w boju, Bóg to widzi!
Moc przeciw mocy. Tak, na ich obroży
Nie daje wodzić się duch, co zwycięża,
Co czyny ceni, a nie słów igraszkę.

Już się wybiera na łoże, gdy nadchodzi Judyta, matka Bar-Dromy, która obroniła syna od ucięcia palca. Przed laty Bar-Kochba patrzał miłośnie w jej czarne oczy gazeli, ale ojciec, bogaty kupiec z Cyreny, wydał ją za bogacza z Cypru. Ponieważ Cypryjczyk trzymał z Rzymianami, padł ofiarą ludu tej nocy, gdy garnizon rzymski wyrżnięto. Gdy jej jedynak podrósł, pospieszył pod chorągwie nowego Mesyasza, który, ceniąc jego młodocianą dzielność i męstwo, mianował go dowódzcą garnizonu w Tur-Simonie. Matka dzięki składa wodzowi; dawne wspomnienia odnawiają się w sercu, i Bar-Kochba zatrzymuje Judytę w swoim domu.

W pieśni VIII („Król i Mesyasz") stajemy w Betarze na placu przed synagogą; u wchodu niewiasty i dziewice plotą wieńce na koronacyę. Rabini sarkają na pychę Bar-Kochby. Josua Haglili powiada:

W istocie jest on na wodza zrodzony,
Jest bohaterem pięścią i ramieniem,
Sam nieprzyjaciel tego nie zaprzeczy,
Lecz nie jest, nie jest, nie jest on Mesyaszem!

Jest tylko puzonem, w który dmie Akiba. „Dla tego bezkarnie depcze rabinów i zakon boży”, dodaje Elieser Asaria. Rabini pocichu wróżą mu zagubę.

Inaczej myślą wojownicy o Bar-Kochbie, który dowiódł, że nie mądrość starych ksiąg, ale siła ramienia coś dokaże i znaczy, a siłą tą jest żołnierz.

Rabini dotąd i nauczyciele
Na zbawczej drodze wiedli Izraela.
Dokąd przywiedli go? Pod jarzmo rzymskie.

Inni rabini pokazują sobie stare monety, które imieniem swem ozdobił Bar-Kochba. Inni znowu narzekają, że z jego łaski Betar podobnie, jak Tyr i Sydon, jak Aleksandrya, napełnił się przedajnemi dziewkami. I sam też nie pozostał w tyle i sobie też wyszukał podstarzałą dziewkę, która teraz zostanie królową. Oburzony Jochanan powiada:

Więc i Mesyaszkę ma Izrael także,
A nie Mesyasza tylko! Jak my wielcy,
Nieprzemożeni wobec Rzymu, jednak
Jednacy z Rzymem—i to w jednej rzeczy,
W gospodarzeniu przedajnych nałożnic.

Nadchodzi orszak koronacyjny; chór kapłanów śpiewa, że Bar-Kochba przewyższył Saula, Dawida i Judę Machabejczyka. W orszaku wojowników i świeckich kroczy pod baldachimem Bar-Kochba w białej szacie, za nim w drużynie niewiast Judyta, a potem Akiba, prowadzący za uzdę białego konia. Przed synagogą przemawia starzec do ludu, wysławiając „syna gwiazdy”, i kończy długą mowę okrzykiem:

Bar-Kochba niechaj żyje, król i Mesyasz!

Bar-Kochba dosiada rumaka i z obnażonym mieczem objeżdża w koło wśród tłumu ludu, okrzykującego i wyciągającego ręce, aby chociaż dotknąć się szat jego, chociaż czapraka na koniu. Poczem zsiada z rumaka, a podawszy rękę Judycie, wchodzi do synagogi na koronacyę.

Pieśń IX nosi tytuł „Bar-Kochba i Bar-Kosiba” (Syn gwiazdy i syn kłamstwa).

W Betarze o zmroku wieczornym gromada robotników pracuje około przekopów podziemnych, które, według tajnego planu Bar-

Kochby, mają być „oczyma Betaru". Robocie przypatruje się król i Eleazar Med, jedyny jego krewniak, święty starzec, zwany duszą Betaru. Serce Bar-Kochby drży niejasnem przeczuciem — pracownicy przy świetle pochodni wydają mu się szeregami grabarzy, grób kopiących, ale odpędza te myśli.

Myślałem o czemś, to nie dobrze wcale
O wszystkiem myśleć, co do mózgu wleci;
Są sny szkaradne, pełne lichych przeczuć,
A tym się trzeba bronić nieustannie.
Tak każdy człowiek wiedzie bój podwójny
Z tem, co jest zewnątrz, i z tem, co ma w sobie,
A drugie bywa gorsze od pierwszego.

Na zapytanie Eleazara Bar-Kochba wykłada tajemnicę swoich przekopów; Eleazar wyraża obawę, że mogą ułatwić zdradę. Odchodząc, mówi:

Ja idę modlić się za nas, za wszystkich,
Jesteśmy wszyscy ptacy w dłoni Pana,
A siła nasza leży tylko w wierze.

Po jego odejściu Bar-Kochba monologuje:

A siła nasza leży tylko w wierze!
Ty nie wiesz nawet, o czcigodny starcze,
Coś wypowiedział. Wszystkiem—wiara w siebie,
Nią góry przenieść można, jak igraszkę,
Nią się zwycięża... Tak, tak, wiary w siebie!

Judyta pyta się męża, jak postępuje praca. Idzie ciężko, odpowiada król, ziemia twarda, kamienie kruszą topory, a przeciwieństwa rosną. Nie tyle lęka się Rzymian, ile oznak wśród własnego ludu, niechętnie poddającego się ciężkiej pracy. Podsłuchał szemrania robotników i podejrzywa, że niezadowolenie rozdmuchują rabini z tego stronnictwa, które już w dolinie Bét-Rimmón było przeciwne jego zamiarom. Naonczas wzięto od nich przysięgę, że, lubo nie zgadzają się, przynajmniej milczeć będą.

Co prawda, milczą, i kret także milczy,
Jednakże ryje dalej w swych podkopach.

Dla ludu leniwego i chytrego potrzeba, aby czuł na sobie żarna, które go mleć będą. Bar-Kochba żałuje, że nie wystąpił z po-

mroku i że nie kazał na miejscu wywieszać szemrających. Gdyby istotnie był wybranym Pańskim, byłaby ziemia rozstąpiła się i pochłonęła ich. Zwątpienie wkrada się w duszę bohatera, tylko we wrzawie bojów utonąć może. Wtem dają mu znać, że niedobitki z wziętego przez Rzymian Tur-Simona przybyli. Wszyscy straszliwie poranieni, na ich czele Bar-Droma z krwawiącemi ranami. Opowiada, jak trzy tysiące jego ludzi biło się, jak lwy, a po wzięciu miasta trzystu przerżnęło się przez wojsko rzymskie i dowlokło do Betaru. Nie przeżyją jednak ran swoich, i on ich nie przeżyje, zrywa więc obowiązki i woła:

Płaczcie, rany moje!
Królowi memu mówcie, że padliśmy
W okropnym boju, lecz jak bohaterzy.

i z ostatniem wytężeniem sił zwraca się do ludu:

O ludu, wiedz i wierz w to, że Bar-Kochba
Jest twym ostatnim królem i Mesyaszem!

Przy trupie Bar-Dromy król każe przysięgać obecnym,

Że żaden z was się nie dotknie pokarmu,
Ni spienionego brzegu pełnej czary,
Ni ust swej żony, łoża odpoczynku,
Ni kędzierzawych włosków dzieci swoich,
Dopóki pomszczon nie będzie Bar-Droma
I jego wojsko w murach Tur-Simonu!
Za wszystkich pierwszy ja składam przysięgę,
A tę przysięgę Pan usłyszy w Niebie,
Nasz Pan zastępów! Niech przylgnie mój język
Do dziąseł z braku ożywczej wilgoci.
Niech moje kości pustyń sęp rozniesie,
Niech głodny szakal zgryzie je na miazgę,
I Samum wirem piasku niech zasypie,
Jeśli nie będzie, nim dziewięćkroć słońce
Zatonie w morzu, pomszczonym Bar-Droma
I powrócony Tur-Simon, choć w gruzach,
Choć w zgliszczach nawet, ale powrócony!

Tymczasem w innem miejscu dwaj rabini agitują pomiędzy kopiącymi żołnierzami.

1 rabbi. No, to są garnce egipskie, o których prawił wam Akiba. Dzień po dniu kopiecie i grzebiecie, jak krety, pod ziemią, a to nie przystoi mężom, zahartowanym w boju.

2 rabbi. A wiecież wy, co kopiecie i grzebiecie? Groby, same groby, dla siebie i dla dzieci swoich..... I ciągnięcie dalej taczkę zemdlenia swego i pohańbienia swego dla jednego człowieka! A on śmieje się z was w duszy swojej i wyplunie was, jak zgniłą figę, która już nie smakuje ustom jego. Jesteście dla niego gnojem, a kwiatem, który wzrośnie z potu waszego, on uwieńczy pyszne skronie zwycięzcy i w końcu —

1 rabbi. Sprzeda was Rzymowi, przed którym nie utrzyma się i utrzymać nie może. Gdyby nawet wstał, jak Gog i Szatan w całej pysze swojej, upadnie.... On Messyaszem? On Bar-Kochbą?

2 rabbi. Jak chytrze zwabił was w sidła swoje, jak zwierza pustyni! On zadusi was sidłem i narzuci żarna na szyje wasze.... On jest Bar-Kochba? Kto czyta tak i tak tłómaczy?

1 rabbi. Onże jest Bar-Kochba? Syn gwiazdy? Czyż to czytać nie umiecie? Bar-Kosiba się nazywa i jest synem kłamstwa, a ono wiedzie do upadku i zatracenia...

Te i tym podobne słowa rabinów padają między żołnierzy. Przychodzi nowy oddział do roboty, ale ten robić nie chcę. „Niech nas wiedzie do boju Bar-Kochba. Ale do dziur krecich nie wleziemy" — wołają. Wtem wpadają niewiasty z przerażającą wieścią, że woda w pięciu studniach Betaru jest zatrutą, bo dziecko, napiwszy się, umarło.

Nagle zjawia się tłum, prowadzący dwu owych rabinów spętanych. Rzucono na nich podejrzenie, iż zielony proszek do studzien sypali. Lud chce powiesić rabinów, ale straże ich bronią. Nadchodzi Bar-Kochba; dla rozsądzenia sprawy każe przynieść dwa puhary z wodą i zniewala rabinów do wypicia. Woda okazuje się zatrutą, obaj rabini umierają w męczarniach, lud wykrzykuje:

„Niech żyje Bar-Kochba, król, Mesyasz!"

Król postanawia wypędzić rabinów z Betaru, nadaremnie Akiba odradza mu ten krok. Bar-Kochba czuje, że wiele winien Akibie, ale cofać się nie chce, nie może; mówi więc:

Zrozumiej także, żem tu władcą, królem,
Choć nie Mesyaszem, bom niegodzien tego,
Twym sługą, uczniem — lecz nie mogę dalej
Ni kroku postąpić.

Rabini wyklinają w synagodze Bar-Kochbę, ten zaś wypędza ich z miasta. Herold królewski ogłasza jego dekret ludowi, ten różne uczucia objawia. W obronie rabinów odzywa się nieznany starzec, który, naciśnięty o imię, wyznaje, że jest Ahaswerem (żydem tułaczem). Ktoś go pyta, co sądzi o Bar-Kochbie. Na to starzec:

Już powiedziałem, że jest to bąbel; dziś nadyma się, a jutro pęknie... on zniknie, jak zjawisko, i będzie noc.

Przechodzą wypędzeni rabini z lewitami i uczniami, Elieser Assaria niesie thorę, zawiniętą w czarną szatę. Lewici i uczniowie śpiewają:

Chmurę czarną spuścił Pan na głowę Izraela. Wydał serce ludu w ręce gwałtownika, ale na jak długo? Nie zawiedzie nas Pan, On wieczny w obietnicach swoich i nie zawiedzie tych, którzy w Nim ufność pokładają.

Każdy z nich grozi Bar-Kochbie karą Bożą, a Izmael ben Eliasza tak mu powiada:

Ja wkrótce umrę. Ale to ci mówię:
Tyś okaleczył ramię Izraela,
Tyś oczy jego wyłupił, rabinów,
A przeto ramię twe jest odsądzone
I wyłupione własne oko twoje.

Na końcu idzie Elieser Assaria, który woła głosem wielkim:

I ja odchodzę, lecz rzec jedno muszę,
Nie tobie jednak, bowiem wiesz to dobrze,
Ludowi tylko, który zaślepiony
Przez ciebie sam się rzuca w noc zaguby.
Tyś nie jest prorok, tyś nie jest Mesyaszem,
Bar-Kochba zwiesz się? Źle znasz swoje imię
I źle Akiba imię to tłómaczy.
Tyś synem gwiazdy — Bar-Kochba? — K o s i b a
Należy czytać, a to znaczy k ł a m s t w o,
Tyś s y n e m k ł a m s t w a i nim wżdy zostaniesz!

Brama już się zamyka, wtem biegnie Akiba za braćmi swymi. Nadaremnie Bar-Kochba zaklina go, aby pozostał. Chce odejść także i Eleazar Med, ale lud go nie puszcza. „Tyś dusza Betaru, sumienie ludu, boży głos w nas!” woła człowiek z ludu. „Czemże ja jestem?” zapytuje król zgnębiony.

W pieśni X p. t. „Cień Szeolu" (t. j. państwa podziemnego, Bar-Kochba, opuszczony przez rabinów, miotany niepokojem) jaki będzie koniec jego walki z Rzymianami, bada Eleazara Meda, jakimby sposobem wejść w stosunki z światem niewidzialnym. Akiba, największy mędrzec w rzeczach świętych, mówi stary rabbi, nie uznawał ciebie za godnego wtajemniczenia w owe tajemnice, i ja ci ich nie wyjawię.

Wojownik jesteś, wódz, król, jesteś władca,
Przekopów pilnuj, zasobów dla wojska,
Patrz, jak odeprzeć wsze natarcia Rzymian,
Co, jak łańcuchem, Betar otaczają,
To pole twoje; do państwa tajemnic
Ty się nie wedrzesz.

Muszę tam się wedrzeć, odpowiada Bar-Kochba. Nasz stan podobnym jest do tego, który znosił Jeruzalem przed laty. Chcę mówić z tymi, którzy naonczas żyli,

Niechaj naukę dadzą swym potomkom
I ostrzeżenie przed przyszłą zagubą.

Nadaremnie błaga i przekłada, Eleazar Med odchodzi. Wtedy Judyta, która, leżąc na rogoży, przysłuchiwała się całej rozmowie, urąga rabinowi i powiada, że ona więcej wie, niż Eleazar. Kiszuf, czarna magia, wymaga, aby przedewszystkiem wyrzec się Boga, a na to starzec nie ma odwagi. Pragnienie uchylenia zasłony przyszłości popycha Bar-Kochbę tak daleko, że się odważa na wszystko.

W następnym epizodzie widzimy Judytę z mężem w jaskini na dolinie Józafata, gdzie wyglądają zakratowane grobowców otwory. Na trójnogach pali się kadzidło. Judyta wzywa duchy pierwiastków, Satanim. Wszelkie zamawiania i zaklęcia nic nie pomagają, pozostaje jeszcze jeden środek, ofiara krwi niewinnej. Bar-Kochba pragnie krwi swej z piersi utoczyć, ale ta krew nie jest niewinną, Judyta więc przyprowadza małego Izmaela, pastuszka, którego wyłudziła od matki, i w fanatycznej zatwardziałości serca zarzyna go na ofiarę Szatanom. Wzywa ich, aby ożywili kości Jana Giskali, jednego z bohaterów oblężenia Jerozolimy za dni Tytusowych; bluźnierczo oddaje hołd najwyższemu królowi potępienia Samaelowi. Kadzidła walą się gęstą smugą, płomień bucha i gaśnie, wiatr z zewnątrz szaleje, długi cień szary spływa przez kratę otworu grobowego i stoi nieporuszony.

Bar-Kochba. Już jest, Judyto! Ach, jakże straszliwy!
Judyta. Więc prędko pytaj!
Bar-Kochba. Krew się w żyłach ścięła,
Co pytać, nie wiem, chociaż w długiej nocy
Myślałem o tem, układając w głowie,
Ja nie wiem, nie wiem... pytaj więc ty sama.
Judyta (wstaje i wlepia oczy w cień, który stoi nieporuszony).
Mów, cieniu, jaka będzie dola nasza
I koniec boju wszego z Rzymianami.
Cień. Śmierć i zniszczenie!
Judyta. Lecz kogo się tycze
Ta śmierć, zniszczenie? Snadź wilczycy starej?
Cień. Jak zawżdy tego, co na nie zasłuży!
Judyta. A jakie dalsze losy Izraela
Przez wieki będą?
Cień. Znów śmierć i zniszczenie!
Judyta. Dlaczego? powiedz.
Cień. Śmierć za winą kroczy,
Zniszczenie obok niej....
Judyta. Nic nie wiesz więcej?
Cień. Śmierć i zniszczenie, i zaguba wszystkim!

Bar-Kochba z dobytym mieczem rzuca się na cień, przebija mu pierś, ale z przerażeniem spostrzega, że ciepła krew oblała mu ręce. Biegnie ku wchodowi jaskini i spostrzega Ahaswera, który noce spędzał po grobowcach, siedzącego na kamieniu, co wchód zawalał. Nie lęka się miecza Bar-Kochby, bo ten mu żywota odebrać nie zdoła, tytaniczną siłą odwala kamień i uchodzi. Przez otwór wpada do jaskini świt poranku i głos z pomiędzy gór, wołający Izmaela. Przerażenie ogarnia Bar-Kochbę; to ojciec szuka zabitego pacholęcia. Judyta gotowa zgładzić i ojca, ale mąż stanowczo opiera się temu. Słowa nieszczęsnego zapadają w jego duszę, jako wyrzut niezgładzony. Zdziwiona Judyta mówi, ocierając krwawy miecz Bar-Kochby:

Przywykłeś całe mordować zastępy,
We krwi tysiąców szaleć, a zadrżałeś
Przed krwią dziecięcia? (przerzuca płaszcz przez trup Ismaela)

Bar-Kochba (nie podnosząc głowy, ponuro).
Bo było bez winy!

W pieśni XI p. t. „Stara wilczyca“ poeta przenosi nas na gruzy Tur-Simonu do obozu Gajusa Juliusa Sewera, doświad-

czonego w walkach z Gallami i Brytanami, a obecnie nowego wielkorządcy Judei. Siedzi on w namiocie nad mapą, czując, że położenie jest nad wyraz trudne. Szpiegowie nic mu donieść nie mogą, a jeśli forpoczty zachwycą języka, to trafią tylko na żebraka, obłąkanego lub idyotę. Raz wpadli na całą gromadę trędowatych i uciekli przed nimi co żywo. Tytus Anniusz, jego legat, syn Rufusa, utwierdza go w wątpliwościach, malując żydów, jako gady, które użądlają skrycie, gdy się człowiek ani spodzieje. Sewer zamyśla Betar głodem zmusić do poddania, ale jest to oręż obosieczny, bo i wojsku może zabraknąć żywności w okolicy, jakby umyślnie spustoszonej. Przychodzi centuryon z oddziałem wojska, prowadzący schwytanych trzydziestu rabinów, których Bar-Kochba z Betaru był wydalił. Ale porozumienie z nimi trudne, bo milczą, jakby po łacinie nie rozumieli. Przywołany na tłómacza Tytus Anniusz przemawia do nich po hebrajsku, jeńcy więc zlecają Akibie, aby za nich z nimi się rozmówił. „Ty jesteś głową i duszą buntu“, mówi mu Tytus. „Jahwe jest głową“, odpowiada rabbi, „a Bar-Kochba jego karzącem ramieniem“. „Ale bez ciebie nie byłoby Bar-Kochby“. „Jak bez błyskawicy nie byłoby gromu“ odpowiada Akiba, a dalej oświadcza, że nawet męczarnie nic z nich nie wydobędą. Anniusz domyśla się, że między rabinami a Bar-Kochbą nastąpiło zerwanie, ale z ust Akiby słyszy tylko, że oni sprawy ludu i króla swego, lubo niegodnego, nigdy nie zdradzą. Jeszcze kusi go, aby wskazał wejście do tajemnych korytarzy pod ziemią, o których szpiegowie donoszą, ale i na to słyszy tylko taką odpowiedź Akiby:

Więc zostawiłeś najgorsze na koniec.
Tak nędzne nie są syny Izraela,
By tak zdradzali naród i ojczyznę.
Gdzie wejście, to jest tajemnicą wszystkich
I tajemnicą także pozostanie.
Co chcesz, to uczyń, wezwij wszystkie męki,
Śmierć samą wezwij, co za niemi idzie,
Lecz nam ust nigdy, nigdy nie otworzysz,
Bośmy i głusi i niemi, jak groby
Jasafetowe. Rzekłem, i z tem wszyscy
Są w pełnej zgodzie.

Sewer, wódz oględny, nie unosi się tyrańskim porywem, jakby to uczynił był Rufus. Każe odprowadzić rabinów, obchodzić się z nimi łagodnie i dopiero nazajutrz rozpocząć nowe badanie. Tymczasem straże przywodzą pasterza Barucha, ojca zabitego przez Judytę Ismaela, którego odciętą głowę ze sobą w worku

przynosi. Skradał się do obozu rzymskiego umyślnie i stawiony przed Anniuszem, opowiada o zbrodni, dodaje, że wypatrzył Bar-Kochbę z Judytą, gdy wchodzili po za krzakiem do tajnego wejścia. Obiecuje doprowadzić Rzymian do miejsca. W tryumfalnem uniesieniu Anniusz wykrzykuje:

Bóg wojny dotąd nie opuścił Rzymu,
Chytrością słynie wżdy wilczyca stara,
Gdzie moc zawiedzie—chytrość wżdy pomaga!

Pieśń XII („Upadek Betaru") prowadzi nas do łożnicy królewskiej. Na łożu leży półsenna Judyta, a wielki wąż spoczywa obok niej i głowę kładzie na jej piersi.

Judyta. Samael wielki, pan twój kiedyż przyjdzie,
Aby wykupił nas z tego ucisku
I wrócił światu nas i żywotowi?
Dzisiejszej nocy myślałam spokojna,
Że zamiast ciebie leży na mem łonie,
Szeptałam sobie jego święte imię,
Lecz za odpowiedź brzmiał mi głos Bar-Kochby:
Cóż począć mamy w tym ucisku?

Do łożnicy wchodzi Bar-Kochba, oznajmiając żonie, iż rozpoczęło się oblężenie.

Dzielny mąż czuje napływ nowych sił:

Jestem, jak przed laty,
I hasło moje nazywa się czynem.

Każe przynieść dwie czasze wina, aby wypić je przed bojem. Spostrzega węża i robi wyrzuty żonie, iż go tymi zabobonami niepotrzebnie straszy. Judyta, która kult ofityczny (wężów) i czarną magię przyniosła z ojczystej Cyreny, powiada mu, że w nocy zjawił się jej sam Samael, że wąż, co spał na jej łonie, miał ludzką twarz „smutnie piękną, smutnie miłą". Bar-Kochba stara się wybić jej z głowy przywidzenia, które „czynią z nas niewolników", mówiąc:

Wróć się do światła, którem rzeczywistość.
Ja nie podległem twoim przywidzeniom,
Jam był silniejszy, i ty nie podlegaj;
Patrz w jasne światło, nie szukaj ciemności,
Miłością wszystko staraj się wyrównać,
A twój Samael mojemu Jehowie
Na pojednanie w końcu rękę poda.
Wżdyć wiecznie walka owa trwać nie może,
Co w zło i dobro cały świat rozszczepia,
Żywioły waśni z czasem się unużą
I ze wszystkiego tryśnie zgoda, pokój!

Wszak to ostatnia meta wszego świata,
Wszak to najwyższe ludzkości żądanie,
Niewiastą jesteś, więc się nie opieraj,
Niewiasta—pokój, zgoda i harmonia!

Dla ciebie tylko, z miłości ku tobie, aby ci dopomódz, puściłam się na te bezdroża, powiada Judyta i żąda od niego, aby, jeśli przyjdzie nań ostateczna chwila i Rzymianie miasto zapalą, on umarł z nią razem.

Bar-Kochba. Przysięgam bogu światła i ciemności!
Do ciebie przyjdę w chwili ostatecznej,
I śmierć zastanie oboje w objęciach.

Na wałach Betaru wre walka, na ulicach pod okopami lamentują niewiasty i dzieci głodne i spragnione. Wieść o szatańskich praktykach Judyty przedarła się już do tłumu. Starzec opowiada, jak to było w czasie oblężenia Jerozolimy za Tytusa. Widok modlącego się Eleazara dodaje ducha; dopóki on, jak drugi Mojżesz, trzyma ręce do góry, dopóty sprawa Izraela nie upadnie. Wchodzi Bar-Kochba, na widok niewiast płaczących gniewem wybucha:

To straszne—tam bój na śmierć i życie, a tu kwilenie babskie.
Czego wy chcecie, wy sroki obrzydłe?

Słysząc, że niewiasty skarżą się na głód i pragnienie, każe im pójść do Judyty, aby ta nakarmiła ich i napoiła z zasobów pałacowych, ale niewiasty boją się czarownicy. Widok modlącego się Eleazara o wściekłość go przyprawia, zdaje mu się, że Ahaswer z nim rozmawia. Wierząc jedynie w czyn, każe kiryśnikom uciąć Eleazarowi obie ręce po ramiona, aby przestał już wyprawiać kuglarstwa, a potem strąca go ze skały.

W nocy tajemnym wchodem wdzierają się do miasta Rzymianie, prowadzeni przez pasterza Barucha, który na żerdzi niesie głowę Izmaela. Pobiwszy straże, czekają po cichu na odgłos nowego ataku. Wtem zabrzmią trąby, płomienie z trzech stron buchają. Wpada Bar-Kochba i mieczem tłucze do bramy pałacu. Księżyc wydobywa się z za chmur, a na nich zjawia się Asmaweth z kosą, wołając:

A wszystkim zguba, śmierć, zniweczenie!
Bar-Kochba. Zjawisko nowe! Lecz ja się nie boję!

Uderza mieczem Asmawetha, który nie zwraca na to nawet uwagi i leci dalej w obłoki, tylko kosa, dotknięta ciosem miecza Bar-Kochby, tnie go w twarz.

Bar-Kochba. A co to było? Jak krew i płomienie!

Wtem z wojska, dotąd w cieniu utajonego, występuje Baruch i żerdź z głową Izmaela trzyma przed Bar-Kochbą.

Baruch. A o tej głowie wszak pamiętasz? Prawda?
Bar-Kochba. O cienie, same cienie i straszydła!
Rzeczywistości pragnę, światła, czynu...
Zapadam w ciemność.—Przyrzekłem Judycie,
Że wraz z nią umrę i dotrzymam słowa!

Otwiera się brama i Bar-Kochba wchodzi do pałacu. Pożar i rzeź szerzą się na wsze strony. Podziemnym wchodem walą nowe szyki rzymskie. Cień Asmawetha znowu leci przed obłoki, wołając

Jesteście wszyscy potępieni, wszyscy!

Nazajutrz ranek oświeca zgliszcza Betaru. Sewer ogłasza nagrodę temu, kto przyniesie mu Bar-Kochbę żywego lub umarłego. Baruch z żołnierzami ze zgliszcz pałacu wynosi trupa, czarnym płaszczem obwiniętego. Z przerażeniem wódz rzymski płaszcz podnosi. Bar-Kochba leży martwy, twarz zczerniała, jak węgiel, wielki wąż okręca jego ciało.

W epilogu rabbi Meir, nie ostatni z 24,000 uczniów Akiby, opisuje, jak po straszliwej męczarni, gdy 120 letniemu starcowi żelaznemi kleszczami skórę z całego ciała ściągnięto, umierający miał „widzenie wieków". Oczyma ducha oglądał, jak rodem ludzkim dzielili się czterej jeźdzcy. Pierwszym był Asmaweth śmierć, drugim Milkhama wojna, trzecim Ra'ab nędza, a czwartym Magepha, mór. Milkhama przybrał twarz Tytusa imperatora, Ra'ab twarz Hadryana, Magepha twarz Bar-Kosiby, a Asmaweth rozmaite twarze przybierał. I Akiba widzi prześladowanie ludu izraelskiego przez cały ciąg wieków, a gdy umiera, odmawia *kaddisz*, wzniosłą modlitwę modlitw za umarłych i ze słowami „Jehowa Erhod", co znaczy Istotą jest Bóg, istotą jedyną, kona.—A gdy wszyscy padli na ziemię, potężny głos Bathkolu zawołał:

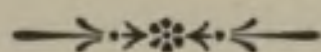
„Niech będzie błogosławiony na wieki Akiba, niech będzie błogosławiony sprawiedliwy, który umarł, mając na ustach swych imię Jedynego!"

Epilog ten, według słów samego poety, zbudowany jest głównie na książce „Emeh habacha" (padół łez) przez Józefa ha Cohen. Trzeba przyznać, że epilog ten godnie zakończa wspaniały dramat Vrchlickiego.

Musielibyśmy chyba nie znać naszego „wieku obłudy", abyśmy przypuszczali chociaż na chwilę, że obranie takiego tematu i obrobienie go z całem przejęciem nie da pochopu wrogom poety do szarpania go za wrzekomy filosemityzm. Rzeczywiście, potrzeba wielkiej odwagi, aby w dobie antysemityzmu, syonizmu, Dreyfussiady i tym podobnych objawów podejmować taki przedmiot i w taki sposób. A jednak łatwo zrozumieć, że Vrchlický mógł to uczynić bez oglądania się na względy syndykatów i związków żydowskich. Jako prawy poeta, bynajmniej nie hołduje czasowym, politycznym, stronniczym względom — jego pociąga wszystko, co wielkie, wzniosłe i ludzkie. „Bar-Kochba" stanowił jedno z ogniw jego marzeń młodzieńczych o wielkiej epopei wszechludzkiej, która, rozprysnięta w szczątki, posypała na literaturę czeską deszcz brylantów. Między tymi „ułomkami epopei" padł większy dyament „Bar-Kochba". Vrchlický i Juliusz Zeyer posiadają przedziwną intuicyę i erudycyę, które pozwalają im wżyć się całą duszą w obrany przedmiot. Kiedy twórca „Hippodamii" obiera przedmiot antyczny, utwór jego przemawia językiem klasycyzmu, błyszczy wszelkiemi barwy helleńskiemi i rzymskiemi; w tematach średniowiecznych staje się on dzieckiem owego czasu, drżącym przed zabobonem i widziadłem i modlącym się z żarliwością ascety. Żarliwość biblijno-talmudyczna, a przytem język obrazowy, symboliczny musiały odbić się w eposie, osnutym na tle judaizmu. Oprócz przejęcia się duchem faktu, narodu i epoki odczuwamy tam jeszcze działanie innych motywów, które czynią Vrchlickiego poetą słowiańskim, i to zachodnio-słowiańskim.

Byłoby bardzo zajmującem porównać „Bar-Kochbę" poety czeskiego z innymi utworami po różnych literaturach, traktującymi ten przedmiot, tyle ponętny dla obrobienia poetyckiego. Na ten raz ograniczymy się jedynie na wzmiance o naszym dramacie „Syn gwiazdy" pióra Felicyana Faleńskiego. Poemat ten dramatyczny, ujęty w trzy akty, był przedstawiony do konkursu dramatycznego krakowskiego r. 1870 i wyróżniony został na nim, jako dzieło znakomite pod względem literackim, ale nie nadające się do przedstawienia na scenie. Tragiczne dzieje Bar-Kochby zostały tutaj pochwycone z innego punktu widzenia i inaczej przedstawione i obrobione. Co wiąże dramat Felicyana z eposem dramatycznym Vrchlickiego — to obok jednakowości tematu jednakowe traktowanie języka, wzorowanego na obrazowej i energicznej mowie doby Talmudu. *Bronisław Grabowski.*

Dwa oblicza Sfinksa.



Słońce duże, czerwone zataczało się na widnokręgu, tonąc w oceanie piasków pustyni. Karawana, z którą przybyłem, układała się na nocleg pod palmami, otaczającemi strumyczek — drobną oazę zieloności i świeżości wśród szarego, jednostajnego rozpalonego piasku, ścielącego się do krańców widnokręgu. Ogromne stożki cieniu padały od jakichś przedmiotów, zakłócając jednobarwność równiny piaskowej, i, rosnąc szybko w miarę zapadania się słońca, rzekłbyś zbliżały się ku nam.

Jakaś siła pociągała mię ku tym cieniom. Szedłem więc ku nim, a one zbliżały się ku mnie, aż wreszcie znikły, gdy ostatnie promienie słoneczne ukryły się za zarysem rzucających cienie przedmiotów; a wtedy rozpoznałem, iż były to olbrzymie piramidy kamienne. Lecz bardziej jeszcze, niż te kolosalne pomniki pracy i niewoli ludzkiej, pociągała mnie ku sobie stojąca opodal postać Sfinksa. Zbliżyłem się do niej i przyglądałem się jej długo.

Spokojny, nieruchomy złożył swoje olbrzymie kamienne łapy nakształt drzemiącego lwa i patrzał, wznosząc dumnie kolosalną głowę, w przestrzeń przed siebie swojemi dużemi, próżnemi oczyma, które, zdawało się, wszystko widziały, ale niczego ciekawe nie były.

Słońce już zatoczyło się pod horyzont, i gęsty zmierzch zaczął szybko spadać na ziemię. Lecz nie na długo. Ze strony bowiem wprost przeciwnej tej, gdzie ukryło się słońce, wytaczał się teraz wspaniały, purpurowo-złoty księżyc i rzucał swoje łagodne światło wprost na oblicze Sfinksa.

Przyglądałem się ciekawie temu potworowi kamiennemu, od tylu stuleci drzemiącemu na podstawie swojej, w te rysy nieruchomej, granitowej twarzy.

— Ileż tajemnic ukrywa się pod owym kamiennym spokojem, myślałem. Ilu wieków świadkiem, ilu wysiłków ludzkich wyrazem była ta postać olbrzymia!

Myśli snuły się precz, jak pajęcza tkanina promieni księżycowych, które mglistym światłem oplątały Sfinksa, równinę i mnie samego, zgubionego wśród tych dwu ogromów — natury i dzieła ręki ludzkiej. Im dłużej się wpatrywałem w to zastygłe oblicze, im potężniejszy snop promieni spadał od wznoszącego się coraz wyżej księżyca, tem dziwniejszą wydawała mi się twarz Sfinksa. Jakieś ledwie dostrzegalne błyski zaczęły ukazywać się w oczach jego, i jakiś promyk inteligencyi, zdawało mi się, tryskał z nich i przemawiał do mnie, a z rysów kamiennych zsuwała się powoli ledwie dostrzegalna przejrzysta zasłona, i rysy te przybrały wyraz tak ludzki, że mimowoli wyciągnąłem ku niemu ręce i zawołałem, cały przejęty magnetycznym urokiem tej postaci:

— Ty, co posiadasz tajemnicę wszechbytu; światło, ku któremu daremnie dąży przez tysiącolecia ludzkość; słowo czarodziejskie, za którem tęsknią próżno i, tęskniąc, umierają najpiękniejsze jej umysły... Dlaczego kryjesz to wszystko pod maską z kamienia? Dla czego nie przemówisz do nas głosem ludzkim i nie udzielisz nam słowa zagadki, którego tak gorąco poszukujemy, aby, nie słysząc go, zakończyć krótko trwającą drogę naszego żywota?

I stałem tak przed nim, wpatrzony w olbrzymią jego postać, wyciągając do niego błagalne dłonie.

Nagle...

Drgnąłem... Wydało mi się, że kamienne wargi potwora poruszyły się cokolwiek, a jednocześnie głos głuchy, podziemny, daleki, podobny do łoskotu toczących się gdzieś głęboko w przepaść głazów, wyszeptał jedno słowo:

— Patrz!

Otworzyłem szeroko oczy — nie tyle ulegając owemu nakazowi, ile mimowolnie zdumiony i przerażony tem, co się działo. Szare, granitowe oblicze Sfinksa poczęło szybko rosnąć w oczach moich. Zanim zdołałem opamiętać się, już zasłaniało cały widnokrąg od

wschodu do zachodu; już zakryło niebo, wznosząc olbrzymie czoło wysoko ku zenitowi, a potworne łapy zwierzęcia pokryły całą ziemię, otaczając mnie masą szarego ziarnkowatego głazu. Byłem podobny do drobnego ziarnka maku, rzuconego wśród olbrzymiej masy skał, a masa ta wciąż rosła i rosła w oczach moich. Już straciłem zarys jego głowy; rysy twarzy rozpłynęły się w jakieś bezkształtne wzgórza granitowe — a na ich powierzchni widziałem, jak gdybym patrzał na nią przez potężne szkło powiększające, wszystkie skazy, wszystkie żłobki, wyryte przez gnane Samumem ziarnka piasków pustyni, wszystkie zagłębienia, wytoczone przez rzadkie kropelki rosy przyzwrotnikowej.

Mogłem już widzieć pojedyńcze kryształy mikroskopowe minerałów, z których składał się głaz i pory między nimi, i drobny zapełniający je pyłek, a wszystko to wciąż rosło jeszcze w oczach moich, jak gdyby jakiś duch niewidzialny trzymał przed nimi mikroskop, którego siła powiększająca wzrastała z niezwykłą szybkością.

Teraz już nie widziałem ani kamieni, ani piasku, ani drobnych kryształów, ani otworków między nimi. Wszystko to rozdzieliło się, rozstąpiło, rozsunęło w przestrzeń niezmierzoną. Przedemną wirował cały świat atomów, opisujących rozmaite powikłane drogi. Był to raczej niezliczony zbiór światów, układów planetarnych o niezależnych słońcach, lecących w przestrzeni w rozmaitych kierunkach z krążącemi dokoła planetami i ich satelitami, a wszystko przedstawiało widok tak dziwny, ruchy były tak powikłane i tak harmonijne zarazem, że wprawiały w zachwyt i olśniewały.

A obraz, na który patrzałem, rósł nieustannie.

Teraz już nie drobne świecące się punkciki—atomy, ale prawdziwe słońca o blasku nieznośnym dla oczu przesuwały się przedemną w szalonym biegu, a dokoła nich krążyły, wirując, ciemne satellity, obrócone to dzienną, to nocną stroną ku mnie, pokryte lądami i morzami, śniegowemi polami i zwrotnikowymi lasami, łańcuchami gór o lodowych szczytach i przepaściami z szumiącymi na dnie ich wodospadami... I oto ku zdziwieniu memu w jednej z tych planet poznaję ziemię.

Tak, niewątpliwie była to ziemia!

Nie tylko rozróżnić mogłem zarysy lądów i mórz, jak je zwykle widzimy na globusach. Pomimo, iż była niby małą, — bo zajmowała zaledwie drobną część niezmiernego pola mego widzenia, — mogłem wyraźnie widzieć na niej góry, rzeki i doliny; nawet strumyk, otoczony palmami, pod któremi spoczywała nasza karawana, i wiel-

błądy, spoczywające nad jego srebrzystem ruchomem zwierciadłem, i nieopodal wznoszące się masy piramid i postać kamienną Sfinksa.

Wrażenia moje przestrzeniowe uległy jakiejś niezrozumiałej przemianie. Bo nie tylko widziałem na ziemi wszystkie przedmioty, dostępne zwykłemu wzrokowi śmiertelnika, ale z poza nich, jakby delikatny rysunek tła materyi, na której grubszemi liniami wyrysowano obraz, przeświecały niezliczone ich składowe części, jasne i wyraźne dla oka, jak gdyby się nie różniły wielkością od tamtych.

Widziałem miliony wirujących atomów w każdej kropelce wody, spadającej w Niagarze; widziałem kolosalną i skomplikowaną budowę cząsteczek chlorofilu w każdym zielonym liściu; widziałem rozsypywanie się i odbudowywanie gmachów czątkowych w czerwonych ciałkach krwi zwierząt pod wpływem oddychania...

Oko moje rozkładało Wszechświat na najdrobniejsze składniki, a jednocześnie widziałem wszystkie pośrednie budowle, wszystkie stopnie tego rozkładu od olbrzymich systematów planetarnych o kilku różnobarwnych słońcach do najdrobniejszych połączeń atomów, nie mających ani barwy, ani kształtu, ani wielkości — a rozum mój daremnie usiłował pochwycić związek wzajemny tych składników. Rozumiałem, iż są to stopnie, jakby schody niewidzialne, po których wzrok przebiegał od olbrzymiego do najdrobniejszego, tak jak woda spadająca w parku Yellostown spływa z tarasu na taras, ale objąć związku całości nie mogłem. Wszystko mi się wymykało, rozsypywało, rozpraszało, jak maszynerya zegarka, rozkręconego niebacznie ręką dziecka, którą daremnie usiłuje ująć i zebrać w całość: pojedyncze kółka wyślizgują mu się z pod palców, wypadają i nie chcą stanąć obok siebie, połączyć się w całość żywą, czynną, jedną.

Nie tylko mój zmysł postrzegawczy uległ owemu tajemniczemu przeobrażeniu. Czas przestał widocznie także istnieć dla mnie, a przynajmniej znikła wszelka różnica w długości jego trwania. Widziałem, jak z niezmiernych mgławic gazowych tworzyły się gęstsze obłoczki, które, skupiając się coraz bardziej, oddzielały w ruchu wirowym pierścienie. Pierścienie te rozrywały się w oczach moich i zbiegały, tworząc jedną kulę planety, podczas gdy środkowa żarowo-biała, olśniewająca masa stawała się słońcem. Widziałem, jak rozżarzona masa planet przybierała coraz to ciemniejszą czerwoną barwę; jak stawały się zupełnie ciemne i otaczały się zastygłą skorupą, która następnie pękała pod naciskiem wewnętrznej rozżarzonej masy. Widziałem, jak masa ta wypływała na wierzch ognistymi potokami i pochłaniała tonące w głąb bryły zastygłe; jak

po długiej walce ciemna skorupa zwyciężała ją wreszcie i obejmowała, więziła i ściskała swymi potężnymi pierścieniami; jak stygła planeta, fałdując powierzchnię swoją w olbrzymie łańcuchy gór i w potężne lądy; jak wytwarzały się na niej morza, a dokoła obłoki; spadały deszcze i pokrywały ową skorupę bazaltów coraz to grubszą warstwą rdzy-ziemi. Widziałem, jak atomy tlenu, utrzymywane dotąd zdala siłą żaru, łączyły się z atomami metali i zaściełały planety coraz to grubszemi warstwami tej rdzy życiodajnej; jak pod wpływem wilgoci i oziębienia łączyły się z sobą atomy tlenu, węgla, wodoru, azotu, siarki w coraz bardziej i bardziej skomplikowane związki, wytwarzając wreszcie pierwsze cząsteczki białka, pierwsze bryłki żywej protoplazmy.

Widziałem dalej miliony pokoleń tych ameb, powstające jedne z drugich w oczach moich, coraz się komplikujące, przeobrażające się w twory bardziej złożone, wielokomórkowe, o organizacyi wyższej. Jedne z nich przybierały kształty rozgałęzione, wytwarzały barwnik zielony i rozwijały się w niezliczoność form królestwa roślinnego; inne mnożyły się w nieskończone kształty zwierząt, których biliony pokoleń następowały po sobie, to przybierając postać olbrzymich raków ammonitów i głowonogów, to wyrastając w potworne płazy, ptaki lub czworonogi, aż gdzieś wytworzyły się gromady istot zwinnych, o sprytnych oczach i wyrazistej twarzy, podobnych do małp i do ludzi.

Otóż już gromadki prymatów zaczynają wyróżniać się prostą postawą i wzniesioną głową. Niebawem zastępują ich miejsce troglodyci, którzy wykrzesują z krzemienia broń i uczą się dobywać ogień przez tarcie o siebie dwu suchych gałęzi. Człowiek jaskiniowy walczy z mamutami, współzawodniczy z niedźwiedziem o mieszkanie w pieczarach; zwycięża te potwory sprytem i prowadzi kuchnię, nagromadzając w miejscach pobytu ogromne śmieciska szczątków: obgryzionych i nawpółprzepalanych kości, narzędzi kamiennych, czerepów. Gmach cywilizacyi urasta rychło z tych pierwszych zawiązków, i całe dzieje ludzkości przesuwają się przed okiem mojem, zarówno jak dzieje świata... Obrazy zmieniają się tak szybko, jak gdyby miliony lat były minutami, a stulecia—mignieniem powiek.

Stoję zdumiony, pełen podziwu wobec olbrzymiego procesu, rozwijającego się w oczach moich, przygnębiony jego ogromem, ale niezadowolony. Czegoś mi brakuje w tym olbrzymim mechanizmie sił i ruchów, w tym cudownym łańcuchu przyczyn i skutków, w tym niezrównanym kalejdoskopie wypadków... I znowu stoję wobec

nich, jak dziecko, przed którem przesuwa się długa różnobarwna procesya, zdumione, olśnione, zachwycone,— ale i znużone wreszcie tym niezrozumiałym pochodem, którego ani początku, ani końca dostrzedz nie może, ani celu pojąć nie jest w stanie.

Jakimś chłodem grobowym wiało od tego wspaniałego widoku; serce ściskało się i tęskniło za czemś. Mimowolnie wyciągnąłem ramiona przed siebie i zawołałem ze smutkiem:

— Azaliż to wszystko, co jest? I nic więcej niema prócz tego, co widzę?

Zaledwiem wymówił te słowa, zatrzęsły się posady świata śmiechem tak strasznym, jak gdyby pochodził od zgrzytania pękających gór i rozrywających się pól lodowych lub ocierających się o siebie ułamków planet.

Cały ten obraz, który miałem przed oczyma, począł rozsypywać się w gruzy: słońca i planety padały na siebie, rozpryskiwały się w kawałki; masa ognisto-biała tryskała, jak rozbita dłonią dziecinną fala wodna. Wszystko rozsypywało się w proch, i niebawem wszechświat cały zamienił się w straszliwy chaos gruzów.

A jam znów zawołał:

— Jednaż ta jest twoja odpowiedź, Sfinksie?

Aż nagle blado-niebieskie światło zaczęło się wybijać wśród fal zamętu i ciemności, a dalekie tony, podobne do harfowych, układać się poczęły w rytm poważnej, głębokiej melodyi. Pod siłą twórczą tej melodyi, w fioletowych połyskach rodzącego się światła żywioły zamętu poczęły się kształtować, przybierając stopniowo formy, zupełnie odmienne od tych, które widziałem dotąd. Potoki świateł rosły i zlewały się z sobą, przybierając coraz to nowe kształty. I oto niebawem stała przedemną naga w swej piękności cudowna postać boga o złotych zwojach włosów. Fale światła biły od niego. Stał w postawie swobodnej i dumnej, wspierając rękę na lirze, o której struny niedbale potrącały jego palce, a ze strun tych płynęła melodya, kształtująca swą siłą twórczą żywioły chaosu w cudnie piękny świat.

Melodya ta wylewała się w dźwiękach coraz głębszych, coraz bardziej porywających, a gdy bóg złotowłosy położył obie ręce na strunach liry i uderzył w nie z całą siłą, popłynęły z niej tony, tak potężne i wzniosłe, iż, zdawało się, oderwały duszę moją od ciała i uniosły na niedościgłe wyżyny. I uczułem w sobie ową niezmierną cześć dla piękna, które przybierało dokoła mnie widoczne kształty, formując w nie ślepe żywioły chaosu i walki.

Uczułem teraz, że to właśnie było, za czem tęskniła moja dusza, czego brak lodem ścinał mi serce. Zrozumiałem, że przedemną stała piękna dusza świata, której nie widziałem w poprzednim obrazie, owa moc kształtująca i życiotwórcza, co wszystkiemu ruch i postać nadaje.

A tymczasem żywioły pod wpływem melodyjnych dźwięków wchodziły w połączenia harmonijne. Wody spływały w koryta rzek i biegły ku oceanom. Obłoki wznosiły się ponad szczyty górskie, zdobiąc w malownicze frędzle błękitne sklepienie. Istoty żywe przybierały kształty piękne, i cudowny kwiat miłości zakwitał w sercu ludzkiem. Ludzie łączyli się w społeczeństwa i wznosili wspaniałe gmachy, aby uczcić tego boga, który nauczył ich kochać i czcić piękno, pragnąć światła i dążyć ku niemu.

Pod ciosami młotów powstawały z martwych brył marmuru postacie cudownej piękności, a w dźwiękach pieśni swoich człowiek daremnie usiłował odtworzyć cudowną harmonię owej olbrzymiej pieśni, która ukształtowała świat, wielkiej symfonii stworzenia.

Coraz to wyższe formy uspołecznienia rozwijały się pod wpływem szacunku i miłości wzajemnej, połączonej z czcią piękna. Człowiek stał się tak świętym dla człowieka, jak był niegdyś ów bóg, który go nauczył myśleć, kochać i pragnąć doskonałości. I oto przed oczyma memi roztoczył się obraz przyszłego społeczeństwa: społeczeństwa, w którem człowiek sam pragnął tego, co było obowiązkiem jego, i z rozkoszą spełniał cnotę, nigdy nie stając w sprzeczności ze szczęściem.

Był to prawdziwy raj ziemski, społeczeństwo ludzi wolnych w wyższem znaczeniu tego wyrazu. Piękni i szczęśliwi mieszkańcy tego raju cieszyli się pięknością przyrody, rozkoszą pracy i życia, szczęściem bliźnich swoich; kochali ten świat i kochali się nawzajem, odczuwali rozkosz życia w każdym ruchu swoich zdrowych pięknych ciał, w każdym porywie nie skutych troską i niewolą duchów. I nie było granic, po za które nie wzbiłyby się te duchy w natchnionym polocie swoim; i nie było przeszkód, któreby ich lot wstrzymać zdołały.

Byłem tak przejęty urokiem widoku tego, że już o niczem innem nie myślałem, niczego nie pragnąłem, tylko pełen byłem szczęścia chwili bieżącej.

Upadłem więc pełen wdzięczności na kolana i zawołałem.

— Dzięki ci, Geniuszu światło-twórczy, żeś mi to dał ujrzeć, czego żadne oko śmiertelne dotąd nie widziało. Ale powiedz mi

jeszcze, który z tych obrazów jest prawdą, który złudzeniem? Czy bezduszny świat atomów i sił, czy piękny świat duchów i miłości?

Głos cichy, a głęboki i przenikający odpowiedział tuż nad uchem mojem:

— Wybierz!

Obejrzałem się. Przedemną stała postać mędrca w stroju greckim. Ale jakież znajome oblicze! Zdaje mi się, że widziałem je wielokrotnie, tylko nie takie... O tak, widziałem je wykute w białym marmurze. Tysiące lat ubiegły nad prochem tych, co widzieli je żywe, tak, jak ja teraz oglądam.

— Tyś to, tyś boski Platonie! zawołałem,—tyś mię tu przyprowadził i odsłonił przed okiem mojem ową cudną wizyę przyszłości?

— Sam tu przyszedłeś, odrzekł. Przywiodła cię żądza Prawdy, i Prawda odsłoniła się oku twemu. Rozdzieliłeś rzeczywistość na te dwa światy, bo nie mogłeś jej pojąć w całości. Teraz wybierz ten, który uznasz za lepszy, jeśli obu połączyć znów nie potrafisz. Prawdą jest jeden i drugi; ale prawdą dla ciebie, ludzką prawdą...

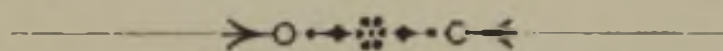
— Prawdą jeden i drugi, a tak sprzeczne z sobą? Miałyżby być dwie prawdy, niepodobne do siebie!?

Nikt mi nie odpowiedział. Gdym wzniósł oczy na mędrca, już go nie było.

W tej chwili wszystko dokoła mnie poczęło blednąć i zapadać w zmierzch, a niebawem ze zmierzchu tego wynurzyło się znowu kamienne, obojętne oblicze Sfinksa o kolosalnych, nieruchomych rysach. Światło księżyca padało na ogromne, płaskie, szaro-granitowe czoło potwora i rozlewało swój melancholijny blask na piaskach otaczającej go pustyni. Opodal dromadery drzemały, klęcząc nad cicho szemrzącym strumykiem, a fellachowie nucili półgłosem jakąś tęskną pieśń, kołyszącą do snu. Wysmukłe pnie palm, zakończone ogromnymi, zwieszającymi się pękami liści, wyraźnie zarysowywały się wśród srebrzystej mgły promieni księżycowych.

Zimny, nieruchomy, spokojny Sfinks patrzał na cały ten świat swojemi próżnemi kamiennemi oczyma, które, zdawało się, wszystko widziały, ale niczego ciekawe nie były. Patrzał tak, jakby urągał jego piękności i jego nieszczęściom, jego życiu i walkom, i tym tysiącoleciom, które upłynęły, podczas gdy on spoczywał na swej podstawie, i tym, które miały upłynąć jeszcze, zanim z niej się poruszy.

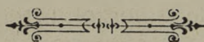
Smutny odszedłem od stóp jego, marząc o cudownej wizyi przyszłości. *Wł. M. Kozłowski.*



Seweryn Goszczyński.[*]

ROZWÓJ JEGO TALENTU POETYCKIEGO

do r. 1827.



Ze wszystkich prowincyi i dzielnic Polski historycznej największą liczbę poetów wydała z początkiem XIX stulecia ziemia, która, zdawaćby się mogło komu napozór, najmniej może posiadała warunków, jakieby sprzyjały rozbudzeniu iskry poetyckiego zapału w młodocianych umysłach. Bo przecież Ukraina, co zawsze i wszędzie niemal stawiała mężnie czoło hordom turecko-tatarskim, a nie mniej też groźną przybierała postawę wobec starej Rzeczypospolitej, przez czas dłuższy nie miała liczniejszych reprezentantów w długim szeregu polskich poetów. Nie dziw też, że tak rzeczy się miały: — wszak tutaj, na kresach, umysły żywiołu napływowego polskiego nie mogły być zajęte myślą o zaciągnięciu się w szeregi braci w Apollinie w XVI i XVII wieku, kiedy wszystko, co żyło, musiało baczną dawać uwagę na granice ojczystej zie-

[1]) Ustęp z obszerniejszej pracy.

mi, łupionej i niszczonej rok rocznie przez zagony hord, którym na czele świecił złowróżbny półksiężyc, kiedy całe generacye szlachty ukraińskiej wychowywały się w obozach i na czatach—na rycerzy, przykutych żywot swój cały do siodła, co nie piórem, lecz szablą mieli się zaznaczyć chlubnie na kartach dziejów ojczystych... A nie należy nam nadto zapominać i o tym ważnym czynniku, jakim są szkoły i nauka, systematycznie w nich prowadzona, a których, rzecby można, nie było na Ukrainie, do tych zaś, jakie istniały, można tylko szlachta mogła mieć dostęp, całe zaś legiony drobnej szlachty obywały się zupełnie bez nauki, ona bowiem dla nich była zbędną. A nawet, gdyby te szeregi chudopachołków, trzymających się silnie klamki magnackiej, były miały jakie takie wykształcenie, to pożytku z nich poezya polska miećby nie była mogła: wszak zbyt wiele klęsk ciężkich i ciosów spadało co chwila niemal; zaledwo z jednego nieszczęścia zdołano ochłonąć, a już drugie, groźniejsze, wychylało swoje oblicze, zbyt często lała się krew strumieniami w boju z pohaństwem lub z rozruchem kozackim, w ślad za czem szły klęski elementarne; słowem — nie było warunków odpowiednich, któreby mogły wywołać z pośród i tak nie bardzo licznego kresowego rycerstwa polskiego prawdziwych pieśniarzy, kiedy ono czem innem nieustannie było zajęte. Nie podobna, co prawda, twierdzić, by nie pojawiał się tam od czasu do czasu talent zdolny do „robienia" wierszy, zabarwionych humorem à la Zagłoba Sienkiewicza; takim atoli talentom, jeśli je tak nazwać się godzi, aż nadto daleko, by imiona ich mogły się dostać do historyi literatury. Nadszedł wiek XVIII, w którym silnem ramieniem zawładnęła na polskim Parnasie pseudoklasyczna poezya francuska, nadszedł wiek, niosący ze sobą ciężkie straty i klęski bolesne, najboleśniejszą zaś dla Ukrainy przyniosła druga jego połowa, kiedy to pod nożem hajdamackiej czerni, pod nożem święconym spłynęła krew polska, strumieniem czerwieniąc długie stepowe łany, wytoczona ręką bratniego narodu. A krew ta polała się z serc tysięcy ludzi przy blasku podpalanych zbrodniczą żagwią pijanego tłumu miasteczek i wsi, wśród wycia rozbestwionej dziczy, plądrującej kościelne ołtarze i dworki szlacheckie. I to już klęska ostatnia, jakby na zakończenie wszystkich najpotworniejsza...

Nie dały tedy długie wieki Polsce stąd ani jednego wybitniejszego poety, każdy jednak przyzna, iż wobec takich losów inaczej nigdy być nie mogło, kiedy wszystko jak gdyby sprzysięgło się na zagładę. Dopiero kiedy spokój nastał w tej ziemi, znękanej tylu nieszczęściami, kiedy po tylu ciosach wolniej odetchnęła cała Ukraina — wnet wstają całe szeregi poetów, z polskich pokoleń zrodzone,

by choć teraz spłacić dług, jaki dawne stulecia zaciągnęły wobec macierzystego kraju. Dość będzie, jeśli wymienimy rówieśnych niemal sobie Bohdana Zaleskiego, Goszczyńskiego, smutnego i schorzałego autora Maryi (który przecież wiąże się z tą grupą poetów), Aleksandra Grozę, Gosławskiego i Zaborowskiego Tymona, a z późniejszych nieco T. Olizarowskiego, a zobaczymy, że licznym był zastęp pieśniarzy, których wykołysała Ukraina i którzy nie ostatnie zajęli miejsce w szeregu polskich poetów. Tyle przyniósł początek XIX stulecia. I co tak wpłynęło na polepszenie warunków, że naraz tyle głosów zabrzmiało w jeden chór, czy to tylko przypadek tak, a nie inaczej, zdziałał? Co prawda — warunki polepszyły się znacznie już przez to tylko chociażby, że przecież nastała chwila zdawna upragniona — spokoju, który tutaj, na Ukrainie, rzadkim bywał gościem. To jedno wiele znaczyło: — a do tego trudno nie dodać jeszcze jednego czynnika, jakim były szkoły. Szkół zaś tych powstawało wiele — i pijarskich, i jezuickich, i bazyliańskich, rywalizacya zaś o lepsze między zakonami przyczyniała się do coraz większego postępu w wykładaniu nauk, choć postęp ten nie szedł w parze z ruchem, jaki zagranicą wszechwładnie się objawiał. A i szkoły te nie stały pustkami — brakło bowiem możnowładców szlacheckich, którzyby dbali o utrzymanie młodej generacyi szlachty drobnej, każdy musiał się starać o kawałek chleba zapomocą nauki, nie zaś, jak dawniej bywało na porządku dziennym, przez wierną służbę ojców i dziadów na dworze pańskim. To wszystko, a nie mniej pieśń gminna rozbudzić zdołała w sercach wielu poetyckiego ducha, i tem tłomaczy się tak niesłychanie wielki wzrost talentów szkoły ukraińskiej; o przyczynach innych niżej jeszcze obszernie pomówimy.

W takiej to dobie przyszedł w samym początku XIX stulecia na świat Seweryn Goszczyński. A lata wczesnego dzieciństwa niepłynęły mu „anielsko”, jak Mickiewiczowi, nie były one również tak miłe, jak młode lata Zaleskiego, który, choć sierota, zaznał wiele domowego ciepła i rodzinnej życzliwości ze strony babki i brata. Bo i cóż z tego, że miał Goszczyński rodziców, że było komu o niego się starać i troszczyć o przyszłe łosy, kiedy ci rodzice sami bez przerwy niemal zostawali w złych stosunkach materyalnych, kiedy los zawistny miotał nimi na wszystkie strony, przerzucając ich z miejsca na miejsce. Nie mogli tedy, obarczeni liczniejszą rodziną, dać swemu Sewerynowi takiej pomocy, ażeby bez troski o chleb powszedni mógł był szkoły pokończyć, stąd też cały wiek młodociany Goszczyńskiego przedstawia się, jako ciągła walka o byt

materyalny. To też tutaj sprawdza się zdanie Krasińskiego, iż „młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały", bo i Goszczyński wyrobił sobie wśród całej powodzi zawodów naturę zamkniętą w sobie, a zarazem także i hart ducha, z jakim patrzał później śmiało w oczy niepowodzeniom, których pełne miał życie. Z tych nadto lat troski poszło u niego przyzwyczajenie do oglądania wszystkiego w czarnych barwach, co w końcu tak się z nim już zrosło, iż, zdawaćby się mogło, jakoby Goszczyński posiadał oryginalny i odmienny zupełnie od innych pryzmat widzenia, przez który oceniał fakta i którego skutkiem nadawał postaciom, wprowadzonym do utworów poetyckich, barwy, rażące niekiedy ponurem światłem i jakąś dziwną melancholią, a zarazem pragnieniem walki ciągłej, chociażby ona klęską zakończyć się miała. „Cios dłuta" tedy młodych lat uwidocznił swe ślady aż nadto wyraźnie na całem usposobieniu Goszczyńskiego. A do zwiększenia tego hartu ducha przyczynił się też z natury wrodzony Goszczyńskiemu upór, jako też ogromny zapas sił fizycznych, jaki z sobą na świat przyniósł, wskutek czego toczył ciągłą walkę z przyrodą i otoczeniem, której niemal że kilkakrotnie życiem nie przypłacił [1]).

Niedostatek, w jakim bez przerwy pozostawali rodzice Goszczyńskiego, jako też owo ciągłe przenoszenie się ich z miejsca na miejsce, nie mogły korzystnie oddziałać na postępy młodego chłopca w naukach; raz po raz oddawano go to do tej, to do innej szkoły, bawił więc Goszczyński w Zasławiu, Międzyrzeczu Koreckim, w sławnej owej szkole O. O. Pijarów, potem następuje trzyletnia przerwa w naukach, połączona z wielką szkodą dla niego, a dalej, kiedy go oddano napowrót do gimnazyum, zwiedza jeszcze dwa zakłady, w Winnicy i nakoniec w Humaniu. Bądź co bądź, musimy zgodzić się na to, iż zarówno wędrówka Seweryna z jednego zakładu do drugiego, jak miała pewne strony dodatnie, tak znowuż niezbyt korzystnie wpłynęła na postępy w nauce; o jakiejś bowiem systematyce w pobieraniu wiadomości ani mowy być nie mogło. I bezsprzecznie nigdyby Goszczyński nie był doszedł do takiej sumy wykształcenia, jaką wyniósł z sobą, opuszczając mury szkolne, ciągłe bowiem przerwy w nauce nie mogły dziecka do niej zachęcić, gdyby nie talent i zdolności, których mu nie brakło nigdy, gdyby dalej nie popęd do czytania dzieł

---

[1]) Z. Wasilewski. „Narodziny poety romantyka". (Ateneum. 1895, III, str. 246).

przeważnie treści historycznej i beletrystycznej, przez co odzyskiwał choć w części te straty, o jakie go przyprawiało zaniedbanie w nauce — nie z jego winy pochodzące. Humań dopiero przywrócił równowagę przyszłemu poecie.

Otoczony łaskami Zofii Potockiej górował zakład księży Bazylianów nad wszystkimi innymi na całej Ukrainie, żaden mu nie potrafił sprostać zarówno doborem nauczycieli, jak niemniej też całem urządzeniem. To też każdy śpieszył, ażeby oddać synów tutaj na naukę, bo szkoła ta cieszyła się zaufaniem całego obywatelstwa ukraińskiego, od którego dziatwy roiły się mury zakładu. Że popularność ta była ze wszech miar zasłużoną, że nauczyciele dokładali wszelkich możliwych starań, ażeby wychowańcy odnieśli największy pożytek ze swojego w tej szkole pobytu,—o tem ani na chwilę powątpiewać się nie godzi. Zakład ten zdziałał bardzo wiele dobrego, więcej może, niż wszystkie inne szkoły na Ukrainie, razem wzięte, dawał bowiem ogółowi wykształcenie takie, jakiego inna szkoła daćby nie zdołała, a i dla nauki polskiej wydał kilka wybitniejszych umysłów, chociażbyśmy tylko wymienili Michała Grabowskiego, d-ra Gałęzowskiego, d-ra Józefa Mianowskiego, późniejszego rektora Szkoły Głównej warszawskiej, Juriewicza, przedwcześnie zgasłego zastępcę profesora na wydziale medycznym w Wilnie. Czy jednak mogła sama przez się obudzić talent poetycki w młodocianym Goszczyńskim? Trudnoby na to pytanie twierdzącą dać odpowiedź, bo, jak z jednej strony niepodobna odmówić jej wielkiego w tem udziału, tak znowu z drugiej nie należy przypisywać tej właśnie szkole, jakoby sama budziła talenty, drzemiące w ukryciu, i na jaw je sama wydobywała. Co prawda, posiadała szkoła bazyliańska pośród swoich nauczycieli jednego, który z obowiązku zaprawiał swoich pupilów do „robienia" wierszy i przekładania utworów klasycznych na język ojczysty mową wiązaną. Mężem tym był ksiądz Klemens Hryniewiecki, który, jak pisze jedno z współczesnych czasopism, „skutkiem przykładnej prawdziwie gorliwości i gruntownego przewodnictwa potrafił w licznej dla nauk tam zbierającej się młodzieży zaszczepić gust i najszlachetniejszy zapał do poznawania klasyków słowiańskich, do napawania się ich słodyczą i do ćwiczenia, na wzór ich, własnej zdolności" [1]). Była więc pobudka, i to nie mała, do owego „robienia" wierszy, kiedy każdy musiał, chcąc nie chcąc, je pisać, niekiedy na zadany nawet z góry te-

[1]) „Dziennik Wileński". 1817. I. str. 23.

mat, tem zaś łatwiej byłoby przypisać temu właśnie faktowi całą zasługę w obudzeniu iskry natchnienia w naszym poecie, bo przecież miał Goszczyński wielki zapas ambicyi, widząc zaś, jak inni zbierali laury na polu poetyckiem — mógł się też rzucić na to pole, mógł próbować sił we wzlocie na Parnas. Tem więcej staje się to napozór prawdopodobnem, że Goszczyński, będąc w klasie trzeciej, czytał bezsprzecznie w „Dzienniku Wileńskim" próby poetyckie dwu starszych o parę lat uczniów szkoły humańskiej, dwa przekłady z Wergiliusza, jeden Teodora Krasińskiego, drugi Jana Jurkiewicza; nie należy też zapominać, że „Dziennik" w notatce, umieszczonej obok tych przekładów, wymienił parę jeszcze nazwisk uczniów, którzy „zostawili w niej znakomite owoce szczęśliwej pracy w tłómaczeniu przedniejszych poetów" [1]). Stąd też, zdawałoby się, wynika jasno i niezaprzeczenie, iż jedyną pobudką wzbudzenia popędu twórczego u Goszczyńskiego—była sama tylko szkoła OO. Bazylianów. A jednak jest nieco inaczej, — bo, powtarzamy raz jeszcze, jak niepodobna odmówić jej wielkiego w tem udziału, tak znowu nie można, kłaść wszystkiego na karb zasług tego zakładu. A zważmy teraz, jakie to wzory dawano uczniom do naśladowania, jaki „gust" wpajano w młode umysły? Przedewszystkiem nie było to winą nauczycieli, którzy, jako ludzie — głębokiej niekiedy nauki, wychowani jednak w ciasnych pojęciach i przejęci regułą pseudoklasycznej poezyi — musieli nieustannie powtarzać imiona koryfeuszów krytyki francuskiej, jak niemniej w zamarłym, zmurszałym świecie starożytnym kazać szukać wzorów, godnych naśladowania. Wykształceni sami na tych wzorach—rzuceni daleko od gwaru, jaki wszędzie zagranicą rozlegał się był od niedawna,— zamknięte mieli oczy na wszystko, co mogło być świeżem i naturalnem, a co zarazem stanowiło zdrowy pokarm dla duszy i wyobraźni; stąd też nie mogli iść równo z prądem i duchem czasu — wielbiąc przesadę i zachwycając się faunem kozłonogim lub brodatym satyrem, który w ustroni polskiego lasku wygrywał na trzcinowej fletni ckliwo-sentymentalną melodyę. Zważmy też dalej stosowanie przepisów, wydanych przez komisyę edukacyjną, zalecających „robienie" wierszy uczniom na jeden temat, — a przyjdziemy łatwo do przekonania, że taki system mógł wydać, co najwyżej, rzemieślników, robiących na zamówienie podług przepisanej formy czy wzoru odpowiedni przedmiot:—w poezyi widziano jedynie i wyłącznie rzemio-

---

[1]) *Loc. cit.*

sło, uprawiane dla zabawki, którego przedmioty na zawołanie musiały się zjawiać w takiej formie, w jakiej nauczyciel życzył sobie je oglądać; nikomu przez myśl nie przeszło, że czem innem winna być poezya—jak rymowaniem „dla czystego rozsądku". Czyż więc wobec tego możnaby przypuścić, że Goszczyński bez postronnych wpływów byłby poszedł drogą inną od tej, jaką wskazywały dawnym przywilejem uświęcone przepisy? Czyż można przypuścić, ażeby był został poetą, kiedy przepisy owe mogły wydać tylko wierszokletę? Że takim torem sprawy pójśćby były musiały,—na to, sądzę, najlepszym dowodem jest jeden z przekładów, sięgający czasów humańskich, złożył go bowiem Goszczyński, będąc jeszcze w klasie czwartej. Tłómaczeniem tem — Horacego Oda do przyjaciół, drukowana w zeszycie marcowym „Dzienika Wileńskiego" w 1820 roku. Brak tedy odpowiednich wzorów musiałby był Goszczyńskiego talent zniweczyć i na fałszywą poprowadzić drogę. Że tak się nie stało—to zawdzięczał nasz poeta—nie szkole humańskiej, lecz warunkom postronnym, po części nawet od niej wcale niezawisłym, a przedewszystkiem swemu otoczeniu.

W ostatnich latach pobytu Goszczyńskiego w murach szkolnych w Humaniu słychać już było o jakichś nowych prądach, odmiennych kierunkach w literaturze. Wśród ciszy obumierającego z braku nowego pokarmu pseudoklasycyzmu, którego widocznym upadkiem ani nie martwili się koryfeusze krytyki naszej, ani teoretycy tej poezyi nie tracili wcale humoru, (czego przykładem może być Osiński)—jakieś głuche wieści zaczęły krążyć pomiędzy społeczeństwem, znużonem ciągłem przetrawianiem sielankowych obrazków,—nakształt owych pogłosek, które sobie lud wiejski z początkiem 1812 roku tajemnie podawał w „Panu Tadeuszu". Coś zawisło nad społeczeństwem, żądającem nowych barw i świateł, szerszych, przestrzennych widnokręgów, a echa tych szumów dolatywały też od czasu do czasu i do dalekiego Humania. Wieści te miały sprawić odrazu przeistoczenie w umyśle Goszczyńskiego, który zarówno rozprawę Brodzińskiego O klasyczności i romantyczności, jak niemniej recenzyę poematu Tomaszewskiego Jagiellonida, napisaną przez młodego Mickiewicza, czytał uważnie i dysputy z rówieśnym druhem Bohdanem Zaleskim prowadził. Jemu to zawdzięczał nasz poeta swoje przeobrażenie; Zaleski bowiem książek mu dostarczał, toczył z nim dysputy, kiedy wespół błądzili po ogrodach przecudnej Zofiówki, opiewanej w długim poemacie przez Trembeckiego.

Pobyt w Warszawie nie zostawił wybitniejszych śladów w rozwoju talentu poetyckiego Goszczyńskiego, a nawet po części nie mógł pozostawić z dwu przyczyn: raz dlatego, ponieważ krótko tam nasz poeta bawił, po drugie, gdyż walki pomiędzy obozem klassyków a romantykami nie było, rzecby można, wcale, dopiero bowiem Ballady i romanse Mickiewicza dały do niej hasło, które były niejako rękawicą, rzuconą przeciwnikom. Bądź co bądź, pobyt poety naszego w stolicy, chociaż nie oddziałał na sformowanie pewnych poglądów literackich, to przecież nie był bezowocnym, bo sprawił w umyśle jego przewrót pod względem pojęć politycznych, które w poezyi niebawem miały znaleźć wierne odbicie.

Tymczasem wyszedł tomik utworów Mickiewicza, a z nim nowe, nieznane dotąd światy ukazały się oczom wszystkich. W Warszawie wrzało wszystko, — nie było atoli już wtedy Goszczyńskiego w stolicy. Mimo to przecież żywym odbiły się te utwory oddźwiękiem w umyśle naszego poety, zwłaszcza, że entuzyazm dla nich był na Ukrainie wielki, jak o tem opowiada rówieśny niemal Franciszek Kowalski w swoich Wspomnieniach. Mickiewicz zawładnął odrazu i opanował wszystkie władze umysłowe naszego poety, jak zaś silnem było wrażenie przeczytanych poezyi, o tem może poświadczyć fakt następujący, na który już przedemną Dr. M. Zdziechowski trafnie zwrócił uwagę [1], iż „wiersze liryczne są często żywym odgłosem Ody do młodości... czuć jednak, że wypłynęły one nie z niewolniczego tylko naśladowania, lecz z głębokiego przejęcia się, z duszy, której drzemiące uczucia i siły obudził i rozskrzydlił potężny wicher mickiewiczowskich natchnień. „Prostemu czuciu zawierzyć trzeba"—wołał poeta w jednym z wcześniejszych utworów swoich: Błędy geniusza. Więc „leć za duchem, który cię porywa", poddaj się twemu natchnieniu, uwierz w moc jego...

„Sam obłęd twego zapędu
Rozpromieni wieków krocie!"

A przecież trudno powiedzieć, by to wszystko, co Goszczyński mówi o powołaniu poety, nie przypominało zbyt wyraźnie analogicznych ustępów Ody do młodości, by nie było jej oddźwiękiem. Miał więc teraz nasz poeta wzór, godny naśladowania, ujrzał kierunek, zupełnie odmienny duchem, treścią i formą od tego, jaki dotychczas wszechwładnie panował, miał więc Goszczyński drogę

[1]) „Byron i jego wiek". Kraków. 1897. II. str. 521.

wytkniętą, po której naprzód stąpać należało. Czy jednak Mickiewicz także nastroił mu struny na swój ton, skąd czerpał młody pieśniarz barw i kolorów, jakie uczucia kierowały nim w tym czasie, kiedy zaczął swój zawód poetycki, kiedy się próbował w niepewnym losie? Co więc nadało mu oryginalność?

Z zarania lat swoich pacholęcych wyniósł Goszczyński te pierwiastki, które miał potem wlać w swoją poezyę, ażeby ona przybrała odrębną szatę i cechę jemu właściwą. A pierwiastki te, śmiało rzec można, w niemałej mierze przyczyniły się do rozbudzenia talentu jego — karmiąc duszę młodą wrażeniami, co silnie zarysowały się w wyobraźni twórczej późniejszego poety. Przerwy ciągłe w naukach miały pewną korzyść dla młodego chłopca, który, pędząc długi czas w domu, musiał się zwrócić przedewszystkiem do otoczenia swojego,— a więc do przyrody. Zrodzony w głębokich stepach — snać jakby wrodzoną miał miłość tej piastunki, co go szumem traw i burzanów kołysała, kiedy w nich utonął, a potem, kiedy go do szkół oddano nie zrywał wcale z tą swoją piastunką najlepszą, boć przecie i ferye, i dnie od nauki wolne obracał na obcowanie z nią ciągłe. A potem za lat humańskich uczucie to potęguje się zbyt silnie, — wszystko było zbyt słabem wobec uroku, jaki nań rzuciła Zofiówka, w której alejach dumał wraz z Zaleskim, której wspaniałe krajobrazy wprawiały go w zachwyt i umiesienie, jak o tem świadczy i rękopiśmienny pamiętnik poety i rówieśny Aleksander Groza w swojej Mozajce kontraktowej. Łatwo to zrozumieć, iż, wobec braku rodziny, nic nie mogło takim czarem nęcić ku sobie młodego chłopca, jak ta „matka przyroda", w której objęciach strawił długie godziny, jak w omdleniu rozkosznem. Toż nie dziw, że w żalu i smutku uciekał do niej po pociechę, a zawsze umiała go ona podnieść na duchu, toż nie dziw, że wołał do niej tą serdeczną strofą:

„Przyrodo błogosławiona!
Wtedy, jak pieszczone dziecko,
Garnę się do twego łona,
Aż mnie przytuli, ukryje".

I dopiero, kiedy mu łza z powiek spadła, kiedy uczuł, iż siły weń wstępują na bój dalszy — cięższy,

„A tak, po krótkiej pociesze,
Spłakane oko w blask żywszy,
Usta w uśmiech ustroiwszy,
Znowu między ludzi śpieszę".

A takie przebywanie na łonie natury budzić musiało obserwacyę w nieletnim chłopcu, musiało wpłynąć dodatnio na rozwój umysłu i serca. Tej też naturze winien był Goszczyński rozbudzenie ziarn fantazyi i poetyckiego talentu, drzemiącego gdzieś na dnie duszy. Uczucie zaś to miłości przyrody objawia się już w najwcześniejszych utworach — tętni ono żywo w poemaciku p. n. Noc w Zofiówce, nie mniej silnie odzywa się w Sobótce, Królu Zamczyska, Odzie i Strasznym strzelcu.

Drugim tym pierwiastkiem, który nadał poezyi Goszczyńskiego cechę oryginalną, była pieśń ludowa. Zbyteczną chyba byłoby rzeczą udowadniać na tem miejscu, jak wielką rolę odegrał ten czynnik w dziejach poezyi polskiej XIX stulecia, a zwłaszcza w pierwszych dniach rozwoju romantyzmu, kiedy dźwiękom tej piosenki gminnej uległo tyle umysłów wielkich, kiedy jej tonem przejął się tak do głębi Mickiewicz; a dzwoni i ona w dumkach Zaleskiego, w poezyi Syrokomli i Lenartowicza, żeby już tu nie wybierać imion pomniejszch poetów. A miała o czem ta piosnka śpiewać na Ukrainie, która widziała tyle napadów wrogich hord tatarskich i błysk krwawego żelaza przy blasku płonącego miasteczka, kiedy łany przesiąkły nawskroś krwią, kiedy mogiły szeptem rozprawiały o minionych wiekach, bojach i poległej mołojeckiej drużynie. Toż wplotły się w strofę tej pieśni i jęki mordowanych mieszkańców kresowych, i jęki dziewczęcia, którą opuścił kochanek, a sam poszedł na daleki step w bitwę i dotąd nie wrócił; a i świat wizyi czarownych żył w przesądach starców, co przy świetle płonącego łuczywa opowieść podawali potomnemu pokoleniu — w noc zimową. Nie potrzebujemy zapewniać ani udowadniać, jak chciwie łaknął Goszczyński tego pokarmu, co wtrącał duszę jego w tajemniczą grozę, jak chciwie słuchał tych tęsknych melodyi, przeciągłych, tętniących bólem bezdennym i skargą rozpaczną—i tych legend, głoszących sławę atamanów, co w bojach polegli, i tych opowieści, pełnych fantastycznych widziadeł, których korowody pląsały później długo w główce rozmarzonego dziecięcia. A ślady tego pierwiastku przejawiają się zbyt rychło, nawet w najwcześniejszych uwidocznione są utworach,— np. w wierszu Do młodego poety,—któremu radzi Goszczyński, by słuchał pienia czarodziejskich ptaków:

„Jest u nas ptak tajemniczy,
Pióro anioła dziedziczy;
Po takiem piórze w ranne jego pienia
Hymnów anielskich zlewają się brzmienia.“

A do tych dwu przybył wnet trzeci: od lat najmłodszych pozostawał nasz poeta w ciągłym, a nieprzerwanym związku z ludem wieśniaczym, od najrańszych chwil młodości lgnął do niego mimowolnie. To jednak zetknięcie nie byłoby samo przez się wywołało poważniejszych następstw. Dopiero kiedy Goszczyński za przybyciem do Warszawy zaciągnął się pod sztandar spisków i potajemnych knowań, wtedy dopiero pod wpływem dysput ze związkowymi stawać mu poczęły przed oczyma reminiscencye lat młodocianych, one jednak nie potrafiły jeszcze wytworzyć pewnego całokształtu pojęć natury politycznej z silnem zabarwieniem społecznem. Bądź co bądź, usposobienie jego dla wyższych warstw społeczeństwa było już wówczas nieprzychylne. To też, skoro nasz poeta po jednorocznym pobycie w Warszawie wyruszył w podróż na Ukrainę o głodzie i chłodzie, zetknięcie się z chłopem wzięło udział stanowczy w sformowaniu jego zasad politycznych. Ponieważ zaś, jak to wyżej wspominaliśmy,—zbyt wielkim pesymistą był poeta i w nadto czarnych kolorach przedstawiał sobie fakta, — przeto nie dziw, że spostrzegł poniżenie i niemoc ekonomiczną chłopa dwukrotnie gorszą, niźli ona w istocie była. A w ślad za tem wyrodziła się wnet w nim niezmierna sympatya dla klas ubogich i dla wiejskiego proletaryatu, pogarda dla „panów". I na tem stanowisku stojąc, z tą życzliwością i niechęcią, przetrwa nasz poeta do końca niemal swojego żywota, a w poezyi niejednokrotnie da jej wyraz, jasny i widoczny każdemu.

* * *

To też wnet po otrząśnięciu z siebie klasycznych naleciałości —uczucie gorące miłości ojczystego zagonu zaczyna grać na lutni Goszczyńskiego; uczuciem tem tętni w całej pełni pierwszy okres poezyi jego, odrazu też spostrzedz można złe strony, ową fałszywą strunę, o której już wyżej wspomnieliśmy. Bez wątpienia, niczemu innemu nie należy przypisywać wypaczeni a tego uczucia miłości, jak tylko tajnym związkom młodzieży, do których należał nasz poeta podczas swego jednorocznego pobytu w Warszawie; na ustach bowiem związkowych powtarzało się ciągle jedno, jedyne słowo — lud, a było ono alfą i omegą całej ich ewangelii. Tutaj też wsiąkły w młody umysł Goszczyńskiego, nie mający jeszcze stałych i silnych zasad politycznych, teorye rewolucyjne, skrajnie czerwone, a co więcej w swojej skrajności do ostatecznych doprowadzone granic: młodzież, w której kołach spędzał długie godziny Goszczyń-

ski, nie wahałaby się była użyć nawet najhaniebniejszych środków, byleby tylko celu swego dopiąć,—chętnie byłaby u nas widziała powtórzenie takich faktów, jakie zaszły tylekroć podczas rewolucyi francuskiej, a jakie w czasach Kościuszkowskiego powstania Kołłątaj wskrzesić usiłował. Toż i nie dziw wcale, iż poeta młody i niedoświadczony uległ szybko i poddał się w moc takich teoryi,—kiedy zaś przybył na Ukrainę i ujrzał w jej ustroju społecznym wiele złego, kiedy spostrzegł niedolę materyalną proletaryatu chłopskiego, a w dodatku może usłyszał opowiadania o pojedyńczych faktach ucisku,—wnet nie zawahał się winy całej za taki stan rzeczy, który znowu aż tak okropnym, jak sobie Goszczyński wyobrażał, nie był, zwalić na wyższe klasy narodu, uogólniając nadto poszczególne wypadki, napoił się cały nienawiścią szlachty, w ludzie upatrując jedynie i wyłącznie zdrowe pierwiastki i siłę żywotną, której naród, co stracił polityczną niezawisłość, mógłby rychło odżyć.

Takiem było *credo* polityczne poety, który snać nie umiał rozeznać pewnej granicy pomiędzy uczuciem a czynem, i stąd też pod wpływem zaślepienia gotów był przyłożyć rękę do wstrętnych i hańbiących dłoń czynów, kiedy nie wahałby się był chwycić bratobójczego noża, by go utopić w piersiach bratnich. Nie wzdrygał się tedy Goszczyński przed wysoce nieetycznymi i z gruntu niemoralnymi postępkami, byle tylko zadosyćuczynić krwiożerczej żądzy mordu, który, sądził, da szczęście ludowi. Że uprzedzenie takie i nienawiść szlachty i księży było zupełnie niesprawiedliwe, o tem chyba nikt dziś, kto patrzy trzeźwo na stosunki XVIII stulecia, nie będzie ani na chwilę powątpiewał, bo wszystkie te zarzuty, jakie podnosi nasz poeta w Uczcie zemsty, są zupełnie bezpodstawne, a poniekąd nawet naiwne, co każdy sam łatwo spostrzeże. Co więcej, w zarzutach owych niema ani jednego takiego, któryby był wytworem poglądów samego poety, my tutaj bowiem widzimy tylko powtórzenie komunałów, jakie natenczas cała generacya spiskowców miała na ustach; od siebie Goszczyński nie dał nic a nic prócz tego, że sam się do nich przyznawał. Nienawiść zaś ta, jaką widzimy w Uczcie zemsty do księży i wogóle do stanu duchownego, miała też pewne podstawy, jak wiadomo bowiem, młody Goszczyński jeszcze w Humaniu, w szkołach bazyliańskich stracił był wiarę, którą tak usilnie starała się weń wszczepić staruszka babka. A powtarza się ta pogarda i w innym wierszu, z tego samego pochodzącym roku, a mianowicie w Modlitwie, gdzie poeta odrzuca wprost wszystkie przepisy religijne, tłómacząc znowu ten postępek, komunałami, jakie i dziś nie rzadko można usłyszeć.

A słowa, jakie składają cały dopiero co wspomniany utwór, są jednem wielkiem bluźnierstwem z tego wszystkiego, co może być jeszcze dla człowieka świętem, tak, że łatwo mogłoby się komu wydać, iż Goszczyński dlatego tylko wyparł się wiary, ażeby usprawiedliwić swoje niemoralne pragnienia krwi i zemsty. Nie chciał tedy poeta uznać, że walka między myślą i wolą Boga a naturą człowieka jest i będzie zawsze zgubną. A wszystko to, wszystkie te bluźnierstwa i żądze nieetycznych czynów wywołała Larwa, którą Goszczyński na każdym kroku widział straszniejszą, niż jaką ona w rzeczywistości była, a którą mu w takiej postaci przedstawiły tajemne związki.

Nie trudno tedy spostrzedz, jakiem było dotąd uczucie miłości u Goszczyńskiego, jak dalece spaczyło się ono i wykrzywiło, kiedy haniebne, niemoralne czyny uważał poeta za legalną drogę, kiedy odrzucał religię wraz z wszystkiemi jej praktykami, stawiając na najwyższym stopniu ołtarza swoich ideałów — mord panów i księży. Nie cała wina tego spaczenia myśli leży na samym Goszczyńskim, część jej każdy musi przypisać otoczeniu i młodemu wiekowi, w jakim był poeta, a nie mniej i brakowi zastanowienia, któryby był w możności poprowadzić pewną klasyfikacyę postępków i dróg.

Po pewnym dopiero czasie daje się u Goszczyńskiego spostrzegać pewien, choć nieznaczny przełom w uczuciu tem i myślach. Nienawiść dawna do klas wyższych społeczeństwa zanika, a raczej wstępuje w ukrycie, długi czas bowiem jej nie widać. Teraz wypływa Korab, który miał walczyć oświatą ludu prostego.

Czując zaś, iż Iskra Boża płonie w jego sercu, postanowił tej świętej sprawie odrodzenia służyć i pieśnią swoją, która zdolna jest oprzeć się przeciwnościom:

„Jeszcze ja tem światłem drogiem,
Jak wiecznem słońcem zaświecę,
Przez mego ludu ciemnicę,
Jak słońce wznijdę“...

Taką była fizyognomia duchowa Goszczyńskiego w tych latach, takie myśli jego i poglądy. A gdybyśmy teraz chcieli się zapytać, w jakie to formy wlał nasz poeta te myśli swoje, to odpowiedź na pytanie musiałaby wypaść nie bardzo zadawalająco. I czuł to sam Goszczyński najlepiej, iż pod względem formalnym wiele braków utwory te noszą na sobie, kiedy w przedmowie do nich pisał takie słowa:

„Nie czytaj tych poezyi z usposobieniem artysty. Nie dla artystów one. Pisane po największej części pod bodźcem chwilowych wypadków, pod wpływem zewnętrznych okoliczności, w natchnieniach, jak wicher, burzliwych, ulatujących, jak meteor, nie są, nie mogły być utworami, rozważnie obmyślanymi, swobodnie wylewanymi, obrabianymi starannie. Ich świat nie jest owym światem, który spokojne rozmyślanie otwiera poecie, gdzie mu wolno przechadzać się, rozpatrywać się, z całem lubem artystowskiem *far-niente*; który dowolnie urządza, upiększa, objawia, albo zamyka i porzuca. Nie taki świat niniejszych poezyi, nie takie położenie było ich twórcy"...

. . . .

. . . .

„Ukradkiem niemal wchodziłem do mego świata, uchodziłem przed gwałtem; porwałem, co mogłem, objawiłem światu zewnętrznemu, jak mogłem, nie, jak chciałem; bo objawienie, czując się za granicami swojej sfery, wydzierało się myślom i słowom, ulatywało wichrem wprzódy, nim je dokładnie zdołałem obejrzeć; to tylko było mojem, co w jego przelocie mogłem ująć — zaledwie szczątek całej myśli. Musiał zatem na formie utworu wycisnąć się duch jego; i te poezye są to właściwie improwizacye z całą niepoprawnością improwizacyi, z wielkiemi ułomnościami, wadami tak formy, jak istoty" [1]).

Czuł zatem sam poeta dobrze wady pod względem formy swoich utworów, i nie potrzeba chyba więcej po nad to, co sam powiedział, dodawać. I nie dziw, że w tej mierze ręka poety nie była wykształcona, bo, jak z jednej strony zbyt młodym był Goszczyński pieśniarzem, a zatem nie miał jeszcze czasu, by opanować formę swoich utworów, tak znowu z drugiej wiele musiał łożyć na otrząśnięcie z siebie klasycznych reguł i przepisów, które mu w szkołach narzucano. Lecz i tak jest ona o wiele lepszą, aniżeli we wcześniejszych utworach, napisanych przed rokiem 1820.

Niebawem też owładnęło utworami Goszczyńskiego i uczucie miłości przyrody, które już w bardzo wczesnych utworach, jak np. w wierszu p. n. „Noc w Zofiówce" [2]), objawia się z wielką mocą i siłą, bo z tego uczucia spływała na naszego poetę fala natchnienia.

---

[1]) S. Goszczyński. Dzieła. Lipsk. 1870. II. str. 212—213.

[2]) Ogłosił p. Z. Wasilewski w tygodniku „Głos" za rok 1898.

To też wołał, do poetów się zwracając, młodociany pieśniarz w utworze p. n. „Lutnia Syry”, by stąd czerpali barwy do swoich pieśni, które wtedy zalśnią świeżą krasą i długi wiek świeże przetrwają:

„których swoim promieniem nie struni
Duchowe słońce wyższego natchnienia,
Trud wasz bezpłodny i bezpłodne pienia.
Martwe i zimne, jak kruszec, są brzmienia“...

A kochał nasz poeta tę przyrodę całem sercem swojem, na jej widok „Łza tajemnicza” z powiek mu uchodziła, bo przyroda ta grała mu pieśń „z bezładnych tonów tysiąca”, która rozlewała się w głębi duszy, wytwarzając tam dźwięki nowe. Nabierał też wielkiej siły wiersz Goszczyńskiego, skoro tylko treścią jego była przyroda, nabierał wiersz ten plastyki niesłychanej, tak, że, zda się, jakbyśmy cały krajobraz widzieli przed sobą, a że tak się rzecz miała, o tem najlepiej może poświadczyć utwór p. t. „Wieczór”, nieco przypominający analogiczny opis z późniejszego „Zamku Kaniowskiego”, lub też inny p. n. „Południe”. Najlepszym jednakowoż z tych wierszy opisowych jest „Burza”, w której potrafił oddać Goszczyński zarówno samą rzecz, jak nie mniej swoje refleksye.

Dziwną i charakterystyczną jest rzeczą, iż stosunki z przyjaciółmi, jak nie mniej i miłosne, którym to ostatnim zbyt prędko ulegał nasz poeta, nie znalazły żywszego oddźwięku w jego poezyi, a tem charakterystyczniejszym wydaje się ten fakt, iż, jak wiadomo, węzły przyjaźni, jakie łączyły Goszczyńskiego w tych latach z Bohdanem Zaleskim i z gronem ukraińskich przyjaciół, były bardzo szczere i serdeczne. Dwa razy tylko wyrwał się z piersi naszego poety okrzyk tęsknoty za ukochaną drużyną: raz w utworze p. n. „Dobranoc z oddalenia”, gdzie jękiem rozpacznym skarżył się, iż mu:

„kazano wichrzyć po świecie.
Trudno się oprzeć wyższej potędze,
A wy spokojni, wy nie czujecie,
Jakie dni tu pędzę”.

Drugi raz znowu załkał rzewnym płaczem w „Popielcu”, gdzie sam siebie przedstawił i nadzwyczaj trafnie zdołał scharakteryzować swoją poezyę, mówiąc, iż pieśń jego jest albo „za cicha w tym tłumie, lub za okropna dla pieszczenia ciszy”. Z wierszy miłosnych mamy znowu tylko dwa, do tych odnoszące się czasów, z których jeden, p. t. „Przy krosienkach”, powtarza raz jeszcze temat, tak powszechnie w XVIII stuleciu u nas przez poetów ulubiony, jak gdy-

by na świadectwo, iż dotąd nawet pleśń klasyczna nie została całkowicie usunięta; drugi znowu, p. n. „Parada", nie ma w sobie wcale zapału, ani nie jest wcale obrazem walki namiętności, o czem mówi poeta w ostatnich wierszach tego utworu. W ogóle uczucie, jakie z niego przebija, jest zbyt niewyraźne i blade, a nawet do pewnego stopnia monotonne i nużące, i nie dziw, do innych bowiem celów miała służyć Goszczyńskiemu poezya.

Zapatrywania zaś swoje na poezyę, jako też na jej przeznaczenie wypowiedział już w tym czasie nieraz nasz poeta. Wyżej wspominaliśmy o tem, iż przyroda winna była stać się dla poetów źródłem ożywczem, tym zdrojem, z którego oni nowe soki czerpaćby mogli; teraz zaś wypada zaznaczyć też i pogląd Goszczyńskiego na poezyę, jako jednostkę w pośrodku tłumu. A było niezaprzeczenie w tym jego poglądzie nieco owego pojęcia „sztuka dla sztuki", które później zupełnie znikło pod wpływem nieszczęść i wypadków politycznych. I, jakkolwiek teraz chciał nasz poeta przy pomocy poezyi przysłużyć się ogólnemu dobru, jak ów Tyrteusz spartański, to przecież jeszcze uznawał zasadę, którą w następujących wyraził słowach:

„Utoń w sobie, obejm siebie,
Nic w tobie nie jest powszedniem;
Ty cząstka bóstwa, tyś Bóg w twojem niebie,
I świat przed tobą odkryty, jak przed nim".

A czyż słowa te, wypowiedziane w wierszu p. n. Do młodego poety, nie zgadzają się z Puszkinowską maksymą: tyś poeta, wyższy ponad tłum? „Ty leć za duchem, który cię porywa!", wołał Goszczyński w utworze p. t. Błędy geniusza, „prostemu czuciu trzeba zawierzyć, duszy zawierzyć". I, jakby pod działaniem mickiewiczowskiej Ody do młodości, radził nasz poeta dalej, by mijać „rozumy płaskiego rzędu":

„Zostaw, zostaw, komu błogo,
Krążyć bitą ziemską drogą!
Sam obłęd twego zapędu
Rozpromieni wieków krocie!"

Poezya więc była u Goszczyńskiego jakiemś świętem naczyniem, które zdroje łaski w sobie zawierało, poeta zaś — kapłanem, wyższym ponad wszystkie sądy świata. Obowiązkiem jednakowoż tego arcymistrza było nieść w górę sztandar walki ze złem do upadłego, byle nie skalać tego drogiego naczynia, powierzonego w jego

ręce. Już od teraz zaczyna się przebijać myśl utylitaryzmu poezyi, która to myśl dopiero po powstaniu listopadowem na szeroką się skalę rozwinęła.

Poglądy Goszczyńskiego na lud wiejski kształtowały się, jak to nader łatwo poznać, chociażby z samych tylko jego utworów, pod wpływem tych prądów, jakie wiały bodaj czy nie od czasu upadku Napoleona w kołach młodzieży, która po większej części składała się z umysłów niedoświadczonych, a pragnących czegoś nowego, wiecznie niezadowolonych. Już z natury liczył się Goszczyński do takich malkontentów, wszedłszy zaś za przybyciem swojem do Warszawy w ścisłe stosunki z ludźmi, sobie podobnymi, wszedłszy w atmosferę spisków i potajemnych knowań, zaczął także przemyśliwać nad poprawą materyalnego bytu włościan. Początkowo nie wahałby się był użyć nawet środków, hańbiących dłoń, którąby je chwyciła, byleby przez to zamiar i cel swój osiągnąć, odbłyski zaś takich poglądów przebijają się dość wyraźnie w utworach poety z 1824 roku; Goszczyński nie chciał być wtedy dalekim od urzeczywistnienia swoich planów. W tychże latach wybuchło w Grecyi powstanie: po jednorocznym pobycie w Warszawie opuszcza nasz poeta stolicę, ażeby wziąć co prędzej czynny udział w walce. Piechotą, bez pieniędzy, o głodzie i chłodzie przybywa Goszczyński na Ukrainę, zamiar jego jednakże nie przyszedł do skutku. Z rozgoryczenia, jakie go ogarnęło, gdy ujrzał, jak wszystkie plany szybko się rozwiały, powstał zrazu prąd silniejszy, idący równolegle z kierunkiem myśli, który jeszcze podczas pobytu w Warszawie u niego się wyrobił, a prąd ten owładnął wnet uczuciem poety, potrafił zaś zawładnąć niem w ten sposób, iż to uczucie zupełnie wyziębił.

I teraz rodzi się nadto w umyśle poety plan poematu, który miał przybrać wszystkie cechy powyższych poglądów rodzi się plan utworu, treścią zaś jego miała być straszna walka o wolność hajdamaków. Plan ten pozostał niezmieniony, póki poeta nie ochłódł w nadmiernym zapale, póki nie dokonał się nowy zwrot w myślach i uczuciu. Podczas swego pobytu na Ukrainie, wśród ciągłych stosunków z ludem spostrzegł nasz poeta jego poniżenie i niedolę, jego ciemnotę i zaślepienie, wiedząc zaś dobrze, z jakich powodów wszczęła się walka tego samego ludu z żywiołem polskim na ziemiach ruskich,—sam siebie mimowolnie się przeląkł — widząc, że w dalszym ciągu lud nie zdoła dalej dźwigać pęt poddaństwa i rzuci się znowu do bratobójczej walki. Teraz poznał Goszczyński, jak zgubne są środki, którymi on chciał walczyć, a zwrot ten uwi-

docznił się dobrze w poemacie: poeta podkłada teraz inną ideę, inny cel swemu utworowi: „Zamek Kaniowski" miał być głosem, wołającym do opamiętania się, do uwłaszczenia chłopów, którzy sami jeszcze nie zapomnieli, jakim ich ojcowie walczyli sposobem. Goszczyński, przerażony troską, by nowy bunt nie oblał łanów Ukrainy czerwoną łuną—pisze poemat. Goszczyński, jak się o tem nader trafnie odzywa Siemieński, przemywa zbroczoną ręką Orliki oczy inteligentnej klasy narodu, aby dać poznać całą grozę położenia i skutków poddaństwa ukraińskiego chłopstwa, wsród którego tlał ciągle zaród mordów hajdamackiej czerni:

„Mijają lata, z latami zdarzenia.
W ostatnim dymie zgasłego płomienia
Wróciły w piekło szatany zniszczenia,
Świetnie przejrzały nieba Ukrainy,
Zabrzmiała śmiało cicha pieśń dziewczyny,
Czas lasem okrył ostatki ruiny.
Gdzie bojowiska czaszkami bielały —
Ulewna burza brózdy tam zorywa,
W skwarny dzień lata złocą się tam żniwa,
Kwiat się tam z wiosną wykłuwa nieśmiały.
Złomki szubienic świecą próchnem z ziemi.
Nad zwycięzcami, nad zwyciężonymi
Trawą usłana mogiła zapada.
Tam błędny żebrak do snu pacierz gada.
Piekła za wojną zatrząśnięto bramę.
Znów tenże pokój, — i zbrodnie te same!"

Niemały też udział tak w genezie poglądów na lud Goszczyńskiego, jak też i całego poematu, wziął prąd, który szerokim strumieniem zalał nie tylko Polskę, lecz całą Słowiańszczyznę,— znany powszechnie pod nazwą byronizmu. Potępiony za życia — dopiero po przedwczesnym, prawie bohaterskim zgonie na ziemi, wydobywającej się z pod jarzma długowiekowej niewoli i ucisku, Byron duchem swoich utworów wniknął w poezyę całej Europy. Wszyscy, tak jego zwolennicy, jak niemniej najzaciętsi nieprzyjaciele, padali na twarz, korząc się przed jego geniuszem; ten poeta buntu, Napoleonem poetów przez Mickiewicza nazwany, dopiero po śmierci rozpoczął istotne panowanie na współczesnym Parnasie, żadna literatura nie była zdolną oprzeć się wpływowi jego utworów, wnet pojawiają się wszędzie całe stosy przekładów. Nie inaczej było też u nas: naród, trzymany za długo w pętach żelaznych, krępujących uczucie i fantazyę, przetrawiwszy już dawno w sobie owe płody naśladowniczej pseudoklasycznej poezyi, zrzucił z siebie okowy

francuskiej krytyki, które mu kazały śpiewać „dla czystego rozsądku”,—i uległ odrazu nowym prądom, nurtującym jeszcze od czasów Herdera i Lessinga u zachodnich sąsiadów, a które już z początkiem XIX stulecia i do niego cichaczem się przekradały. Stąd też wzięły swój początek dwa potężne kierunki: jednym z nich — to nagły zwrot do poezyi, baśni i zabobonów wiejskiego ludu. Prąd ten atoli trwa niedługo, słabnie, aż nakoniec przechodzi do nędznych, powtarzających się bez końca i miary naśladowań, których autorowie zazwyczaj sami owej poezyi gminnej nie znali, a że naród pożądał ciągle od całego zastępu poetów nowej szkoły świeżego pokarmu, przeto nie dziw, że i Byron ze swoimi utworami znalazł szczery oddźwięk w odradzającej się poezyi. To był drugi prąd, nie mniej od poprzedniego potężny, zwłaszcza, że przez czas dłuższy żywił umysły i serca, póki się nie przekształcił w mesyanistyczno-mistyczną naukę mistrza Toviańskiego.

Nie oparł się temu wpływowi i nasz poeta tak samo, jak i Malczewski, owszem poemat jego stał się wybitnym byronizmu przykładem,— Zamek Kaniowski był, że tak powiem, dzieckiem swojego czasu, swojej epoki. Sam Byron nawet po części wraz ze swoimi utworami umiał wywrzeć wielki wpływ na młodociany umysł Goszczyńskiego. Młodego marzyciela musiał ku sobie pociągnąć ów wstręt do świata, ów bezgraniczny smutek i melancholia, jaka wiała z utworów wieszcza Albionu. Goszczyński, przejąwszy się niewypowiedzianem współczuciem dla ciemnych mas ukraińskiego ludu, zapałał niezwykłą żądzą czynu, który miał stworzyć coś lepszego, choć jeszcze bliżej nieokreślonego. W umyśle poety snują się rozmaite plany, formują się poglądy, tchnące zawsze dążeniem do szczęścia powszechnego, łatwo tedy zrozumieć, iż takiej sferze myśli i uczuć najlepiej mogły odpowiedzieć tak czyny, jak i poezye Byrona, bo i on miał duszę niesłychanie wrażliwą na wszelką ludzką niedolę, bo i on miał czucie na każdy jęk, na każdą łzę biedaka. Byron tak samo, jak Goszczyński, posiadał tę prawdziwą zdolność należytego odczucia wszystkich dźwięków i pogwarów przyrody,— on kreślił w swoich utworach zawsze i wszędzie ludzi, obdarzonych niezwykłą odwagą i pragnieniem bohaterskich czynów, on wywoływał z zamierzchłych czasów zapomniane boje, dając je, jako przykład bezradnej potomności do naśladowania. Byron sam nakoniec otoczył się pewnym nimbem uwielbienia; wszak odepchnięty przez rodaków musiał na obcej ziemi złożyć strudzone kości na sen długi, zmarł w kwiecie wieku wśród walki, którą, jak sam mówił, „gdy raz się zaczyna, z ojca krwią spada

na dziedzictwo syna", wspierając Hellenów nie tylko materyalnie, lecz wsławiając ich dzieje i czyny nieśmiertelną pieśnią. A owa tajemniczość, jaką okrywał swoich bohaterów, a owe półcienie i półświatła, które powiększały istotę ich do niezwykłych, olbrzymich kształtów, czyż nie musiały pociągać za sobą młodego adepta helikońskich Muz? Samo usposobienie nawet Goszczyńskiego, które go czyniło zazwyczaj posępnym i zamkniętym w sobie, i wyobraźnia, wykarmiona dziwami ukraińskiej poezyi ludowej, a rozmiłowana w ponurych obrazach, co musiały wywoływać w nim samym zgrozę i przerażenie, miała w sobie coś byrońskiego. Cały wogóle aparat myśli i poglądów, jakim Goszczyński w owym czasie władał, był zupełnie zgodny z duchem poezyi autora Lary i Korsarza, owszem one go nawet poczęści w niektórych zapatrywaniach utwierdzały. Goszczyński widział w utworach Byrona identyczny sobie umysł pod względem przekonań politycznych, i to właśnie musiało najbardziej uczynić naszego poetę bezwzględnym wielbicielem, a przez to w dalszym ciągu i mimowiednym poniekąd naśladowcą Byrona.

Był nadto Tomasz Moor, był Walter Scott, w którego powieściach kochała się ówczesna fantazya, był już i Gustaw, dalekie echo zrozpaczonego Werthera, a przypominający pod pewnymi względami analogiczne kreacye Byrona, w których młode umysły widziały, a raczej koniecznie widzieć chciały odbicie wszystkich tych uczuć, jakie tylko sercem poruszać mogły, była już i Marya, z której także ta tajemniczość byrońska wionie, ten smutek i ból bezgraniczny. Uległ więc Goszczyński ogólnej epidemii, a Zamek Kaniowski, który wydaje się być odblaskiem powyższych poematów tak w pomysłach, jak i w wykonaniu, jest odbiciem ówczesnych dążności politycznych Goszczyńskiego i jego poetyckich upodobań, jest ciekawem ze wszech miar świadectwem czasu i prądów, jakie w literaturze naszej wszechwładnie panowały.

„Wstań, niewolniku podły, wstań na chwilę,
Powiedz, ten wąwóz czy nie Termopile?
Ty, z duchów orlich wyrodzony płazie,
Na Leonida gnieżdżący się głazie,
Przypomnij, nazwij tych opok wyżyny,
Zatokę, wyspy,— wyspy Salaminy!
Powstań! te dawne zapomniane boje
Odnów i przywłaszcz, to dziedzictwo twoje"....

Słowa te natchnionego piewcy Giaura nie padły na twardą opokę.. wszędzie widzimy nagły zwot do przeszłości, do starodaw-

nych podań i pieśni, opiewających otoczonych obłokami tajemniczości mitycznych bohaterów. Nie przebrzmiał też bez echa i głos Kazimierza z Królówki, który wołał, iż „romantycznością naszą są nasze niegdyś miasta, których obwody już czarna rola przykryła". Wnet już, bo pierwsi nawet pionerzy romantyzmu na niwie naszej literatury starają się pod swoje utwory podłożyć tło historyczne; zarówno Mickiewicz w Liliach, Świtezi i Grażynie, jak nie mniej cały zastęp poetów t. z. szkoły ukraińskiej wyssał już z piersi swoich matek to zamiłowanie do dziejów ojczystych zagonów: tak autor Dum Podolskich, jak i Bohdan Zalewski, Malczewski i Grabowski, a z późniejszych Groza i Olizarowski tylko z dziejów Ukrainy treści do swoich czerpali utworów.

Już od lat pierwszej młodości Goszczyński zapewne pod wpływem romansu Floryana p. t. Gonzalw z Korduby [1]) i Woltera Dziejów Karola XII i Iliady, jako też opowiadań ojca, które, jak sam przyznaje, wielki wpływ na jego umysł wywarły [2]), marzył o wielkim historycznym poemacie: i tak najprzód chciał opiewać czyny Sobieskiego pod Wiedniem [3]), potem znowu „snuł fantazye na temat Wernyhory" [4]). Nie było snać atoli przeznaczonem mu stać się piewcą wypraw bohaterskich, co miały się skończyć zwycięstwem i wrzawą tryumfu. Z poszumów bowiem wichru, co swobodnie hulał pośród nieogarnionych okiem stepów i rozłogów Ukrainy, z mogił i kurhanów, co w nocy posępnie płaczą i ciche, a tęskne ze sobą wiodą rozhowory, z łoskotu fal Dnieprowych, bijących po porohach—spłynęła na naszego poetę potężna fala natchnienia, a dzieje tej Ukrainy, tej pięknej a tęsknej, tej jego matki i nieodstępnej piastunki, żyjące w pieśniach i podaniach ludu, nasunęły mu myśl do wielkiego poetycznego utworu, który miał jej przeszłość minioną, co zagasła, jak łuna humańskich pożarów, z zapomnienia do nowego, wiecznego wskrzesić życia. A Ukrainę tę, bujną trawą porosłą, swoją ukochaną widział w niedoli i niewoli, w upadku i poniżeniu, widział, jak przez mgłę, dzielne twarze atamanów, co za nią do walki stawali, z pieśni usłyszał o krzywdach, jakie tak długi wiek cierpiała, w pacholęcych jeszcze latach patrzał z czcią na kurhany, które w swem łonie ciała mołojców, kitajką przykryte czerwoną, chowały, nie dziw tedy, że nie chciał idealizo-

---

[1]) Z. Wasilewski. „Narodziny poety-romantyka (Ateneum. 1895. III. 258).
[2]) Z. Wasilewski. op. cit. 257—258.
[3]) ibidem. 499.
[4]) ibidem. 500.

wać fizyognomii duchowej jej ludu, nie chciał zamknąć oczu na ciemną jej stronę, która, niestety, była już faktem historycznym, a tego nic nie mogło usprawiedliwić, ani wytłómaczyć.

Wśród zieleni stepów, wśród walki wewnętrznej poglądów, zarysowywały się i zmieniały kontury „Zamku Kaniowskiego"; kiedy i gdzie go napisał, o tem dziś, mając rękopiśmienny pamiętnik Goszczyńskiego, dokładne wiadomości podać jesteśmy w stanie [1]). W kwietniu 1826 roku zamieszkał Goszczyński u Jana Krechowieckiego w Leszczynówce, gdzie czuł się nad wyraz szczęśliwym i w pełni życia, korzystał z bogatej biblioteki i przeczytał Szekspira, Walter Scotta, Byrona, Moora i jakieś zbiory ballad szkockich i angielskich. Tu też zaczął pisać swój poemat, robota jednakowoż szła niesporo. W jesieni dopiero, kiedy przeniósł się do Michała Grabowskiego do Aleksandrówki w powiecie Czehryńskim, ukończył dwie pierwsze pieśni „Zamku Kaniowskiego". W roku 1827 ukończył pieśń trzecią, jako też poprawił poprzednie, Grabowski zaś porobił na prędce przypisy i objaśnienia: skoro tylko uwagi były gotowe, wysłał poeta cały rękopism do Warszawy, gdzie wydaniem jego miał się zająć dawny kolega szkolny, Józef Chrząszczewski, za pieniądze Krechowieckiego.

Skrzydlata pieśń gminna, rozjękła, jak harfa Eola — wrażliwa na każdą boleść swojego narodu, na ton przeciągły a smutny, pochwyciła wieść o ruchach hajdamackich i o nieszczęśliwym ich końcu. Z pieśni tych i podań ludu ukraińskiego, co zarówno umiały nucić hymn tryumfu po bojach kozactwa z hordami Tatarów, zaczerpnął Goszczyński pierwszą nutę do swego poematu: nie dziejów karty pisane były dlań źródłem, z którego hojną dłonią miał zapożyczać barw dla poszczególnych postaci i wypadków,—Goszczyński w latach pierwszej swojej młodości brał chciwie pokarm, jaki miał się stać później zarodkiem osnowy jego utworu.

Jednem ze zdarzeń, których pamięć jest dotąd bardzo żywa i powszechna w Ukrainie,—powiada Michał Grabowski, —jest bunt pospólstwa przeciwko szlachty (sic!) w 1768 roku i najtragiczniejsza jego scena rzeź humańska. Dotąd jeszcze, choć z rzadka napotykają się tacy, którzy byli oczywistymi świadkami tych strasznych wypadków, a mało się znajdzie, ktoby o nich nie słyszał dokładnych powieści. Ktokolwiek się urodził i wy-

---

[1]) Wszystkie fakta, tak tu, jak i w dalszym ciągu podane bez zacytowania źródeł, pochodzą z niedrukowanego pamiętnika poety.

chował na Ukrainie, poznał tę tradycyę w dzieciństwie, kiedy z tak niezłagodzonem wrażeniem działały na czułą imaginacyę [1]). Już podczas pobytu swego w szkołach humańskich, podczas nieustannych rojeń o poemacie bohaterskim, nasłuchał się nasz poeta wespół z Bohdanem Zaleskim całego cyklu opowieści, sięgających doby rozruchów hajdamackich, od pewnego siodlarza Tereszki. Opowiadania te wybiły swe piętno na młodocianym umyśle Goszczyńskiego, on ujrzał i tu wątek epicki, który tem bardziej go ku sobie musiał pociągnąć, gdyż dzieje ziemi rodzinnej były jego treścią [2]).

I zapewne,—rzeź humańska mogła potężnie oddziałać na umysł każdego zarówno swoją dramatycznością, jak i jaskrawością kolorytu i rozmaitością działających w niej charakterów. Nie chciał jej atoli opiewać Goszczyński zapewne dla tego, ażeby uniknąć tych potoków krwi i nieugaszonej łuny pożarów, ona wszelakoż zwróciła uwagę naszego poety na analogiczne wypadki, jakim cała Ukraina podówczas uległa, zwróciła go ku legendom, głoszącym sławę (!) kozackich atamanów, co obok Gonty i Żeleźniaka rozlali na szerokich łanach krwi czerwone morze. Pieśni te atoli nie stanowiły jednolitej całości, tak, jak np. fakt utopienia Gertrudy Komorowskiej przez Potockich, którego mógł Malczewski bez znacznych zmian użyć, jako osnowy do swojej powieści. Goszczyński musiał tu z tego niezliczonego mnóstwa pieśni i legend wybrać najstosowniejsze, znaleźć dalej węzeł, około którego mógł całą akcyę poprowadzić, i wybrać takie charaktery, które mogły odtworzyć należycie obraz danej epoki historycznej.

I znalazł też poeta ruiny, sławne świetniejszą przeszłością, znalazł w ustach gminu zamek kaniowski, którego mury były także świadkami strasznych mordów i zemsty rozjuszonego tłumu hajdamaków. Okolica tego zamku prześliczna była zapewne jedną z głównych przyczyn, które twórczą siłę poety owładnęły i kazały mu tworzyć z niezrównanem mistrzowstwem smętne krajobrazy i stepów dal ciemną. A było tam wiele typów gotowych, co się same prosiły pod pióro, Goszczyński miał gotowe typy hajdamaków i szeregów kozackich,—słowem, miał wszystko, czego mu było potrzeba do stworzenia poematu, węzeł zaś epicki, którego właśnie w tych

[1]) „Literatura i krytyka". Wilno. 1890. I. 130.

[2]) Wasilewski, op. cit. Zasadzie tej pozostał Goszczyński wiernym i nadal, bo żądał zawsze od poetów, by przedmiot pochodził z dziejów własnego narodu.

legendach brakowało, musiał już sam zadzierzgnąć—dopatrując się miłosnego stosunku pomiędzy Orliką, żoną rządcy, a Nebabą,—płodem własnej fantazyi, wskutek czego i rozwiązanie nie było już tak trudne, od Nebaby bowiem każdy mógł prędzej czy później zemsty się spodziewać. Inne zaś postacie i akcesorya miały wyłonić się same bądź to z tła historycznego, bądź też z potrzeby akcyi.

Mimo tego atoli, iż postać Nebaby powstała w umyśle poety nie z gotowego wzoru, któryby poeta widział w pieśniach lub podaniach ludu ukraińskiego, mimo tego jednakże Goszczyński pozostał wierny historycznej prawdzie. Żadnej chyba postaci nie skreślił z takiem życiem, z taką prawdą realną, jak atamana nadwornych kozaków starosty, który miał potem stać się watażką bandy hajdamackiej: Nebaba—to żywy typ kozaka ze wszystkiemi jego zaletami i wadami, nadzwyczaj rażąco podobny do analogicznych postaci, które niegdyś w dziejach niemałoważną odegrały rolę. W pełnej sile wieku stawia nam poeta przed oczyma tego atamana mołojców kozackich. Już sama postać jego wskazuje coś wyższego od innych kozaków, bo i

„Ten czarny wąsik, co w drobnym pierścieniu
Nad różowemi ustami się zwija,
Ten wzrok, co przy brwiach ciemnych tak odbija,
Jak blask południa przy północy cieniu,
Ten kształt postawy, co, burką opięty,
Tak się wydaje w wspaniałym pochodzie,
Jak maszt bajdaku, gdy żagiel rozdęty
Mknie go z wiatrami po dnieprowej wodzie"...

Wszystko to wskazuje pewną wyższość w tym synu stepów, co, „jak sam pan polski, przed panem tak hardy". Ta duma i zarozumiałość Nebaby—to wrodzone z ojców, pradziadów cechy kozaka, który bez nich nie mógłby żyć, ani działać, te dwie cechy tak już się nieodłącznie zrosły z jego całą postacią, że bez nich musiałby stać się jakiemś bezmyślnem narzędziem, którem każdy mógłby dowolnie kierować, bez nich stałby się on niepotrzebnym na świecie... Ta wolność i nieograniczona swoboda działania, ta pewność i ufność w swe siły—to rysy wiernie historyczne,—w polu dopiero otwartem czuje się on prawdziwie szczęśliwym, on, co zna wszystkie pogwary przyrody, każdą ścieżkę, każde drzewo w lesie.

A i miłość nie jest obca sercu Nebaby. On kocha, a kocha miłością prostą, szczerą,—miłość ta zajęła całą jego duszę. Goszczyński głęboko zanalizował ten rys charakteru swego bohatera, uczucie to bowiem gorące rozrasta się do takich kształtów, że gotowe

wszystko za sobą pociągnąć. Nebaba jest zaślepiony w swojej Orlice do tego stopnia, że nie wahałby się, gdyby mu kto stanął na przeszkodzie—wszystko poświęcić, byleby tylko swoim zamiarom pomódz w urzeczywistnieniu. Nie słyszymy wprawdzie z ust jego nadobnych słówek; on, trwożny o swoją ukochaną, na jej widok staje się podobny do jakiegoś nadludzkiego olbrzyma; napozór cicho brzmią jego szepty, z nich jednakże zionie ten żar miłości wiejskiej, który budzi zarazem zazdrość i podejrzliwość. Tak też i Nebaby serce trawione jest ciągłą boleścią—on bowiem widzi, że lada chwila wystąpi przeciwko niemu wróg potężny. Zazdrość, pycha i nienawiść do rządcy zamku, który mu chce wydrzeć jedyną jego Orlikę, miotają nim na wszystkie strony, i teraz budzi się w jego sercu nowe uczucie—zemsta, a zemsta tem straszniejsza, że siły atamana nie dorównywają potędze rządzcy kaniowskiego. To też wiadomość o weselu rządzcy z Orliką, wiadomość, tem boleśniejsza dlań, gdyż go zastała stęsknionego po próżnem oczekiwaniu na kochankę, uderza w Nebabę, jak grom, lecz go nie podcina. Owszem, teraz Nebaba, w którego umyśle straszna odbyć się musiała walka, czuje się odrazu potężnym,—nowa myśl błyska mu w głowie—Nebaba z zawiedzionej miłości przystaje do hajdamaków, aby przy ich pomocy odzyskać utracone szczęście, ażeby wywrzeć straszliwą zemstę na tym, który się ważył sięgnąć po rękę jego kochanki.

Wszystkie te rysy charakteru atamana kozackiego, wszystkie zgodne są z historyczną prawdą, są jakby żywcem pochwycone z natury, zawierają w sobie nadto jeden szczegół, tem dla nas ważniejszy, że był właściwy całemu ogółowi przywódzców i samych nawet hajdamaków. Nebaba przechodzi dlatego na stronę hajdamaków, że widzi się pozbawionym swego szczęścia, dlatego, że ujrzał kogoś, kto mu się poważył naprzekór uczynić, duma zaś jego i pycha nie mogły tego pominąć z milczącą rezygnacyą. Widzimy zatem, że w całym Nebabie nie tli ani jedna iskierka miłości ojczyzny, niema w nim tego pierwiastku, któryby potrafił i mógł uszlachetnić, jak w ogóle w całym ruchu hajdamackim nie było ani krzty patryotycznych dążności. Pierwiastek ten korzyści indywidualnych, właściwy całemu buntowi hajdamaków, objawia się u Nebaby najlepiej w monologu do spitego Szwaczki:

„Nożu mój, nożu! Błyskasz do mnie próżno,
I próżno, widzę, naostrzyłem ciebie;
Inni swój snopek w naszem polu urżną,
Nim pośpieszymy z tobą ku potrzebie,
I wprzód rdza ciebie, wprzód ja siebie strawię,

Niżeli w męskiej z niewiarą przeprawie
Ducha radością, ciebie krwią opławię!"

Lecz i intrygi, i przebiegłość nie są obce Nebabie: widząc, że Szwaczka nie skory do wyprawy na Kaniów, umie on sobie poradzić, umie pozyskać zaufanie i przychylność tłumów hajdamackich, a wie dobrze, czem ich na swoją stronę pociągnąć potrafi. Podrażniwszy tedy umysły czerni nadzieją łupu, jaki sobie zdobędzie, wzbudza w nich chęć mordu, uderzywszy w samo centrum ich upodobań, zamiarów i celów:

„Komu rózgami ojciec zasieczony,
Czyja się panu podobała żona,
Komu najmilsza córka pogwałcona,
Kogo zbawiono lubej narzeczonej;
Na ojca boleść, na smutek matczyny,
Na hańbę dzieci, na łaskę dziewczyny,
Tego zaklinam, wołam po imieniu,
Niechaj wyjedzie i stanie tu przy mnie!"

Już samo to przypomnienie krzywd, jakie cierpiała przedtem zgraja buntowników, mogło wzbudzić w niej żądzę zemsty. Nebaba jednakże nie porzucił tak prędko zręcznie ujętej przez siebie struny, uderza w nią dalej, a coraz potężniej:

„Kto w pańskiem za to umierał więzieniu,
Że, jak pies podły, o głodzie i zimnie
Dla usług jego przemarnował lata;
Kogo najdroższa boli przez to strata
Kto chce odemścić te krzywdy, te zbrodnie
I tylko sobie odtąd żyć swobodnie,
Zaklinam tego na zemstę, swobodę,
Niech idzie zaraz, gdzie ja go powiodę!"

Tu już rozwścieklenie hajdamaków musiało dosięgnąć należnego punktu, lecz Nebaba nie przestaje jeszcze rozbudzać w nich ognia, z którego płomieniem miał w gruzy runąć zamek jego wroga:

„Kto chce się ogrzać przy zamku pożarze,
Kto chce opłukać pikę w polskiej jusze,
Kto chce zaśpiewać przy zamku pożarze —
Idźcie do zamku! ja drogę pokażę!"

Nebaba, który sam tylko dla własnej korzyści wstąpił w hajdamackie szeregi, wiedział, czem towarzyszy najlepiej podrażnić i do zemsty nakłonić podoła. Czy jednak rzeczywiście tak smutny był stan Ukrainy, czy istotnie takich bezprawi się dopuszczano, o ja-

kich mówi Nababa, czy istotnie szlachta polska znęcała się w tak okrutny sposób nad chłopstwem, że gwałciła bezbronne niewiasty i poniewierała godność ludzką poddanych? Inaczej zapisała karty tych czasów historya, w innem świetle skreśliła obraz stanu włościańskiego, który tutaj na kresach znajdował się w wiele lepszem położeniu materyalnem, niż chłopi innych dzielnic Polski, a bezsprzecznie w najlepszem w porównaniu ze stosunkami ościennych państw, kiedy książątka niemieckie tysiącami sprzedawały włościan Anglikom na wojnę przeciw zbuntowanym Stanom Ameryki Północnej. Zdarzały się, co prawda, na Ukrainie wypadki analogiczne, o jakich mówi Goszczyński przez usta dorodnego watażki, zdarzały się bezprawia, (a gdzież ich i dziś niema?) — wypadki te atoli należą do wyjątków, i nie one to spowodowały ruch buntowniczy. Wykrzywił tedy poeta fakta dziejowe, przedstawiając w ten sposób przyczynę koliszczyzny, a wykrzywił je tak silnie, iż bezsprzecznie muszą spowodować fałsze w charakterystyce, nawet najogólniejszej, historycznego tła, a to przecież winno być zawsze prawdziwem, uogólniać zaś wyjątków — tutaj nie było można, jeśli podkład dziejowy miał być prawdziwy.

Przebiegłość, ten rys wybitny na twarzy każdego kozaka, którego narzędziem szabla, a wesele bój z wrogiem, nie jest, jak widzimy, obcym i temu bohaterowi Goszczyńskiego. Teraz dopiero wojna staje się jego żywiołem. Ataman umie szybko przygotować swoich do blizkiego boju, upojony jednakże nadzieją spełnienia swych życzeń i marzeń, zapomina o środkach ostrożności. nie przemyśla nawet, że tu, w otwartem polu, przyjdzie mu stoczyć walkę z wrogiem, w którego zasadzkę wpaść może. Kiedy atoli przychodzi do stanowczej rozprawy, umie szybko rozpoznać teren walki, umie kilku niedobranemi słowy napełnić pierś swoich mołojców odwagą i pogardą życia, umie nakoniec i sam gardzić życiem, nadstawiając co chwila szyję pod ciosy nieprzyjaciół; wtedy nawet, gdy śmiertelny otrzymawszy cios, traci coraz szybciej siły, wtedy jeszcze nie byłby się poddał, gdyby nie omdlenie, któremu znużony długim bojem musiał nakoniec uledz: umie on wreszcie, kiedy go na pal wbito, nie wydać jęku, choć ból mu szarpał i krwawił wnętrzności.

W postaci tedy Nebaby odbiły się wszystkie rysy charakteru dumnego przywódzcy kozaków; Goszczyński nie poskąpił swojemu bohaterowi ni urody, jaka cechuje mołojców stepowych, ni wszystkich tych cech, jakie go wyróżniały powszechnie od innych: ta odwaga nadludzka i pogarda życia, zawziętość mściwa i upór, duma, której nawet w ostatnich chwilach życia mu nie zbraknie, wszystko

to złożyło się na typ, rdzennie ukraiński, na typ, który pierwszy Goszczyński potrafił pochwycić. Zarówno indywidualność jego zamiarów, jak też zgon straszliwy na palu, wziął poeta z dziejów rzeczywistych: bo czyż innym był postępek Chmielnickiego, Gonty, czy inna śmierć tego ostatniego i innych przywódców ruchów hajdamackich? Nie miał wprawdzie Goszczyński gotowego wzoru w historyi, którą znał z ustnej tradycyi, szczegóły jednakże, z jakich stworzył całokształt Nebaby, wszystkie te akcesorya, na najdrobniejszych skończywszy, zgodne są zupełnie z prawdą historyczną: takimi byli zazwyczaj atamani kozaków, a później wodzowie koliszczyzny.

(d. n.) *Stanisław Zdziarski.*



NASTRÓJ.



U stóp ołtarza padłem.
Ja nie wierzę,
Już zapomniałem wierzyć...
Cisza mnie świątyni objęła.
Półzmrok.
Ból mną rzucił o te kamienne schody, co mi czoło,
Chłodzą...
I nie wiem nic.
Tylko mnie pali zimne dotknięcie marmuru,
I skronie niemal nie pękną...
Boże!
Jeżeli jesteś, miejże zmiłowanie
Nade mną, Panie!
Boże!
Nędzarz,
Do stóp się Twoich chylę — łkanie
Pierś mi rozdziera — Ty, co nie odpędzasz
I najmniejszego z maluczkich, wskaż drogę,
Prowadź mnie, Panie! — Nie, ja się nie mogę
Modlić — nie umiem. — Wszystek
Skarb mej młodości utonął — Jak listek

Za listkiem rwie wichr jesienny z krzewów i opada
Kwiat. W mojej wiośnie przyszła jesień blada
I wichr — i kwiaty mej duszy powiędły...
Odbiegły prządki, co pajęcze przędły
Marzeń przędziwa, i słoneczne
Odbiegły baśni. — Życie, które wieczne
Swe toczy wody, zniszczyło zawiązki
Nowych pędów i świeże łamało gałązki,
Prąd uniósł wszystko — i modlitwy słowa
Zapadły w głębie, i głębia je chowa,

O Panie,
Miej zmiłowanie!
...Cisza,
... Lodowata cisza.
Słyszę,
Jak mi pulsują skronie, i jak młotem
Serce mi wali w piersiach...
Cisza...
... Lęk mnie ogarnia...
Po organach przebiegł wiatr, i powietrze rozdarł dźwięk,
Smutny, jak jęk,
Wyrwany z mojej duszy...
... Cisza...

— O Panie
Miej zmiłowanie!
Podnoszę wzrok — Na krzyżu Chrystus, obok rota
Pobożnych. — Lampka czerwona migota
I kładzie blaski krwi na serce ze złota,
Na biały obrus ołtarza i na mnie.
— O, Chryste
Źle mi. Przeczyste
Spojrzenie swoje na mnie zwróć — Człowiekiem
Byłeś sam, Panie — i wiesz — wiek za wiekiem
Idzie, a człowiek w swej nicości,
Jak był — tak został — O Panie, litości!

O, Panie!
Miej zmiłowanie!
— Prześnił się sen mój — tylko sen, a przecie
Ja w nim zamknąłem życie całe, i na świecie

Niemasz nic dla mnie po za nim — O Panie!
Zechciej, a wstanie,
Wskrześnie sen mój i blaskiem słonecznym otoczy
Głowę mą i duszę przepełni i oczy,
I sam się słońcem stanę — i tchnienie
Wiosny rozrzucać będę, jak nasienie
Rozrzuca rolnik — i wzejdą me plony,
Gdyż je swym żarem rozbudzę.—W nieskończonej
Dobroci swojej, Panie,
Zechciej, niech wstanie
Sen mój — niech wskrześnie, i niech zorze
Ciemne rozjaśni niebo, i przestworze
Duszy mej blaski przenikną —
— Boże!
Ja nie ustami, sercem modlę się do Ciebie:
Wróć mi mą wiosnę i misternie tkaną
Snów moich siatkę w pełne słońca rano...
„Ojcze nasz, który jesteś w niebie. . .“
. . . .
. . . .
. . . .

Maryan Tatarkiewicz.



Z dziejów polskich Różnowierców.

Aryanie. Ludzie i Losy.*)

Marcin Krowicki.

Po głównej komnacie żurowickiego dworku przechadzał się wolnym krokiem, zatopiony w myślach, dziedzic wioski i szlachcic ziemi przemyskiej, ksiądz Stanisław Orzechowski, sławny już na całą Polskę z pism, listów i przemów politycznych, okolicznościowych i religijnych; świetny stylista, śmiały, nieraz paradoksalny myśliciel, kroczący torami własnymi, tak niezwykłymi i splątanymi, że i dla tych, co go bliżej znali, już wcześnie Proteusem, Odmieńcem, został.

Blada twarz zdradzała ślady licznych, bezsennych nocy, wewnętrznych walk i niepokoju; ciało mimo ciepłego okrycia przejmowały dreszcze. Rychły zmrok — dzień był 13 grudnia 1550 roku — przerwał na chwilę ulubione zajęcia, czy to wylewanie bogatej, a niezawisłej myśli w ozdobnej formie, czy rozczytywanie się nie w klasykach, jak bywało, lecz w piśmie św. i w ojcach kościoła.

Coraz rzadziej urozmaicały odwiedziny sąsiedzkie jednostajność wiejskiego zacisza; innego zaś zajęcia już nie było. I znowu oddał

*) Porównaj Ateneum 1896, III tom, str. 437—465.

się samotny ksiądz, skazawszy się oddawna dobrowolnie na bezczynność, myślom trapiącym. Myśli i troski, listy i książki, rozmowy i spory krążyły wyłącznie około jednego: chodziło o stanowczy zwrot, o przełom w życiu i karyerze, o krok, brzemienny w nieobliczalne dla tego, co się nań odważał, i dla kościoła polskiego następstwa.

Cofnąć się nie było już możliwem. Nadto jawnie i uroczyście zapowiadał tylekrotnie ksiądz Stanisław, że się wbrew Kanonom rzymskim ożeni, że nierządne życie bezżennego duchowieństwa dawno mu omierzło, że poważy się wznowić, co gwałtem odjęto w Łacinie i żyć po staremu z żoną, jak dotąd żył kler wszystkich wschodnich obrządków. Krok ten usprawiedliwiał i uzasadniał on od kilku lat w broszurach i listach—do Młodeckiego, Kmity, Brudzewskiego, chciwie przez ogół i zagranicą czytanych, krążących w drukach lub licznych odpisach; złożył urzędy i beneficya, kanonikat i probostwa i starał się już od roku o żonę dobrego rodu i wychowania, szukał jej we fraucymerze Kmitów i indziej. Czuł zwrócony na siebie wzrok całej szlachty, pewny jej sympatyi; duchowieństwa, rozdwojonego, zaniepokojonego, i tu licząc na poparcie.

Po za tym krokiem, ostateczny jego wynik, w dali przyświecał ów wielki cel połączenia całego kościoła pod jednym pasterzem, jaki po lugduńskiej i florentyjskiej akcyi, nieudatnej, zapomnianej, w szesnastym wieku Orzechowski pierwszy światu przypomniał; cel, nastręczający się mimowoli i ciągle temu „rodzicowi” ruskiej ziemi z jej trojakim obrządkiem, sarkającemu na dzikie nieraz przesądy, jakie łacinnicy, ludzie nieudolni lub złej woli, przeciw jego ojczystej Rusi pismem i mową szerzyli albo w gruby czyn wprowadzali. Pierwszym zaś krokiem ku temu złączeniu musiałoby być — prócz uprzątnięcia innych zwyczajów i przepisów— moralne odrodzenie duchowieństwa łacińskiego. Humanizm, niedawno jeszcze tak chełpliwie obiecujący odrodzeniem nauk i wiedzy odrodzenie wygasłych starych cnót, powrót dawnej prawości i czystości, zawiódł zupełnie, rozluźnił chyba ostatnie resztki karności; stan, najwyższy i najświętszy, upadał pod brzemieniem własnego zepsucia i ogólnej pogardy; aby go dźwignąć, jedyna zostawała droga: znieść celibat, nienawistny niebu i ziemi, obcy dawnemu i wschodniemu kościołowi, narzucony siłą. Lecz prowadziłoż samowolne łamanie gniotącego jarzma najprościej, najpewniej do celu? jakież skutki togo kroku? czy uspokoi się kiedy trwożliwe sumienie?

Nie obawiał się ksiądz Stanisław swego biskupa, choć miał w nim osobistego, zaciętego wroga. Co taki „heros” Maciejowski, z byle jakimś Walentym z Krzczonowa uczynił (żonatego księdza

w lipowieckiem więzieniu osadził), na to nie odważyłby się chyba taki Dziaduski wobec dumnego i sławnego Okszyca; cała szlachta przemyska, Stadniccy, Krasiccy, Drohojewscy, Orzechowscy i inni stanęliby za krewnym i sąsiadem, jak jeden mąż, gdyby się w biskupim Brzozowie na osobę targnąć śmiano. Górował niepokój o przyszłość. Wiedział Orzechowski, że dalsza karyera duchowna, nęcąca dostatkami, zaszczytami, wpływami, karyera dostojników kościoła, mężów stanu, mecenasów sztuki i nauki, owych Tomickich, Krzyckich i Maciejowskich, nazawsze się przed nimi zawierała, że, pełen ambicyi, w sile talentu i wieku, miał się odtąd wyrzec wszystkiego, poświęcić pracy literackiej, zagrzebać w rodzinie. Może jeszcze więcej bał się on zupełnego osamotnienia: na piśmie lub w słowach podejmował się nie jeden pójść za jego przykładem, lecz prócz owego niefortunnego Walentego któż dotąd na czyn się zdobył? Wprawdzie sam Maciejowski, przyparty do muru, przyznawał w Prądniku Orzechowskiemu, że, jeśli dla ważnej przyczyny księżom żony odebrano, dla jeszcze ważniejszej je im wrócić należy; wprawdzie wołało straszne, jawne zepsucie o rychłą, skuteczną naprawę; lecz od ustępstw w teoryi daleko było do gwałcenia kanonów, łamania ślubów, zuchwałego wyzywania zwierzchności i Rzymu. A co najgorsza, wiedział Orzechowski, że krok jego mylnie wytłómaczą. Protestantyzm polski, kiełkujący coraz jawniej, coraz śmielszy, powita to, jako zadatek niepowrotnego zerwania z Rzymem, choć ksiądz nasz o tem jeszcze ani myślał; że niechybnie zaliczą podejrzanego już dawniej teraz w szeregi nienawistnych mu w gruncie serca kacerzy i heretyków; jego, co to przyjaciół, jawnych nowowierników, jak Przyłuskiego, Trzecieskiego, Koźmińczyka, ostro o nowinki strofował — tem samem ich w mniemaniu o swej chwiejności i odmienności utwierdzał: bo i jakże mieli oni pogodzić ubóstwianie niemal zwierzchności duchownej (prymasowstwa i papiestwa) z jawną przeciw niej rebelią?

W ciągłem przetrawianiu tych męczących zagadnień upływały już całe miesiące, i wyczerpywały się siły fizyczne; i tezaz przesuwały się te same wywody i pytania przed znużonym umysłem. Ruch przed dworkiem, gwar ludzi przerwały ciszę: zamiast jakiego posłańca z listem lub blizkiego sąsiada wszedł do izby obcy podróżny, lecz poznał w nim Orzechowski wnet księdza Marcina Krowickiego, plebana wiszeńskiego, kreaturę Kmity, rządcę w dobrach jego w Lisku,—czy nie przywiózł jakich zleceń od wojewody? Dawniej byłby go może obojętnie przyjął: znał go wprawdzie z Krakowa i od Kmity, lecz odstręczały od Krowickiego i zbytnia tegoż popędliwość,

i afekt bez granic ku Kmicie, a z wojewodą—patronem Orzechowski już od lat kilku skryciej lub jawniej, pismem i słowem zadzierał; humanistę raziło i to, że Krowicki nie hołdował gorliwiej nowym bogom, że nie dbał o klasyków, o styl i formę, że nie znał nawet greckiego języka. Lecz zetknęli się już i porozumieli obaj — choć nie na długo — na innem polu; połączyły ich przekonania religijne, odżyły wspomnienia Witenbergi i Melanchtona, u którego stóp obaj niegdyś przesiadywali. Wrażliwy umysł, nękany wahaniem się i wątpieniem, odczuwał potrzebę sympatycznego oddźwięku, wsparcia na drodze trudnej, jaka się otwierała; tem radośniej więc przyjął ksiądz Stanisław gościa, co to po raz pierwszy i ostatni w życiu progi żurowickiego dworku przekraczał.

Lecz nie z poleceniami, od Kmity wstępował Krowicki: wracał on do Liska z synodu dyecezyalnego w Przemyślu i, zbaczając z drogi, nawiedził Orzechowskiego, by sam wylał przed nim serce, przepełnione żalem i goryczą. Jechał on na synod, przesiąkłszy naukami, czerpanemi dawniej od Melanchtona, potwierdzonemi teraz przez listy Przyłuskiego, pisma Orzechowskiego i Seklucyana. Na synodzie, zamiast, jak inni, przyjmować i chwalić, co podadzą od biskupa na rejestrze, jął on wtaczać cały program Orzechowskiego; żądać, aby Rusi, przechodzącej do Rzymu, powtórnie nie chrzczono; aby laikom sakramentu ołtarza pod obiema postaciami nie broniono; aby księża nie żyli w jawnym cudzołóstwie i lepiej, żeby własne żony mieli. Szczególniej ostatnie żądanie wywołało powszechne oburzenie; zakrzyczano go: mniejszy grzech z nałożnicami po staremu mieszkać, aniżeli żony pojmować; obruszony do żywego takiem bluźnierstwem, opuścił Krowicki synod.

Tem gorliwszego sprzymierzeńca znalazł ksiądz Marcin w Orzechowskim, i posypały się wzajemne skargi i żale na opłakany stan religijny w dyecezyi, na nadużycia duchowieństwa, na biskupa. Z przekąsem i szyderstwem opowiadał Orzechowski, co sam lub od innych o Dziaduskim wiedział: jak, każąc: w Przemyślu w dzień Nawiedzenia N. P. M., objaśniając Magnifikat, dodał biskup „bracia najmilsi, wiedzcie o wielkiej tegoż zasłudze — zgubi kto co, niech trzykroć po dwa Magnifikaty odmówi, a zguba się odnajdzie; sam tego doświadczyłem”. W kazaniu na dzień Zwiastowania polecał słuchaczom pisać po ścianach wielkiemi literami: Kasper, Malcher, Baltazar, jako pewny środek przeciw piorunom; w innem zalecał księgi salomonowe, czarnoksiężnicze i o zaklinaniu czartów; tak gorszył swoich, a śmieszył obcych innowierców. Zato uważał ludzi, umiejących nowy język, grekę, za heretyków i zakazywał jej po

szkołach i przechwalał się, że z dyecezyi owych wykwintnych latynistów wnet się pozbędzie; zabronił mówić pacierz we wstępie do kazań, ale dbał, by różańce i chorągwie świętych wiernym najgorliwiej zalecano; gdy na pytanie przy wyświęcaniu księży, czy kto przeciw ich osobom ma co do zarzucenia, Orzechowski wystąpił i kilku błaznami i grajkami, niegodnymi święceń, obezwał, zapewnił Dziaduski, że dość nauki dla księdza, jeśli muzykę i kalendarz pojął. Od biskupa przeszli do prałatów i plebanów, wyliczali jawne zgorszenia, pożycie z nierządnicami, z uwiedzionemi od mężów żonami, plagi, jakie od swych „kucharek" odbierali, baśni, jakich lud nauczali; dalej do innych nierządów, jak przy egzaminowaniu księży pytają nie o wiarę i jej świętości, ale o to, ile krzyżów w mniejszym kanonie (mszy) się kładzie i t. p.; głównie też do nieznośnych stosunków z Rusią, do szydzenia z jej obrządków i wiary, hydzenia ich przed ludźmi, jak Rusinkę, co męża porzuciła, chrzczą i za łacinnika wydają; jak przepaść, dzielącą obrządki, zamiast wyrównywania w duchu ewangelii, coraz pogłębiają.

Lecz jeszcze z większą goryczą narzekał Krowicki nad własnym losem i stanem, nie dopuszczającym mu żyć, jak się godzi, nad wymysłami ludzkimi, nad papiestwem, broniącem mu uczciwego małżeństwa, a zmuszającem go tonąć po same uszy w tej Sodomie i Gomorze i leżeć w niej ustawicznie, jako żaba w błocie. Wobec tych skarg i żalów ustąpiła na drugi plan literatura i jej zajęcia, a gdy noc rozmowy przerwała, wznowili je na drugi dzień, rano w niedzielę, aż zaczął nastawać Orzechowski, aby Krowicki za jego przykładem śmiało pokończył z próżnemi utyskiwaniami i ożenił się. Zgodził się Krowicki i począł nalegać, by mu w zamiarze tym pomógł. Traf zdarzył, że Orzechowski rolę dziewosłęba natychmiast odegrał.

W czasie ich rozpraw nadjechał blizki sąsiad i dobry znajomy Orzechowskiego, pan Stanisław herbu Gryf Pobiedziński i, zastawszy ich na gorliwej rozmowie, zapytał: o czem tu wy dwaj sami tak rozprawiacie? Na to Orzechowski, zdjęty nagłą myślą, jakby od niechcenia: wszystko o tobie, Stanisławie! A cóżby takiego o mnie? pyta zdziwiony Pobiedziński. „Ot, żebyś został teściem tego tu Krowickiego". Zaniemiał szlachcic, lecz Orzechowski nie wypuścił go, zaczął oskarżać celibat i kanony rzymskie, przypisując im wszelkie zgorszenie, niemożliwość innej poprawy plugawego życia, próżne wyczekiwania soboru i reformy od papieży, zajętych wyłącznie panowaniem doczesnem. Pan Pobiedziński godził się z góry na to wszystko, powoływał się tylko na przestarzały zwyczaj;

w końcu poruszony gorącą wymową sąsiada, skory sam do odegrania jakiej roli w nowym ruchu, ustąpił i patetycznie zawołał: od Pana wyszło słowo, przeciw Jego uchwale cóż mam z tobą mówić; oto moja Magda (córka szesnastoletnia, znakomitej urody i dobrego wychowania), bierz ją!

Nagły, niespodziewany zwrot ten wprawił obu w wielką radość; gorąco kąpany Krowicki widział w tem stanowczy przechód ku nowowiernikom, z Rzymem w duchu nic go już nie łączyło; Orzechowskiego cieszyło, że znalazł gorliwego spólnika, że nie będzie osamotnionym, że pociągnie za sobą i innych—była i inne jeszcze przyczyna, dla jakiej mu żelazo, póki gorące, kuć należało. Podziękowawszy więc Bogu, utyskiwali znowu, że brakło księdza, któryby związek pobłogosławił; sam autor całej sprawki, złożywszy urząd duchowny, podjąć się tego już nie mógł, i długo nalegał Krowicki, aby marną, byle chciano, przeszkodę, brak jednego księdza ominąć. Kazał wreszcie opierający się niby Orzechowski założyć konie i zostawiwszy Krowickiego u siebie, pojechał z Pobiedzińskim rano jeszcze do poblizkiego Przeworska. Proboszcza przeworskiego, księdza starej nauki i wiary, znał Orzechowski dobrze; przed trzema miesiącami spierał się z nim gorąco wobec licznego zgromadzenia o celibat; proboszcz wszelkiemi siłami bronił bezżeństwa, argumentując, jak kapituła przemyska, i przysięgając, że, choć jego nigdy nic nie przywiedzie, by księdzu ślub dawał; przekorny, jak zawsze, Orzechowski zaręczył mu, że, i to wkrótce, przekona się, że przysiągł fałszywie. Nad wszelkie oczekiwanie nadeszła sposobność, by się ze słowa, danego nieopatrznie, wywiązać; nie należało jej omieszkać.

Przystąpił więc Orzechowski do proboszcza i poprosił, aby wysłał z nim wikarego, któryby w domu u Orzechowskiego parę ślubem połączył. Proboszcz odmawiał, choćby dla adwentu, kiedy małżeństw zawierać niewolno; Orzechowski przeciwstawiał godziwość ślubu cichego, wskazywał na przykłady, na konieczność pośpiechu; wprowadził samego Pobiedzińskiego i zapewniał, że, jeżeli nie teraz natychmiast, to takiego zięcia Pobiedziński ani w zapusty już nie dostanie. Zmiękczony namowami przyzwolił nareszcie proboszcz; lecz przeczuciem tknięty zapytał: jakżeż nazywa się ten twój zięć, za którym tak gorliwie dziewosłębisz? Odpowiedział Orzechowski: nazywa się Marcin, a rodem szlachcic. Proboszcz nic więcej nie odrzekł, zawołał wikarego Ostafiego i wysłał go z nimi do Żurowic.

Byłżeż Krowicki istotnie szlachcicem? spółczesne złe języki twierdziły, że to syn chłopa z pod Torunia i że ojcowskie imię Kro-

wy na Krowicki zamienił. Rzeczywiście na ród Krowickich, szlachty opoczyńskiej, herbu Nowina, ksiądz Marcin nigdy i nigdzie się nie powoływał, do nich więc chyba nie należał, a innych Krowickich herbarze wcale nie znają. Byłoby to obojętnem, gdyby jednego Krowickiego i r. 1550 tyczyło, ale to samo powtarzało się i później, z wielu innymi ministrami protestanckimi, aż do połowy XVIII wieku i było niemal ich cechą, tak, że się nad tem nieco zatrzymać należy. Ministrowie protestanccy polscy w najprzeważniejszej części— to miejscy synkowie lub chłopowicze, wyznawcy zaś protestantyzmu rekrutowali się głównie ze szlachty: stąd owa mała powaga ministrów śród własnych spółwyznawców, że broń Boże, by szlachcianka za ministra wychodziła, lub żeby syn szlachecki na ministra się kierował—od takiej skazy i plamy ród, ile możności, chroniono. Jan Łaski, Stanisław Lutomirski, Sarnicki, Bzicki, ministrowie i stara szlachta zarazem, stanowili świetny wyjątek — reszta ministrów, ludzie poddani, niewolni lub obcy przybysze (Stankary, Statoryusze i inni), lub mieszczuchy, lub podejrzanego rodu (np. Płachta-Kwiatkowski), podszywali się tem pilniej pod szlachectwo; Siekierka stawał się Siekierzyńskim, Jakób z Kalinówki Kalinowskim, Statoryusz Stoińskim i t. d. Katolickie duchowieństwo, rekrutujące się i z najwyższej szlachty, zażywające więc wcale innej powagi, wiedziało o tem doskonale i szydziło dowoli z protestanckich sług słowa Bożego, Stanisław Reszka np. w książce *de atheismis* (Neapol, 1596 r.) wyliczał w tłumie nowych kacerzy, prześladujących Chrystusa, owych „Biesaga, Kitka, Paklepka (znany minister aryański), Wardęga, Powałka, Bilek, Kokotek, Tłomoczek"; wyliczał na synodzie krakowskim r. 1573 „szewc Jurek, Siekierka, Kitka". Najgorzej jednak drwił z chłopowiczów Jan Zrzenczycki w „Anatomii Martynusa Lutra, przez Erazma Dezyderyusza z czerwoney grobley Roterodama odprawianej r. 1546, 17 lutego" [1]). Jest to pamflet, wydany w początkach XVII wieku; Erazm (zmarły r. 1536) dzieli niby trup Lutra (zmarłego 17 lutego 1546) między starych i nowych heretyków po kawałku: flaki dostają się polskim ministrom, sejmującym niby wtedy w Okszej:

A sam Rey, pan tey Okszey, postylę im pisał,
Nie z swey głowy, ale co od czarta usłyszał:

byli tam prócz Szymona Proszowity, co Radziwiłłów, Krowickiego, co Oleśnickich, Sarnickiego, co Stadnickich zlutrzył, jeszcze i ci:

---

[1]) Egzemplarz w bibliotece hr. Baworowskiego.

Był ksiądz Piotr Gębołowia, Grzegorz z Secemina,
Więc Włóczykij Walanty z Bandurą z Tarczyna,
Nuż Pan Matys Zaskowski, Płatek duszotrajca,
Przy nich siedział Mięsurad Szymon, boży zdrajca,
Sebestyjan Lizipęp, Kartograj z Lipnice:
To psie mięso z Chomranic, to psu post z Kremnice;
Łapigros Mazowitą, na imię Brykcius,
Wydmigęba z Rzeszowa i Piotr Fernelius;
Szkapołupca z Ciężkowic, Niedojadł z Mrzygłoda,
Siekierka z Stawiszyna, Płóczyflak z Żmigroda;
Więc Wiercibies z Osieka, Kręcigłowa z Żarek,
Koliweszka ze Czchowa i Łupikot Marek,
Laurencius Cichowlazł. Franciszek Fudalej,
Chybidziura pan Jędrzej, Urban Głowoszalej,
De Poręba Drapichróst, Matus Cięgniskóra,
Erazmus Głodzigiza, Petrus Paligóra [1]).

Podobnie zarzucał Orzechowski Frycowi (Modrzewskiemu) plebejskie pochodzenie. Wolana obzywano stale browarczukiem ze Lwówka, Przyłuskiego synem mnicha z Jeżówka i t. d. W siedemnastym wieku kalwin-szlachcic, Andrzej Chrząstowski, czując się obrażonym przez kalwinów-ministrów, w broszurze „Obrona dyalogu i t. d.“ z r. 1619 zarzucał im, np. seniorowi, chłopu z Krężnicy, Pyszałce, że się Janem Grzybowskim zowie (ty strzyżywąsie Pyszałko, bardzoś to zjastrzębiał i t. d.), a drugiemu, rezydentowi w Kocku, księdzu Puto, którego matka w Secyminie ludziom i panom błaznowała, że się Zaborowskim przezwał; wytykał im słowa niewyparzonej gęby chłopskiej; pytał, „czemu on zacny minister, któremu równia między sobą w nauce i w życiu nie macie, Grzegorz z Żarnowca, nie przał się tego, kim był, a nic mu to nie wadziło, szanowano go, ale i po śmierci, my, cośmy go znali z jego cnót, prawie ewangelickich, miłujemy go i teraz”. Cichocki w rozmowach Osieckich (1615 r.) zarzucał ministrom, że prawie zchłopieli, niczem się niemal od chłopów nie różniąc; gniewają się, gdy się im mówi poprostu *Domine minister*, wymagaliby tytułów *Reverendus Venerabilis*, *Sanctus*, lecz im się nie należą; szydzi z owych ich nazwisk, Torb, Srok, Krzesichlebów, Biesag, Pierzchał i innych.

---

[1]) Ustęp ten ciekawy i jako próbka tonu ówczesnych walk wyznaniowych, i jako próbka nazwisk chłopskich, w rzeczywistości prześcigających jeszcze wymienione właśnie nieprzyzwoitością: Dusipiwo (albo Łupipiwo i Marczypiwo), Ludzkaszkoda, Kozirak i t. p. — niemożliwych innych tu nie wymieniamy — znamy z XV wieku. Głodzigiza znaczy obgłodującego piszczele (nóg); Koliweszkami zwano łataczy starej odzieży; Chomranice i Kremnica znane zborami różnowierczymi: duszotrajca tyle, co zatrający dusze.

Po takiej dygresyi o podejrzanem szlachectwie Krowickiego, charakteryzującej i późniejszych już ministrów, ich aspiracye, a istotne położenie w towarzystwie ówczesnem, wracamy do swatów przeworskich.

Zaraz w Przeworsku pospraszał Orzechowski gości; po przybyciu do Żurowic, rozesłał jeszcze sług, by zjazd był jak najliczniejszy; aby zaś rzecz przedwcześnie się nie wydała, Krowickiego z wikarym, który go wcale nie znał, na ustroniu pomieścił, gdzie się rozmową o małżeństwie i t. d. bawili, w czem gospodarz pomagał. Pobiedziński posłał był już po żonę i córkę, nie wiedzące jeszcze o niczem ofiary jego krewkości; goście się zjeżdżali; wreszcie wywiódł Orzechowski Krowickiego i wikarego przed zebranych. Tu zaszedł nowy dziwny traf—Orzechowski, jakby kusząc Opatrzność, a naśladując równocześnie, choć o tem może nie wiedział, dawny obrzęd weselny, wybierał z grona panien dwie najładniejsze (jedna była Magda Pobiedzińska, lecz Krowicki jej dotąd nigdy nie widział) i postawił obie przed niego: „Rzeknij, Marcinie, którą chcesz i którą ci Pan przygotował"? Ten bez wahania wziął Magdę i zawołał: „Oto kość z kości moich i ciało z ciała mego!“ Zdumieli się obecni, jakby na cud jaki patrzyli; na to Orzechowski: „Kiedyż od Boga rzeczy te idą i twój domysł ciebie nie zawiódł, otóż oddaję ci dziewicę, a ty, księże (do wikarego mówiąc), przystąp do twego urzędu". Zdziwił się i wikary, patrząc na takie obcesowe swaty, możliwe tylko przy ówczesnej samowoli rodzicielskiej, nie znającej żadnych granic; ledwie spytał o imię i wiarę i dokończył obrzędu; niezwykły tryb wszystkiego poruszał widzów do łez, najwięcej zaś pannę, którą ni stąd ni zowąd za księdza za mąż wypchnięto. Po ślubie przy sutem śniadaniu nastąpiły winszowania, i dopiero teraz dowiedział się wikary, komu właściwie ślub dał, lecz z przerażenia ochłonął przy licznych kieliszkach wina i przy boku grzecznej, a wesołej panienki tak się rozochocił, że i Krowickiemu zazdrościł i Orzechowskiego prosił, by mu żonę naraił; byłby i jego też ksiądz Stanisław natychmiast wyswatał, gdyby tylko która z obecnych wyjść za niego zechciała.

Tymczasem doszła wieść o niesłychanej rzeczy Przeworska i księdza proboszcza — ten z gniewu i rozpaczy i wieszać, i zarzynać się chciał, ledwie go bracia i czeladź ustrzegli; lecz z wielkiej altercacyi przez kilka dni nic do ust wziąć nie mógł. W Żurowicach za to bawiono się w niedzielę wybornie; po wieczerzy, w nocy, oddawał Orzechowski od ojca w wykwintnej przemowie pannę młodą; w poniedziałek ruszył orszak weselny do Przeworska, i w farze żacy

Te Deum laudamus śpiewać musieli na znak zwycięstwa nad dyabłem, nad Sodomą i Gomorą celibatu, nad proboszczem. Rozżalony nowym despektem proboszcz odgrażał się Orzechowskiemu, lecz ten kazał go przez gości przestrzedz, by nie dopytywał biedy. Po *Te deum* wrócono do Żurowic, bawiono się ochoczo przy tańcach, nakoniec rozjechali się goście; we wtorek rano wyjechał i Krowicki z żoną do Liska.

Krok księdza Marcina wywołał wielki hałas, „że się tu wszystek Kraków strząsnął z pany, by Jeruzalem z Herody, gdy się Chrystus urodził", pisał Przyłuski; kilku plebanów oświadczyło Orzechowskiemu, że po Bożem Narodzeniu zrobią to samo—lecz zostało przy słowach. Najwięcej oburzał się gorliwy katolik, Kmita; winił Przyłuskiego, że to dzieło jego ręki i głowy; gniewało go i to jeszcze—mówił—ten łotr w mój dom (do Liska) wjachał. Biskup Dziaduski wezwał Krowickiego niezwłocznie przed sąd; ten wyruszył też do Brzozowa „położyć gardło", ale go pan Stadnicki w Dubiecku wrócił i żadnym obyczajem nie dopuścił jechać. W Brzozowie zasądzono go zaocznie, jako heretyka, i skazano na odebranie wszystkiego, a apelacyi do przyszłego synodu prowincyonalnego w Łowiczu ani przyjąć nie chciano, choć się o to teść, Pobiedziński, ostro wstawiał; wszyscy inni, którym chleb duchowny smakował, co to „się na zamcech zaleźeli", opuścili Krowickiego; Przyłuski pocieszał cytatami z pisma św., doradzał, aby się tylko nie dał biskupowi pojmać, że znajdzie indziej, na Szląsku lub w Prusiech, miejsce, „nie tylkoć świata co go w okienku widzisz".

Niebawem opuścił go i ten, co go jak z bicza wyswatał, Orzechowski. Po Wielkiejnocy 1551 r. przeniósł się Krowicki z gościnnego Dubiecka do Pińczowa, na wezwanie najżarliwszego protestanta, pana Mikołaja Oleśnickiego; tu z Aleksandrem Witrelinem zajęli miejsca, jakie obcy przybysz Stankar, organizator całego ruchu, i ministrowie Sylwiusz i Krucygier, dla wyraźnych rozkazów króla rzucić musieli. Z Pińczowa agitował pismami Krowicki, podbechtujący Oleśnickiego; napisał naturalnie i do Orzechowskiego, wzywał go, aby porzucił Babilon i bałwochwalnię rzymską, aby zawrzał nienawiścią przeciw papiestwu, wychwalał się, że teraz dopiero, odrzuciwszy wymysły rzymskie, odprawia chrzest, wieczerzę świętą, pogrzeb po chrześcijańsku, że gotów dla swej wiary zostać męczennikiem. W najostrzejszych zwrotach skarcił go zato Orzechowski i odpisał podobnie i patronowi jego, Oleśnickiemu, choć przyznawał, że „Krowicki był mi dobrym przyjacielem, wiele on dla mnie, niemało ja dla niego czynił; ale, gdy się on targnął na matkę moję, na cerkiew świętą krześciańską, gdy jej bałwochwal-

stwo zadał, niech mi odpuści, jeśli ja, zapomniawszy przyjaźni jego, poczciwości matki swej przeciw jemu bronić będę". Odtąd obaj nie zeszli się już; tylko raz jeszcze, w Apologii (K. 277), powołał się Krowicki „na szlachetnego i uczonego męża i księgi jego" o nieczystości nieżeństwa, który jednak teraz do Antykrysta apostatował, a niegdyś tak w liście do p. Ossolińskiego (zamiast Oleśnickiego) pisał i t. d.

Sposobność do męczeństwa miała się nieco później rzeczywiście nadarzyć. Oleśnicki wypędził był z Pińczowa mnichów; w klasztorze pozostał tylko jeden i ów Witrelin, na zamku mieszkał Krowicki. Po innych nieudałych zamachach na Pińczów podmówił nowy biskup krakowski, Zebrzydowski, niegdyś sam nowinkarz, teraz tem zacieklejszy „Rzymianin", owego mnicha, by wydał mu Krowickiego. W nieobecności Oleśnickiego zaprosił mnich obu ministrów; gdy ich ugaszczał, wpadli słudzy biskupi, związali Krowickiego, rzucili na spód drabiniastego wozu, pokryli słomą, siedli nań i pognali z Pińczowa. Po kamieniach i konarach tłuczony ledwie już dyszał Krowicki, gdy uciekających dopędził w lesie sędzia sandomierski, Balcer Łukowski, z własnym sługą i z drugim pińczowskim, goniącym za śladem; okrzykiem tak przestraszyli napastników, że ci, choć liczniejsi, rzucili wóz i zdobycz i uszli. I późniejszy zamach Zebrzydowskiego, gdy Krowicki w Krakowie u Lasockiego kazania miewał, również się nie udał. Nienawiść Zebrzydowskiego zrozumiemy, gdy rozważymy teraz rolę, jaką Krowicki w ówczesnej literaturze polemicznej odegrał. „I któżby był rzekł kiedy — pisał wydawca jednego z pism jego r. 1561 — przed dwiemadziesty lat aby Krowicki, człowiek nikczemny, napiwszy się juchy dworskiej, zatkawszy sobie gębę chlebem i obroki Baalowymi, mając kilkaset złotych intraty z duchownych dochodów, będąc bałwochwalcą, żywąc swawolnie, bawiąc się rejestry i inwentarzmi, nioczym nie myśląc, jedno o Mamonie, a jakoby było przyczynić czyńszów, pożytków i dochodów Panu swemu, któremu na on czas służył (skąd też i sobie ustawicznie ręce smarował) z niemałem a wszakoż z doczesnym pożytkiem swoim—żeby ten miał był kiedy zostać woźnym Bożym, opowiadaczem prawdy jego a szafarzem szczerości ewanieliej św? Czego iż snadź niektórzy z onego jego dawnego towarzystwa dojść nie mogąc ani chcąc, a przy partece chleba doczesnego leżąc y onymi swymi obroki, którym przywykli, brzuchy swe tucząc, lżą, hańbią, sromocą poczciwy stan jego, oszpecając, pluskając, mażąc a zacierając możność miłego Boga w osobie jego i bez wszego wstydu toż wszytko o nim powiadać śmieją i potwierdzają, jakoby on

jeszcze niepowściągliwiej, swowolniej a wszeteczniej, niż przedtym, żyć miał... owa przez wszej winności jego, iż sami śmierdzą, więcby go też i drugim radzi osmrodzili. Aleć tego nie dopuści Pan Bóg, gdyż On już sam mocnie się oń zastawiać raczy... że i ci, którzy się na samę jego osobę utargnąć śmieli... sami uciekali, choć ich nikt nie gonił, o czym mamy książki polskim językiem przez tego to samego M. Krowickiego napisane" [1]).

Pisma Krowickiego, skrojone wedle jednej modły, jaką już w liście do Kmity, usprawiedliwiając małżeństwo swe, wyraził; on porównywa zawsze i przeciwstawia wszędzie naukę boską, Chrystusa, naszą, a naukę księżą, papieską, antychrystową. Jak Luter w sławnym liście *An den christlichen Adel deutscher Nation von des christlichen Standes Besserung*, zwraca Krowicki w pierwszem pisemku chrześcijańskie a żałobliwe napominanie do Najj. Kr. M. i do wszystkich panów, wielkich, małych, bogatych i ubogich, na sejmiech bywających, aby Pana Jezu Chrystusa przyjęli i ewanielią świętą, odrzuciwszy błędy i bałwofalstwa Antychrystowe i sług jego [2]).

Wzywa, by pamiętali o duszy, by uroszczeń księży nie dopuszczali, by o wiarę nie prześladowali — przecież cierpią żydów; zastrzega się przeciw zarzutom spiskowania i schadzek tajnych; żąda, żeby księża nie skarżyli i nie sądzili w jednej osobie wedle praw, jakie dla siebie ukuli. Opisuje „fundament Papieża rzymskiego Sodomy i mszy obłudnej jego", przeciwstawiając nauce „księży, panów tego świata" zbawienną naukę „nas, ubogich żebraków". Zwroty wcale wymownego pisemka bardzo drastyczne; np., opisując mszę rzymską, jaką księża za grosz odprawiają, wyścigając się do tych kościołów, kędy wiele mszej za pieniądze bywa, dodaje: na ostatek nagrawszy się u ołtarza dowolej z chlebem i z winem, jako kot z myszą, wszystko sam zje i wypije (żart na ten temat i w Zwierzyńcu Reja).. obraca się do murów albo do wróblów i mówi, jakoby na śmiech, chocia niebędzie żadnego, *Dominus vobiscum*... obacz że, dla cię pana Boga proszę, żeć tu nie mówi (Chrystus, ciało moje) też po ulicach z piszczkami i z bębnicami noście, w wieńce i w rąbki ubierajcie, chróstem i trawą go czcijcie, w klatkach albo w słupiech, jako czyża, chowaj-

---

[1]) Książka ta naszych czasów nie doszła: czy to nie ów „libellus de cruce spirituali, quam primus tunc tulerit", jaki Lubieniecki (str. 30) za Otwinowskim wymienia?

[2]) Drukowano w Maydeburku przez Michała Lotthera l. 1554, 32 kart małej okt.; Lotter czcionek polskich osobnych nie miał, drukuje więc *e*, *a* zamiast *ę*, *ą* i td.

cie (w czem zresztą Krowicki Katechizm Seklucyana naśladuje). Przytaczamy jeszcze ustęp o znanej tragedyi krakowskiej: Niechaj mię tu żadny nieposądza i niemówi, iż to z waśni piszesz. Wspomnij na to, proszę cię, sobie, co się stało niedawno w Krakowie, jako ksiądz niektóry dla nierządnej niewiasty zabił kielka studentów i wszytko Collegium rozegnał. I jako zasię drugiego księdza marnie zabito na ulicy, gdy szedł do pani Kaśki w nocy i t. d.

Ostre pismo wywołało ostrzejszą odpowiedź: w imieniu duchowieństwa wystąpił biskup Zebrzydowski przeciw apostazie z krótką odpowiedzią (r. 1556); zarzucał mu błędy, fałsze i potwarze, bronił rzymskiej wiary. Odpisał Krowicki obszernem dziełem (Apologia więtsza t. j.). Obroną nauki prawdziwej i wiary starodawnej chrześcijańskiej, pisaną r. 1558 i 1559, niebawem (1560) drukowaną, wydaną ponownie r. 1584 i 1604, gdy palona przez katolików książka wielką rzadkością się stawała, przetłómaczoną na język niemiecki w Wilnie r. 1602 [1]).

---

[1]) Apologia, d. i. Verantwortung und Vertheidigung der wahrhaftigen Lehre und des uralten christlichen Glaubens i t. d.. 302 kart in 4º. Tłómacz, Cyriacus Moller, Leutschovius, poświęcając dzieło burgrabiemu, burmistrzowi i rajcom miasta Rygi, uniewinnia się, że mowa jego nie tak ozdobna, jak polszczyzna oryginału, że śpieszył się z tłómaczeniem, o które go znajomi prosili, że wybrał książkę nie dla nowości a niezwykłości, lecz dla jej pożytku i potrzeby. Egzemplarze tłómaczenia widzieliśmy w zbiorze Uphagena gdańskim i Wallenroda królewieckim; polskie wydanie z r. 1584 częste po bibliotekach, zato pierwszego znamy tylko jeden egzemplarz (w bibliotece Jagiellońskiej). Wedle udzielonych nam łaskawie notat (p. Adalberga), drukowana „Obrona" i t. d. w Pińczowie w drukarni Danielowey r. 1560, przypisana gorliwemu kalwinowi, Janowi Bonarowi z Balic kasztelanowi bieckiemu, w. rządcy krakowskiemu, staroście spiskiemu i rabstyńkiemu; zaczyna je dłuższy wiersz na Lilie Bonerowe jakiegoś „I. L. P." (?):

Nie bez przyczyny zdawna ten herb ludziom dano,
W których cnoty osobne na wszem uznawano i t. d.
Baczem wiele tych Lilij iż sie wkorzeniły
W Krystusa Pana swego, a w nim sie skrzewiły,
Wszędy z swych kwiatków wdzięczną wonność podawają.
Bo sie o chwałę Bożą mocnie zastawiają i t.d. i t.d.
Ej! nuż i wy z tych lilij bierzcie przykład, róże,
A rozczerstwiajcie sie też dziś przez słowo Boże i t. d.

Po całej karcie takich wierszów następuje list Krowickiego do Bonera, list „ubogiego sługi Bożego", piszącego nie, aby biskupowi Jędrzejowi „miał oddać złość za złość, sromocenie za sromocenie, złorzeczenie za złorzeczenie, bo tego Pan Bóg zakazał", ale, aby strzegł czci i chwały Pana zastępów i t. d. Po 8 kartach listu „przedmowa do wszelkiego brata chrześciańskiego" i t. d. W wydaniu z r. 1584 wiersze i list do Bonera zastąpiono wierszami i listem do Jana Hlebowicza, kasztelana mińskiego, podsk. lit.

Na 260 kartach (288 w wydaniu r. 1584) rozprawia Krowicki w trzech częściach o pokorze Chrystusowej i papieskiej (jak się papież nosi i t. d.), o nauce Chrystusowej i papieskiej (K. 44—278) i o krzyżu Chrystusowym i papieskim, przytaczając obszerne ustępy z odpowiedzi Zebrzydowskiego i nicując je niemiłosiernie, wykazując ciągłą sprzeczność między słowami biskupiemi a praktyką rzymską, dzieło ciekawe i dziś jeszcze nie dla polemiki o obrazy, ceremonie i t. d., lecz dla silnego i wymownego języka i dla szczegółów obyczajowych, malujących czasy i ludzi ze strony, o jakiej dziejopisarze i archiwa milczą. Ton całości nadzwyczaj ostry; wydawca r. 1584 uniewinnia go, że „takiego tej pokrzywie (rzymskiej) potrzeba przymrozku tęgiego"; nie możemy się też dziwić „przyrodzie ogniowej", na jaką się narażała, szczególniej w r. 1581 w Wilnie, gdy książki protestanckie palono. Nie myślimy powtarzać wycieczek Krowickiego, uszczypliwej gry słów (np. hańbami chciałem rzec albami, konewnije rzeknę kanonije, za nim wydawca r. 1584: *bagend* chciałem rzec *agend*), lecz wybieramy kilka zapomnianych ustępów, ciekawych dla folkloru i demonologii, dla nauki o przesądach, praktykach i opętanych. I tak czytamy np. na k. 89: A iż prości ludkowie nie rozumieją waszym zabobonom i tym wymysłom dyabelskim, przeto też ty ognie (święcone w wielkanocną sobotę) i głównie na czary obracają: jedni za strzechę dla gromu wtykają, drudzy dla gradu miedzy zboże głownie zanoszą, drudzy sobie dla bolenia głowy ożegają.

k. 74: toż dopierko sami naprzód czerpacie (poświęconej wody świątecznej i wielkanocnej), a potym drugim ludziom rozdawacie, I jakie tam bywa ciśnienie ludzi do tej wody czarowanej, aby każdy co naprzód uchwycił i w domu dla czarowania w kącie postawił, nie trzeba o tym pisać, bo to każdy na oko widzi.

k. 121: ale rzeczesz, izali dyabli nie bywają przez nasze zaklinacze wyrzucani? jako to jawnie baczemy w Częstochowey, w Jarosławiu, na Skałce i na Zamku w Krakowie, w Sierpcu, w Rzymie, w Loretum, w Prostyniey i na inszych miejscach? Temu wszytkiemu nie wierzę. Abowiem tam nie bywa prawdziwe wyrzucenie dyabłów, iedno tylko ludzkie zmamienie, gdzie się duch nieczysty odmienia w postawę anioła światłości (2 Kor. 11), albo się zatai, aby ich mógł co nawięcej zwieść, a łatwie on to uczyni w jednym, aby ich tysiąc mógł zwieść i opętać, jako to pospolicie słychamy, kiedy waszy zaklinacze mówią: Wynidź, Dyable, Bożą mocą, panny Maryey mocą i wszytkich świętych mocą. A Dyabeł zasię mówi, naśmiewając się, toć mię Szeroka piecze. I zasię, kiedy kropicie

wodą czarowaną, tedy Dyabeł, aby ich zwiódł co najwięcej woła: O biadasz mnie. To mię parzysz, pleszowaczu (księże, dla tonzury). Jużci wynidę, bo się boję Szerokiej. A Boże uchowaj włożyć na opętanego jaki płatek łaziebny miasto świątości, to dopiero krzyk będzie wielki. A cóż tu tedy Dyabeł innego czyni, jedno się z was śmieje i szydzi wami, a wrzekomo jakoby wyszedł, utai się, abyście jemu cześć i chwałę dawali i weń wierzyli...[1])

k. 114: świadczy też to obraz częstochowski, do którego się obiecujecie, i z kilkadziesiąt mil każdego roku biegacie, głowy, ręce, nogi, dzieci śrebrne i woskowe, które przed nim stawiacie, paciorki i facelety oń ocieracie [2]).

k. 101: nie wspominam tu, jako pątniki i ich kije i mantyki czarujecie, gdy je do bałwanów odsyłacie; jako owce żegnacie i czarujecie, kiedy zdychają i onę sól, którą im podawacie, także nowe zboża i siemiona, chleby, domy, studnie, łaźnie, role, miecze, pierścienie, wieńce, suknie, stadło, sześciniedziałki, wdowy i ich rąbki, ciasnochy i koszulki (o tem „czarowaniu" jajec, szołdr, kołaczów, sera, bagna i t. d. często mowa)... jako pogani albo żydowie, którzy przypisują moc osobliwą słowu Tetragrammaton i Abrakadabra, jakoby te słowa, wymówione i na karcie napisane, miały odganiać, albo zawieszone na szyi, febry, ognie, powietrze, grady, miecze i inne niebezpieczności i szkody rozmaite. Byście byli mogli jeszcze i wiatr ugonić, i o ten byście się byli pokusili i święcili.

Nadmieniamy, że Stanisław Niniński, wydając powtóre Apologię 1584 r., nie zadowolił się przedmową o tem, dlaczego rzadką książkę wydaje, i tekstem oryginału, lecz rozszerzył go na kilku miejscach, począwszy od tytułu, wycieczkami przeciw nowym mni-

---

[1]) Porównać można z tym ustępem słowa Postępku prawa czartowskiego z r. 1570: „mniszy w Częstochowej próżne prace podejmują około ludzi wartogłownych, bo przy owych żadnego Opsesa (czarta) nie będzie, jedno mania, t. j. niedostatek zdrowia w głowie. Wiele bywa takich zwłaszcza między kmiecym narodem, którzy odstępują od pamięci; z takim każdym oni mkną do Częstochowej. Mniszy tego przyglądają dla swego pożytku; dosyć też tego najdzie między babami, co się czynią takimi, aby im dawano, których ja takich wiele widział. Niektóre z księdzem miały porozumienie, aby ludźmi szaliły, bo ich o to nie karzą".

[1]) Z obrazem Częstochowskim wojowali protestanci gorliwie, choć bezskutecznie; walkę rozpoczął St. Lutomirski w swej Confessio r. 1556 („Częstochowska teże deska piekielne drzwi zbudowala w Polsce i t. d."), a książkę tę czytał pilnie i przyswajał sobie jej zwroty Krowicki, powtarzał z niej „strugałki" i obrazy, święcenie „szołdr i obartuchów" i t. p.

chom, czarnym Jezuitom; cytatami z dzieł wydanych później, z Postyli Grzegorza z Żarnowca, z pism „uczonego męża Andrzeja Wolana” i in. [1]); różnymi wreszcie szczegółami, np. twierdził Krowicki, że w Krakowie nie ma żadnych kościołów Bóg, tylko sami święci „jedno jeden przed Krakowem, Salwatorów, i to pusty”, dodaje Niniński: „toż i tu w Wilnie, Stanisława świętego na zamku kościół między bogatymi prałaty i kanonikami a Trójce św. kościół w szpitalu miedzy żebrakami, a Spasa u Rusi kościółek za Przeczystą w kącie, w gnoju, także w szpitalu drewniany i nizki, uczcili go pięknie”. Najciekawszy dodatek tyczy wizyi rzekomej z roku 1577, jakiej się katolicy w wybuchłej o to polemice, gdzie i ks. M. Białobrzeski brał udział, wypierali; ponieważ rzecz mało znana (pisma polemiczne zaginęły), powtarzamy tu słowa Nińińskiego (k. 206):

(Czyściec się) nierychło z baśni i snów mnichów próżnujących wzniecił na wyczyścienie majętności, miast, zamków i tłustych folwarków, bo na czyśćcu to wszystko zbudowano, który jest hojną kuchnią księżej rzymskiej; ten gdyby im zgasł, zgasłyby też ich prebendy; przeto nie idzieć im o dusze, ale więcej o brzuchy, które stamtąd tuczą i roztykają... „o którym dusz czyścieniu mają papieżnicy nowej prorokiniej swojej Anny z Krakowa wielebne świadectwo.

Czego ona, tam wrzekomo będąc, skosztowała, iż tam woda barzo smrodliwa, przeto tam nie czyścią dusz, ale tym więcej szpecą, mażą i plugawią, lecz kto tej mataniny chce doświadczyć, niechaj czyta zeznanie tej święcice przed księżą krakowską, mistrzami tej tragedyej, obaczy wierutny fałsz, czym się i sami baczni papieżnicy brzydzą i przeciwko temu piszą. Lecz tym kuchmistrzom do tego ognia gasnącego trzebaby drew suższych, boć to są rzeczy sobie przeciwne, ogień czyściący, a woda w nim smrodliwa. Dziwna zgoda—z ogniem woda: ale im to niechaj będzie na pośnik”.

Pierwszą część obrony zakończył Krowicki twierdzeniem, „iż Papież jest prawdziwy Antykryst”; rzeczy tej poświęcił i osobne pisemko. Przepowiednie Apokalipsy św. Jana, zwrócone przeciw Rzymowi pogańskiemu, prześladującemu wiernych, odnaszano rychło do Rzymu papieskiego, niby fałszującego wiarę, prześladujące-

[1]) Przytacza Niniński i dzieła, dziś nieznane zupełnie, np. na k. 189: książki o Melchisedeku, przez M. J. wydane i teraz nie dawno w Wilnie drukowane; Pantheon książki, t. j. wypisanie wszytkich bogów rzymskich (niedawno wydane i w Wilnie drukowane, przeciw czci świętych, zdaje się); dzieło Herbesta o znaczeniu obrzędów przy chrzcie św. (1568 r.) cytuje pod tytułem „Przewodnik“.

go wiernych, bezbożnego; z Apokalipsą splatano rzecz o Antykryście, zjawiającym się na końcu dni, jako burzyciel państwa Chrystusowego, i wcielano go również, gdyż w nadchodzący niebawem koniec wysilonego w nieprawościach świata powszechnie wierzono, w papieża i porządki rzymskie. Jak inni sekciarze, przyjęli to i Husyci; przypisywano nawet Husowi traktat, Anatomia Antichristi, wydawany później wraz z dziełami jego; i Luter chwycił się tej nauki, a od roku 1546 stała się ona dogmatem wiary u protestantów i przetrwała, haniebny pomnik ślepej nienawiści wyznaniowej stulecia. Otóż i nasz Krowicki, wedle zwykłego trybu swego, wyłożył żywot i naukę Antykrystową w przeciwstawieniu do żywota i nauki Chrystusowej w króciutkim traktaciku, a nieznany nam z nazwiska wydawca (jakiś Pińczowianin?) dodał wedle Anatomii (Husa), ale w znacznem skróceniu, szczegółowy cały opis „obrazu i wszystkich członków tej sprośnice a merchy Babilońskiej" (od K. D. 3 do końca, N 4), gdzie cytatami ze Starego Testamentu objaśniono, czem są uszy, oczy, czoło, szyja i t. d. Antychrysta. Tak powstało dziełko p. t. Obras a Kontrefet własny Antykrystów s pisma św. dostatecznie wymalowany i wystrychniony przez sługę słowa Pana Chrystusowego Marcina Krowickiego... dnia 20 maja 1561 r. Przytym Żywot Marcina Krowickiego Polskim wierszem napisany ku końcowi. Niestety, wiersza tego (byłaby to pierwsza autobiografia polska i rymowana), w jedynym znanym egzemplarzu dziełka (Kórnickim), wcale nie ma. Są za to wiersze Krowickiego we wstępie, ku czytelnikowi:

Ta trocha kart i papieru,
Acz snadź nie będzie mieć miru
Od niektórych, jako tuszę,
Gdyż ich tu już w sadno ruszę....
A tak, choć pewnichmy tego,
Od Antykrysta rzymskiego,
Tudzież i od ordy jego,
Iż nas potka co takiego....
Przetoż, bracie chrześcijański,
Widząc ten orszak szatański,
Uchodź, gdzie możesz od niego...
Abyś nie wpadł w ręce Boskie,
Boć są sroższe, niż ty włoskie,
Którymi nas z Rzyma straszą,
By dzieci gorącą kaszą...
Ostydnieć łacno ta kasza,
A pewnieć wygrana nasza!

Słowo „Papa" tłómaczą tu: Pan ale (łakomstwa), pewny Antykryst, polskie słowo p a p a pospolicie też dziatki u nas, skoro mówić poczynają, wołają, jakoby rzekli: jeść, gdyż papież rzymski tak jest człowiek nienasycony, tak łakomy, żeby wszytko rad pożarł a pochłonął... papa, zjada i pożyra dusze ludzkie". O przyjściu Antykrysta twierdził lud:

Plotą niewiem jakie plotki,
Kiedy im drą we łbie kotki...
Boć nie przyjdzie z p i e c e m iny,
O którym dziwne nowiny
Księża naszy powiadali --

w tekście czytamy też: „żeby Antykryst miał p r z y j ś ć z ż e l a z n y m p i e c e m a l b o z s k r z y n i ą p i e n i ę d z y, tak jako więc popi, mniszy i baby pletli a bajali, mówiąc iżby się w Babiloniej narodzić miał" i t. d.

Pisemkiem tem wyczerpał już jednak Krowicki zasoby literackie — odtąd już nic nie ogłosił, byłby się musiał chyba powtarzać, gdyby same ustawy i ceremonie rzymskie ciągle miał zwalczać. Do innych zaś zadań, jakie teraz występowały, do zwalczania dogmatów, rzymskich zarówno, jak protestanckich, o Trójcy św., o przedwieczności Chrystusa i innych Krowicki nie czuł czy sił, czy ochoty: ostrożne, wszechstronne badanie pisma św., przytaczanego dla dowodzenia czy zwalczania dogmatów, nie odpowiadało może gorącemu, zbyt popędliwemu umysłowi, i tak wycofuje się Krowicki zupełnie z szeregu szermierzy piórem, zadawalając się przepowiadaniem nowej ewangelii słowem i czynem; odstręczało go może i to, że wypadłoby mu teraz zwalczać tych, do których poprzedniemi pismami swemi sam należał.

Wraz z większością małopolskich ministrów, z owym pińczowskim towarzyszem, Aleksandrem Witrelinem, i innymi, nie pozostał bowiem Krowicki lutrem, ani kalwinem, lecz przeszedł do „aryaństwa". Dalszych szczegółów jego życia, „powłaczania się" po ministeryach i wędrówek po synodach wyliczać nie myślimy; szlachcic-kolator narzucał go, jako ministra, kościołowi np. we Włodzisławiu, gdy gmina jeszcze ani jednego nowowiernika nie liczyła -- i musiał ksiądz Krowicki, by nienawykłych nowościom parafian na zawsze nie odstręczyć, pół roku jeszcze i obrazy w kościele cierpieć i w komży kazać, choć potem jedno i drugie usunął; później był ministrem w Książu. W powszechnym *exodus* małopolskich aryanizujących ministrów bierze i on udział; już w r. 1562 widzimy go su-

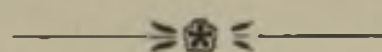
perintendentem lubelskim, a w następnym roku podlaskim, gdzie w Węgrowie i Mordach rezyduje, aż, złożywszy urząd, z innymi „Aryanami" w Lubelskie powraca; tu, w Piaskach r. 1573, występując przeciw skrajnościom Rakowskim, życia dokończył. Już w Mordach nazywał przed Solikowskim chrzest niemowląt kąpielą świńską (bo wracają do kału grzechowego, podczas gdy „święte ponurzenie“ na drogę zbawienną wprowadza). Wychwala go bardzo Erazm Otwinowski w wierszach o Bohaterach chrześcijańskich: miał, według niego, powtarzać często słowa Pawła św.: biada mi, jeśli nie będę przepowiadał ewangelii; był hojnym dla ubogich; nieraz mimo próśb żony i koszulę z siebie dla nich zwlekał; mąż przykładnego życia i gorącego serca wielu w nowej wierze utwierdzał. Wilkowski wymienia go również między ozdobami pierwszego zboru aryańskiego: oni Krowiccy, Kalinowscy, Kościeńscy, po których zejściu zbór osierociał.

Aleksander Brueckner.



Pamiętniki Bismarcka.

(Gedanken und Erinnerungen von Otto Fürst von Bismarck, Stuttgart 1898).



W drugim tomie pamiętników rozstał się Bismarck z epoką, której zarzucał *„zu viel Bildung"* a rozpoczął rozpamiętywać dobę, w której *„Blut und Eisen"* spoiły i wzniosły olbrzymi gmach państwa niemieckiego [1]). Już w końcu 1863 r. Bismarck był przekonany, że inicyatywa i należyte skrzepienie pruskiej polityki nie wypłynie ani z izb, ani z prasy; właściwe źródło ożywcze spoczywać będzie w wojsku i w potędze państwowej, która zdobędzie się na najlepszą odpowiedź na wszelkie doktrynerskie pretensye Augustenburgów. W sprawie duńskiej zajął też Bismarck wyraźną i stanowczą pozycyę. Jego zdaniem, które otwarcie na radzie ministeryalnej wypowiedział, należało księstwo Szlezwig-Holsztyńskie zaraz po śmierci Fryderyka VII przyłączyć do Prus. Prócz tego przypominał królowi, że każdy z jego bliższych przodków, nie wyłączając brata, przyczynił się do powiększenia państwa; Fryderyk Wilhelm IV przyłączył do Prus księstwa Hohenzollern i okręg Jahde, Fryderyk Wilhelm III prowincye nadreńskie, Fryderyk Wilhelm II

[1]) Const. Frantz. „Das neue Deutschland str. 287: „so werden auch an dem Gedächtniss des Grafen Bismarck immer die Worte von Blut und Eisen und zu viel Bildung haften" i t. d.

prowincye polskie, Fryderyk II Szląsk, Fryderyk Wilhelm I część przodową Pomorza, a wielki Kurfürst Zapomorze z Magdeburgiem i Minden. Dobrzeby więc było, aby i obecny monarcha naśladował przykład swych poprzedników, i Bismarck nie zaniedbał mu przedstawiać konieczności politycznej takiego czynnego i stanowczego postąpienia.

W protokułach posiedzeń ministeryalnych dostrzegł Bismarck, że najsilniejsze jego wyrażenia opuszczono. Radca tajny, Costenoble, który prowadził pióro, objaśnił, że królowi zdawało się, że samemu Bismarckowi będzie przyjemniej, jeśli niektóre jego wyrażenia opuszczonemi zostaną. J. K. M. przypuszczał, że owe kategoryczne plany powstały pod wpływem i natchnieniem Bakchusa, lepiej więc, że ich wyraźniejszy ślad nieco zatartym zostanie. Bismarck upomniał się stanowczo o zamieszczenie wszystkich powypuszczanych wyrażeń, a następca tronu, który przy tem był obecny, wzniósł ręce ku niebu, jakby je wzywał na świadka, że w umyśle Bismarcka coś się psuć zaczęło. Koledzy zaś uporczywie milczeli, dając do zrozumienia, że niedalecy są od przeczuć następcy tronu, a Bismarcka ta lodowata i zniechęcająca atmosfera nie zdołała wywieść na manowce. Celem jego głównym od początku do końca pozostała anneksya księstw, i, przewidując wszelkie możliwe trudności i przeszkody, pracował wytrwale, aby powiększenie Prus wprowadzić w czyn i życie, co, jak wiadomo, znakomicie mu się udało.

W r. 1866, kiedy już oręż rozstrzygnął zatarg międzynarodowy na stronę Prus, Bismarckowi przypadło ciężkie zadanie wyjednania pokoju, który stronnictwo wojskowe pruskie uważało dla siebie za sromotę dla armii, hańbę dla całego państwa. Bismarck w Nikolsburgu zapytał Moltkego, co zamierza uczynić na wypadek francuskiej zbrojnej interwencyi, i otrzymał odpowiedź, że w takim wypadku przyjętą będzie względem Austryi postawa obrony w granicach Elby, a przeciwko Francyi zostanie prowadzoną główna wojna. Powyższe zdanie, powiada Bismarck, skłoniło mnie do doradzenia monarsze zawarcia pokoju z Austryą na podstawie zachowania integralności terrytoryalnej tego państwa. Bismarck bowiem rozumował daleko subtelniej i obrachowywał polityczniej następstwa nagłej interwencyi francuskiej. Podług jego przewidywań, w powyższym wypadku Prusy byłyby zniewolone zawrzeć z Austryą pokój pod warunkami, daleko więcej umiarkowanymi, i wyszukać sobie sprzymierzeńca, ażeby w przyjaznych i korzystnych okolicznościach módz zaczepić Francyę. Druga ewentualność przedstawiała się także inaczej, jak Moltke sobie wyobrażał. Prusy bowiem, zalaw-

szy pośpiesznie swemi wojskami Austryę i wywołując niezadowolenie w Węgrzech, a nawet w Czechach, mogły zgnieść zupełnie swego przeciwnika, ale do czasu musiałyby jedynie odpornie i obronnie występować przeciwko Francyi. Bismarck przewidywał, że Francyi nie wiele sił zostanie do wojny zaczepnej, ale wierzył w szybkie jej skrzepienie się, gdy Prusy wciągnięte zostaną wewnątrz Francyi, a w takim razie Austrya z Niemcami południowymi na tyłach mogła się stać niebezpieczną. Francya zresztą, choćby poparła interwencyę tylko 60000 wojska, trafiała na wojska bawarskie i inne południowe niemieckie i wraz z niemi utworzyłaby armię 200000 pod jednolitem i energicznem dowództwem, której z Berlina nie przeciwstawionoby sił odpowiednich bez niebezpiecznego zaniedbania linii Elby. Wobec przypuszczalnego wmieszania się Napoleona, wątpliwej postawy Rossyi i szerzenia się cholery w wojsku pruskiem, nic dziwnego, powiada Bismarck, żeśmy się musieli ratować od klęski i korzystać ze wszelkich narodowych waśni, czy to w Niemczech, czy Węgrzech, czy wreszcie w Czechach.

Kłopoty Bismarcka tymczasem wzrastały szybko, zamiast się zmniejszać; stronnictwo wojenne pozyskało króla i chciało koniecznie wkroczyć zwycięsko do Wiednia. Do stanowczego upokorzenia Austryi potrzeba było przełamania linii fortyfikacyjnej pod Floridsdorf, na co potrzebne były ciężkie działa z Magdeburga, których sprowadzenie wymagało 14 dni czasu. Wojskowi obiecywali sobie zupełny sukces, opłacony najwyżej życiem 2000 ludzi, ale Bismarckowi wydawała się strata 14 dni najważniejszą i widział nieustannie zbliżającą się zmorę interwencyi francuskiej. Wreszcie dla polityki pruskiej wejście wojsk do Wiednia, nie miało żadnego znaczenia i było jedynie zaspokojeniem chełpliwości wojennej, a położenie ówczesne nakazywało wymagać od nieprzyjaciela, co było politycznie koniecznem, a nie tego, co było chwilowo możliwem.

W chwili, kiedy trzeba było sobie zdać sprawę z telegramu Napoleona III z d. 4 lipca i zdecydować się na zajęcie odpowiedniego stanowiska, król pruski naszkicował mniej więcej następujące warunki pokoju: reforma związku pod kierownictwem Prus, pozyskanie Szlezwig-Holsztynu, jednego okręgu Czech, austryackiego Szląska, wschodniej Fryzyi i oddanie rządów w Hanowerze, Kurhessyi, Meiningen i Nassau ich następcom tronu. Wkrótce potem król Wilhelm porobił jeszcze w powyższym szkicu zmiany, pragnąc przyłączyć do Prus części Saksonii, Hanoweru i Hessyi, a szczególniejszy nacisk kładąc na Ansbach i Beyreuth, które przyłączyć

chciał do swego domu. Tymczasem Karolyi nie zgadzał się na najmniejsze ustępstwa terrytoryalne, Moltke dawał coraz to więcej zagadkowe odpowiedzi na zapytanie, jakie szanse przedstawia wojna, a wojskowe stronnictwo nie chciało nic słyszeć o umiarkowaniu. Wszyscy generałowie pragnęli nowych i łatwych zwycięstw, król coraz bardziej ulegał ich wpływowi, a Bismarckowi wydawało się brzemię odpowiedzialności ministeryalnej coraz to cięższem. Stan jego nerwów był fatalnym, i żelazny książę ulegał atakom spazmatycznego płaczu, w przekonaniu, że chełpliwość i krótkowidztwo zmarnują dojrzały owoc zwycięskiej kampanii. Bismarck bowiem dyplomatycznie wyrozumiał od Benedettiego, że Francya w powiększeniu się Prus o jakie 4 miliony czyli w urządzeniu się najwygodniejszem w związku północnym nie widzi żadnego powodu do interwencyi. Austrya decyduje się również na wystąpienie ze związku północnego, główny cel zatem, to jest swoboda poruszania się i działania w Niemczech jest Prusom zapewniona, a wszystkie te korzyści mogły być przez zaborcze plany króla i wojskowych pogrzebionemi na zawsze. Z drugiej strony upokorzona i okaleczona Austrya musiałaby się stać nieprzejednanym wrogiem Prus, nawet jej antyrossyjskie interesa byłyby niewątpliwie porzuconymi i zaniedbanymi, aby tylko umożliwić odwet za upokorzenie i klęskę.

Zresztą była jeszcze inna kwestya, która Bismarckowi spokoju nie dawała. Na wypadek rozbioru Austryi zastanawiał się on nieustannie nad tem, jaka będzie przyszłość i przeznaczenie Habsburskich dzierżaw. Przenikliwość polityczna Bismarcka ukazywała mu wielką europejską próżnię, i na miejscu Austryi rozrastał się bujnie pierwiastek rewolucyjny. Pierwiastek ten groźny miałby grunt, podatny szczególniej na Węgrzech i w dzielnicach słowiańskich, w zysku zaś Prusom za szczepienie zarazku rewolucyjnego, nie przypadłoby nawet arcyksięstwo austryackie w udziale; Wiedeń bowiem nie zgodziłby się nigdy na odegrywanie podrzędnej roli wobec Berlina. Gdy Bismarck pozostawał w nieopisanem przygnębieniu i na myśl mu przychodziły rozpaczliwe postanowienia, wszedł niespodzianie do jego pokoju następca tronu i kładąc rękę na jego plecach, rzekł: wiesz pan dobrze o tem, iż byłem przeciwko wojnie, którą pan uważałeś za konieczną i za którą też pan odpowiedzialność ponosisz; jeżeli pan jesteś przekonanym, że cel już został osiągniętym i że obecnie należy pokój zawrzeć, to gotów jestem poprzeć pana wobec mego ojca i przedstawić mu twoje poglądy. Co rzekłszy, następca tronu poszedł do ojca i, wróciwszy w pół godziny, rzekł tym samym spokojnym i życzliwym głosem:

sprawa była trudną, ale ostatecznie ojciec się zgodził. Ustępstwo króla Wilhelma wyrażone było w kilku wierszach, skreślonych ołówkiem, które przeznaczone były przeważnie dla stronnictwa wojennego. Decyzya królewska brzmiała, jak następuje: gdy mnie mój prezydent ministrów opuścił wobec nieprzyjaciela, a nie jestem w możności zastąpienia go kim innym, rozważyłem całą sprawę z mym synem, a gdy i ten przechylił się na stronę poglądów prezydenta ministrów, z boleścią widzę się zmuszonym po tylu świetnych zwycięstwach ugryźć to kwaśne jabłko i zawrzeć haniebny pokój.

Napoleon III nie widział w związku północnym niemieckim żadnego niebezpieczeństwa dla Francyi. Dawne wspomnienia związku reńskiego krępowały zbytecznie trzeźwość politycznych jego przewidywań, i sądził uporczywie, że południowe Niemcy będą zawsze gotowe na jego skinienie stronić, a nawet bronić się od narodowego zjednoczenia. Bismarck nie wątpił nigdy o tem (tak nas przynajmniej zapewnia), że dzieło zjednoczenia Niemiec będzie mogło być urzeczywistnionem i zahartowanem w wojnie z Francyą, ale rozwaga i przenikliwość nakazywały mu tę wojnę odłożyć na później, aby do niej przygotować jaknajlepiej Prusy i przygotować dla nich najpomyślniejsze okoliczności polityczne. Przedewszystkiem Bismarck pożądał zwłoki dlatego, aby organizacya wojenna pruska mogła ogarnąć Hanower, Hessyę i Holsztyn oraz aby się mogło urobić w południowych Niemczech pewne poczucie potrzeby zjednoczenia. To były najważniejsze powody, po za którymi kryły się i drugie mniejszej wagi. Bismarck przyznaje się, że po korzyściach, jakie wojska francuskie odniosły w kampaniach: krymskiej i włoskiej, przeceniał niebezpieczeństwo wojny Prus z Francyą i wogóle organizacyę, porządek, a nawet liczbę armii francuskiej uważał za większą, aniżeli się ona okazała w r. 1870. W każdym razie armia francuska miała wówczas cichego sprzymierzeńca w żądzy odwetu, która mimowoli skrywała się w sercu Austryi i w pragnieniu Rossyi utrzymania równowagi politycznej, a tymczasem każdy rok uzyskanej zwłoki wzbogacał Prusy o 100,000, nawet więcej, wyćwiczonego i wybornego żołnierza. Ten ostatni wzgląd starczył za wszystkie inne i zdobywał Bismarckowi przekonania nawet najuporczywszych przeciwników.

Utworzenie szczęśliwe związku północno-niemieckiego zwróciło uwagę Bismarcka i na głosowanie powszechne. W rozdziałach, poświęconych tej instytucyi prawa państwowego europejskiego, Bismarck nietylko odsłonił ciekawe polityczne pobudki, które kiero-

wały pruskim prawodawcą, ale nadto ocenił krytycznie dwulicowość powyższej reformy i dowiódł, jak głęboko umie spoglądać w ustrój państwowy i jak subtelnie obliczać potrafi następstwa wszelkich międzynarodowych czy prawno-państwowych aktów. Przyjęcie głosowania powszechnego w Niemczech — powiada Bismarck — spowodowane było wojną. Użyte ono zostało, jako środek bojowy przeciwko Austryi w łonie niemieckiej jedności i wreszcie, jako ostateczna groźba przeciwko wszelkiej prawdopodobnej koalicyi. W walce na śmierć lub życie nie przebiera się zwykle w broni, ani nie zastanawia się nad wszelkiego rodzaju dobrami i zdobyczami cywilizacyjnemi, które idą na marne. Najwyższym doradcą w takim wypadku jest dobry skutek, a przedewszystkiem obrona niezależności państwowej nawewnątrz. Zlikwidowanie szkód i wygładzenie ich ostateczne przez odpowiednie reformy jest to zwykłe zadanie rządu po zawarciu pokoju. Zresztą Bismarck uważał i później głosowanie powszechne zarówno w teoryi, jak i w praktyce, za usprawiedliwione zasadniczo, jeżeli się tylko od niego odłączy wszelką dziwaczność, która pozostaje w zupełnem przeciwieństwie z niemieckim charakterem.

Wpływy i zależności, które praktyczne życie ludzkie z sobą przynosi, są od Boga pochodzącemi rzeczywistościami, których ignorować nie wolno. Jeżeli się ich w życiu publicznem nie uwzględni, wtedy między prawem państwowem a realnością ludzkiego żywota wytwarzają się przeciwieństwa i sprzeczności, które spowodowują nieustanne starcia społeczne, kończące się zazwyczaj niefortunnymi wybuchami. Rozwiązanie owych powikłań jest teoretycznie przypuszczalne na drodze socyalno-demokratycznych szaleństw, które znajdują oddźwięk w tej okoliczności, że wielkie rozruchy społeczne mają przenikliwość zbyt stępioną i są zazwyczaj zbyt mało rozwinięte, aby mogły nie wpaść w zasadzkę i sidła zręcznych retorów i ambitnych, a pożądliwych przywódzców. Jedyną przeciwwagę w społeczeństwie może stanowić wpływ wykształconych ludzi, który wzmocni się niewątpliwie przez to, że wybory będą jawnymi tak, jak to ma miejsce w sejmie pruskim. Większa rozwaga klas inteligentnych będzie zawsze uważała zachowanie własności za podstawowe. Niewątpliwie dążenie do nabycia własności jest zupełnie uzasadnione, ale zawsze dla bezpieczeństwa i rozwoju państwa jest pożyteczniejszą i ważniejszą przewagą tych, którzy uosabiają własność i takową już posiadają.

Organizm państwowy, którego rządy spoczywają w rękach pożądliwych, tych mężów, co są „*rerum novarum cupidi*", lub mówców

obłudnych, posiadających niezwykłą zręczność w okłamywaniu tłumów, skazanym będzie na wiekuisty niepokój w swoim rozwoju, który organizmowi państwowemu wyrządzi ostatecznie nieobliczone szkody. Ciężkie i wielkie masy społeczne, do jakich znaczne narody niewątpliwie w swem życiu i rozwoju należą, mogą się tylko poruszać z oględnością i rozwagą, albowiem tory, prowadzące do niepewnej i zagadkowej przyszłości, nie mają szyn wygładzonych. Wielkie upaństwowione społeczeństwo, pozbywając się oględnego i hamującego wpływu warstw posiadających i wykształconych, muszą wpaść w szalony wir zmian politycznych, jak to uczyniła wielka rewolucya francuska. Niewątpliwie owe pożądliwe pierwiastki powinny w wielkich masach społecznych pozyskać z czasem przewagę i uznanie, ale starać się należy o to, aby owo zdobycie uznania i wpływu nie sprowadziło onego wiru w rozwoju i nie rozbiło ostatecznie ustroju państwowego.

Jeżeli się powyższym objawom nie zapobiegnie, to przebieg historyczny zakończy się w owych państwach szybko dyktaturą, t. j. panowaniem przemocy. Masy bowiem społeczne zapragną wkrótce porządku i, aby go pozyskać, wyrzekną się nawet tych swobód, do których i z któremi zrosły się zupełnie. Bismarck uważałby to za poważne nieszczęście, gdyby Niemcy miały kiedykolwiek wpaść w wir historycznego obiegu Francyi. Absolutyzm oświecony pruski, zdaniem Bismarcka, byłby niewątpliwie idealną konstytucyą dla Niemiec, gdyby nie ten wzgląd, że zarówno monarcha, jak i jego urzędnicy, pozostają zawsze tylko ludźmi, którym nie dana jest ani nadludzka znajomość rzeczy, ani nadludzka rozwaga lub poczucie sprawiedliwości. Najidealniejszy monarcha potrzebuje krytyki, którąby go ostrzegła o każdem zboczeniu na manowce. Krytykę taką w Niemczech mogą dokonywać tylko z pożytkiem parlamenty i wolna prasa. Aby oba te kryterya nie stępiły się skutkiem nadużycia, winna nad tem czuwać polityka prawodawcza, która z kolei rzeczy musi przebyć walkę zarówno w prasie, jak i w parlamencie. Wynalezienie właściwej granicy, którąby przez owe wewnętrzne starcia szanowaną była i zapewniła krajowi kontrolę nad rządem, jest rzeczą politycznego taktu i pewnej miary w oku. Jeżeli monarcha pcsiada owe przymioty, to stanowią one szczęście dla kraju, które, jak każde szczęście, jest przemijającem, ale w każdym razie daje mu możność dobrania sobie odpowiednich ministrów, którzy mu do osiągnięcia politycznych celów i zadań dopomogą. Monarcha winien przedewszystkiom mieć możność i władzę osłonięcia ministrów przed chwilowemi głosowaniami większości parlamentar-

nych zarówno, jak i przed skrytemi intrygami dworskiej kamarylli. Widzimy więc, że zwolennikiem systemu parlamentarnego, igrającego z zabawkami ministeryalnemi, Bismarck nie był, pragnął on niezmiennie niezależności ministra wobec izb i wobec kamarylli dworskiej, a panowanie Wilhelma I odpowiadało mniej więcej jego idealnym wymaganiom.

W każdym razie Bismarck zaznacza kilkakrotnie z naciskiem, że absolutyzmu nie uważał za formę odpowiednich i możliwych rządów dla Niemiec. Jego zdaniem, nawet konstytucya pruska, jeżeli się pominie kilka artykułowanych frazesów, zapożyczonych z konstytucyi belgijskiej, jest w głównych zasadach znośną i rozsądną. Składa się ona z trzech faktorów, króla i dwu izb, z których każdy może zapobiedz nagłym i nieoględnym zmianom. W tym troistym składzie tkwi słuszny podział władzy prawodawczej. Poddanie zaś jej jawnej krytyce w prasie jest ze wszech miar pożądanem ze względu na terroryzm większości parlamentarnych. Wszelka zmiana panującego *status quo* winna być osiągnięta na drodze wspólnego porozumienia się, i pod tym względem niewiele jest w pruskiej konstytucyi do poprawienia.

Przechodząc do pruskich depesz i do zawikłań z Francyą, Bismarck tłómaczy jasno i przekonywająco, że kandydatura hiszpańska Hohenzollerna nie była nigdy ani skrytą, ani jawną prowokacyą do wojny. Dzięki jedynie zaślepieniu i uroszczeniom gabinetu i dyplomacyi francuskiej nieporozumienie rosło w oczach i wytworzyło niebywałe drażliwości, którym żadne ustępstwa pruskie nie były w stanie uczynić zadość. Bismarck nawet myślał o tem, aby się usunąć do prywatnego życia, gdyż widok upokarzającego postępowania Prus był dla niego zanadto dotkliwym. Poczucie honoru, do którego się odwołał monarcha, kazało mu pozostać na trudnem i odpowiedzialnem stanowisku. Pozostawszy jednak, Bismarck uczynił wszystko, aby położyć kres zuchwalstwu Francyi i aby dla Prus zyskać sympatye narodu niemieckiego i całej Europy, jako dla napadniętego państwa. Stronnictwo wojskowe pruskie, a przedewszystkiem Roon i Moltke zachwyceni byli polityką Bismarcka, dla nich bowiem rezultat kampanii nie mógł być wątpliwym, a pożądali go niecierpliwie z całej duszy. O fałszowaniu jednak depesz, o co namiętna publicystyka posądzała Bismarcka, nie mogło być mowy; zresztą fałszowania niepotrzeba było w owym podnieconym stanie. Dość było przeinaczeniem formy nadać inny ton depeszy, a zaperzo-

ny kogut gallijski uważał to za wyraźną i rozmyślną prowokacyę do walki.

W Wersalu spotkał się Bismarck z wyraźną niechęcią wojskowego stronnictwa, do którego wszelako Roon ani Moltke nie należeli. Stronnictwo powyższe dało mu do poznania, iż nie życzy sobie, ażeby brał udział w naradach wojennych, jak to miało miejsce podczas kampanii czeskiej. Generalicya pruska nie mogła żelaznemu księciu przebaczyć, że doradził królowi marsz do Presburga zamiast do Wiednia i tym sposobem wawrzyny ich uczynił skromniejszymi. Bismarcka nie dziwiło żądanie wojskowych załatwiania spraw wydziałowych samodzielnie, bez interwencyi cywilnych pierwiastków, ale z tem wszystkiem tłómaczy niezbędność, aby główny doradca korony, który ma upatrzeć odpowiednią chwilę do zawarcia pokoju, był powiadomionym dokładnie o sposobie prowadzenia wojny i o stanie sił obu stron walczących. Położenie Bismarcka w roku 1870 było takiem samem, jak w r. 1866. Pragnął on położyć kres pogromowi Francyi, bynajmniej nie z powodu współczucia lub litości, jakie żywił dla tego kraju, ale, ażeby zapobiedz porozumieniu się państw neutralnych, których wystąpienie mogło rokowania pokojowe bezpożytecznie przedłużać. Tym czasem różne względy utrudniały Bismarckowi zadanie. Nie tylko sympatye angielskie cesarzowej Augusty i następczyni tronu grały tu rolę, ale nawet żony wybitniejszych generałów w imię swego angielskiego pochodzenia dowodziły zgodnie z brytańską prasą i rządem, że Paryż należy ogłodzić, albowiem bombardowanie tego wszechświatowego ogniska cywilizacyjnego byłoby niesłychanem barbarzyństwem. Do serca Bismarcka nie przemawiały bynajmniej owe pseudohumanitarne postulaty brytańskie, które w miejsce zwykłego, choć twardego środka wojennego, podsuwały ciche i obłudne okrucieństwo, pochłaniające nierównie więcej ofiar i demoralizujące w niesłychany sposób całe masy społeczne. Bismarck otwarcie stawia zapytanie, czy głodzenie wielkiego miasta jest łagodniejszym środkiem prawa międzynarodowego, niż bombardowanie, i dochodzi do tego oryginalnego spostrzeżenia, że owa głodna kuracya Paryża, obniżając poziom moralności i budząc instynkty zwierzęce, przyczyniła się znacznie do wywołania krwawego widma komuny.

W Wersalu doznał Bismarck dużo kłopotów, zanim zdołał skłonić swego monarchę do przyjęcia tytułu cesarza niemieckiego. Fryderyk Wilhelm IV czuł także nieprzezwyciężony wstręt do zmienienia tradycyjnej swojej królewskości, ale tym razem Wilhelmowi I proponowało zrzeczenie się nie zgromadzenia doktrynerów, które

przyszłym Niemcom budowało w swej chorobliwej wyobraźni wspaniałe gmachy. Jakkolwiek pobudki były tym razem daleko poważniejsze i wytworzone zwycięstwami, a nie czczą wyobraźnią, król pruski długo nie chciał nic słyszeć o nowym tytule, a następnie oświadczył kategorycznie, że się nie zgodzi na przyjęcie tytułu niemieckiego cesarza, lecz co najwyżej zgodzi się na tytułowanie „Cesarzem Niemiec". Tymczasem tytuł cesarza niemieckiego stał się już artykułem konstytucyi nowego cesarstwa, i to uchwalonym przez sejm pruski; upór królewski był więc fatalną zaporą, powstałą w najniewłaściwszym czasie i miejscu, i Bismarck, znając narowistość swego starego władcy, był w prawdziwym ambarasie, jak się z tym niewyrozumowanym wstrętem uporać. Odwołanie się do nadzwyczajnych środków, które tyle razy skutkowały, zawiodło kompletnie. Następca tronu bowiem, wysłany kilkakrotnie do ojca, tylko go rozdrażniał, przemawiając za kanclerzem, i skrzepiał jego upór oraz niechęć. Bismarck uciekł się wreszcie do erudycyi i do starej tradycyi domu Hohenzollernów, ale i to nie na wiele pomogło. Doczekał się tylko tego, że król Wilhelm nie uwierzył odrazu jego wywodom i na uboczu sprawdzał wiarogodność jego dowodzenia. Bismarck bowiem wykazywał, że wszyscy monarchowie używają przymiotnikowo swego tytułu, a nie rzeczowników w drugim przypadku. Mamy tytuł cesarza francuskiego, austryackiego, wszechrossyjskiego, na co król pruski odrzekł, że to nie może być, gdyż, jako szef pułku, odbiera z Rossyi papiery z intytulacyą „pruskomu", nadaremnie Bismarck objaśniał, że jest to tylko *dativus* tego samego przymiotnika, król jego znajomości rossyjskiego języka nie dawał wiary, a później, gdy go przekonano, że nie miał racyi, nie zmienił w niczem swego zdania. Daremnie Bismarck odszukał stare fryderychańskie talary, na których widniał napis *„rex Borussorum"*. Pomimo, że Fryderyk II pozostał dla króla Wilhelma ubóstwianym ideałem wodza i monarchy, talarom jego nie chce przypisać Wilhelm żadnego historycznego znaczenia, może w przypuszczeniu, że jego gardzący niemoralnością Machiavella przodek rozszerzył kunszt fałszowania monety i na napisy. Jednem słowem dzień proklamacyi cesarstwa niemieckiego się zbliżal, a upór króla Wilhelma trwał nieprzełamany niczem. Wówczas Bismarck starał się uprosić w. księcia Badeńskiego, który miał pierwszy przemowę do króla Wilhelma, jako do cesarza, aby go przekonał o konieczności ustępstwa. Zdaje się, że i tym razem perswazye spełzły na niczem, ale za to w. książę Badeński użył zręcznego wykrętu, za który gniew proklamowanego cesarza spadł na Bismarcka, jako na przypuszczalnego wyna-

lazcę. W przemówieniu bowiem w. książę Badeński opuścił oba sporne tytuły, wymawiając jedynie tytuł cesarza Wilhelma, czem tak rozgniewał monarchę, że ten ostentacyjnie nie podał ręki Bismarckowi, i trzeba było dłuższego czasu, aby się rzeczy ułożyły do dawnego trybu.

Osobny i bardzo ciekawy roździał poświęcił Bismarck rozpamiętywaniom o przebiegu walki kulturalnej w Prusach czyli starcia się kościoła z państwem pruskiem, które nie przebierało w środkach i w mściwości swej okazało się nieubłaganem. Jeszcze w Wersalu bawiąc, Bismarck ulegał złudzeniu, że władza papieska pomoże mu do uspokojenia drażliwości francuskiej, a tem samem do zawarcia pokoju. Dwaj dygnitarze kościelni, Ledóchowski i Bonnechose, czynili nawet zabiegi w tym celu, ale ostatecznie pokazało się, że władzy papieskiej brak należytej siły lub dobrej wiary, i Bismarck rozczarowany lub może nawet rozgoryczony został owemi niedoszłemi usługami prałatów katolickich. W walce kulturalnej podnieconym był Bismarck od samego początku jej znamieniem polskiem. Do tego kanclerz niemiecki przyznaje się najotwarciej, głosząc się wyłącznym wrogiem polonizmu, a nie katolicyzmu. Już w r. 1865 proponował Kettelerowi objęcie arcybiskupstwa gnieznieńsko-poznańskiego, ale rzecz cała zahaczyła się w Rzymie o to, że Ketteler nie umiał po polsku, w każdym razie dążenia jego i cele były już wtedy jasno wytkniętymi i zdeterminowanymi. Przedewszystkiem Bismarck nie mógł wybaczyć Fryderykowi Wilhelhowi IV, że w systemie Flottwell-Grosmanowskim zrobił szczerbę, urządzając oddział katolicki w ministeryum wyznań. Od tego czasu, jak Bismarck zapewnia, wzmógł się pierwiastek polski kosztem niemieckiego nie tylko w Poznańskiem, Prusach zachodnich, ale i na Górnym Szląsku, gdzie wśród wasserpolaków zaczął się budzić duch nowy, jakby zmartwychpowstały. Szafranek, ich poseł w sejmie pruskim, ośmielił się nawet na posiedzeniu przytoczyć polskie przysłowie, zapowiadające, że nigdy Niemiec Polakowi nie będzie bratem, a gdy wrocławski książę biskup zabronił mu „zasiadać na lewicy", ten silnie zbudowany ksiądz stał po dziesięć godzin przed ławami lewicy i wygłaszał swe namiętne mowy przeciwko Niemcom.

Wobec takiego położenia rzeczy zniesienie oddziału katolickiego w ministeryum wyznań było celem najpożądańszym dla Bismarcka. Pragnął on zniesienia tej instytucyi i z tego względu, że na jej czele stał Krätzig, jak się wyraża, niewolnik, czyli sługa domu Radziwiłłów, z których Wilhelma i Antoniego, jeszcze, jako

pruskich oficerów, znosił, ale do Bogusława żywił wstręt zupełny. Otóż w oddziale katolickim panował niepodzielnie wpływ Radziwiłłów czyli polonizmu i władza królowej Augusty, co było wystarczającem, aby ściągnąć na siebie nienawiść Bismarcka. Przyznaje się też on otwarcie, że długo i wytrwale pracował nad przekonaniem monarchy, zanim go źle usposobił dla katolickiego oddziału. Bismarck dowodził, że nawet nuncyusz papieski w Berlinie byłby dla Prus mniej szkodliwy od katolickiego oddziału i nareszcie przełamał wpływ królowej i Radziwiłłów, co uważa za tryumf nielada.

Za duchowego ojca praw majowych Bismarck uchodzić nie pragnie, dowodząc, że Falkowi, jako juryście, pozostawiał samodzielność, nie będąc w stanie kontrolować wszystkich szczegółów. Jednakże przeciwko intrygom kamarylli dworskiej, do której należała cesarzowa Augusta, bronił i podtrzymywał kanclerz Falka, nie uczuwając żadnych skrupułów sumienia z powodu rozkładowych środków, jakich względem kościoła katolickiego używał minister wyznań, który, po prostu mówiąc, był jego kreaturą. Wogóle Bismarck zadowolonym jest z wyników walki kulturalnej. Twierdzi on, że z konstytucyi usunął niewygodne dla państwa paragrafy, że usunął nienawistną sobie sekcyę katolicką i zaopatrzył rząd w środki, które mogły zdusić w zarodku wszelkie dążenia separatystyczne kleru katolickiego. Jedność władzy państwowej była więc zabezpieczoną na długie lata w Prusach, pokuszenia kleru o wywieranie wpływu na władzę państwową zniweczone zostały do gruntu. Był to więc rezultat, zdaniem Bismarcka, godny trosk i zabiegów, a że dla osiągnięcia jego zburzono spokój katolickich sumień, że je pozbawiono przez czas dłuższy wszelkich religijnych pociech, nawet przy łożu śmierci, to drobnostka, na którą się w wielkiej publicznej akcyi nie zwraca uwagi.

Za to chełpi się Bismarck, że, zabezpieczywszy szkołę i państwo pruskie od wpływów katolickich, on pierwszy dał impuls do pojednania się z kościołem katolickim i do porzuczenia całego podchwytliwego Falkowskiego aparatu. Jemu przewodniczyły zawsze zbyt wielkie polityczne cele, aby miał przywiązywać wagę do tak pospolitych środków, jakimi Falk dysponował, i daje wyraźnie do zrozumienia, że postępował zawsze, jako mąż stanu wysokiej miary, który tolerować musi do czasu pułapki, wykręty kauzyperdów. Zawarty z kościołem pokój nie wyklucza możliwych w przyszłości zatargów w Niemczech. Bismarck nawet jest zdania, że kurya rzymska ma dużo po temu zapalnego materyału w prowincyach polskich, w jej żądnej władzy szlachcie i klerze, który za pośrednictwem zabobo-

nu kieruje tłumami. Względy powyższe trzeba jednak przyjąć, jako nieuniknione, i zgodzić się na to, że z kuryą rzymską zarówno, jak i z Francyą, nie będzie można zawrzeć wiecznego pokoju.

Jako prawdziwy uczeń fryderycyańskiej szkoły, znający hasło mistrza: „in meinem Reiche kann jeder nach seiner Façon selig werden”, zapewnia Bismarck kilkakrotnie, że jest na wskroś tolerancyjnym i że nie żywi względem innych wyznań uprzedzenia, a tem bardziej niechęci. Gniew a nawet niezawiść budzi w nim jedynie kler katolicki przez swą pożądliwość doczesnej władzy i przez utrzymywanie zabobonów wśród tłumów, aby nimi dowolnie kierować. Pomimo zapewnień, że wstrętnym był jedynie kanclerzowi polonizm w katolicyzmie, znajdują się w pamiętnikach Bismarcka ustępy, które tym zapewnieniom odejmują wszelką wiarogodność. Tak też Bismarck opowiada, że spotykał w Niemczech chłopów, którzy wierzyli w to święcie, że od stojącego przy łożu śmierci kapłana zależy posłanie duszy umierającego do piekła lub nieba, a więc że bezpieczniej jest żyć z nim politycznie czyli dać mu się za nos wodzić przez całe życie. Z polskim chłopem dzieje się to samo, a może nawet gorzej. Skłonnym on jest do uwierzenia kapłanowi nie tylko w to, co uwierzył chłop niemiecki, ale prócz tego skłonnym się czuje do utożsamiania luteranizmu z niemczyzną, a katolicyzmu z polskością. Z ustępu powyższego przekonywamy się, że polonizm podszczał w Bismarcku jeszcze większy gniew, niż katolicyzm, ale w każdym razie tolerancyjny jego nastrój i chrześcijańska wyrozumiałość i pobłażliwość ulegają pewnym wątpliwościom.

Są nawet ustępy w pamiętnikach księcia Bismarcka, które dowodzą, że ów tolerancyjny mąż stanu, kierujący się niby wyłącznie polityką, nie był w gruncie rzeczy wolny od zaciekłości heretycko-sekciarskiej. Opowiadając swą rozmowę z Kettelerem, Bismarck zaznacza swą niedowiarę: na zapytanie dygnitarza kościelnego, czy, Bismarcka zdaniem, katolicy będą mogli być zbawionymi, bez długiego namysłu kanclerz rzekł, iż, podług jego przekonania katolicy, laicy i świeccy, bez żadnego wątpienia, ale co do kleru ma pewne skrupuły, popełnia on bowiem grzech przeciwko Duchowi Ś. i brzmienie Pisma ś. jest przeciwko niemu. Na tego rodzaju zarzut, odpowiedział Ketteler ironicznem milczeniem, do którego dołączył ceremonialny ukłon, jakby na stwierdzenie tego, iż zdaje sobie sprawę, że wielki mąż do niego przemawia. Że w podrażnieniu, w jakie go wprawiał kler katolicki, mógł Bismarck coś podobnego powiedzieć katolickiemu biskupowi, to jest jeszcze zrozumiałem, jako dowód, że nigdy wyrozumiałość wielkich nie sięga tak daleko, aby słabszym nie dała uczuć swego

lekceważenia lub pogardy. Że jednak Bismarck uważał za stosowne przekazać powyższą rozmowę potomności, jako coś oryginalnego lub ważnego, to słusznie zadziwić i zastanowić każdego powinno.

W roku 1871 otrzymał Bismarck tytuł księcia z przydomkiem „Durchlaucht" i z tego powodu zamieścił kilka ciekawych spostrzeżeń w swym pamiętniku. Wogóle opinia społeczna w Prusach nie sprzyjała zbytecznie takim nadzwyczajnym wynagradzaniom politycznych zasług. Nie raziło to nikego, gdy wiejski junkier dochrapał się tytułu ekscelencyi, a nawet gdy wysłużył sobie tłustą dotacyę; Jaśnie Oświeconość jednak raziła sztuczną demokratyczną równość, wymaganą przez opinię publiczną, wzbudzając prócz tego zawiść i zazdrość. Nadanie tytułu księcia w Prusach nie pozostawiło przytem zbyt szczęśliwych wspomnień Hardenberga i Blüchera, potomkowie nie mogli z powodu ubóstwa używać tego tytułu, a dopiero w 1861 roku skutkiem bogatego ożenku z katoliczką rodzina Blüchera przystroiła się nanowo w swą książęcą godność. Bismarck podzielał zupełnie przekonanie opinii publicznej, sądząc, że tytuł księcia nie przystoi chudopachołkowi, za którym nie przemawia wielka fortuna. Przemyśliwał też o tem, przynajmniej tak nas zapewnia, jak zręcznie wymówić się monarsze od tej odznaki, nie urażając w niczem jego łaskawości i dobrych chęci. Przyjęcie serdeczne, jakiego doznał w pałacu cesarskim od całej monarszej rodziny, rozbiło na marne wszelkie jego zamiary i chęci. Stary bowiem Wilhelm wziął Bismarcka w objęcia i, ze łzą w oku dziękując mu za usługi, zwał go „Durchlaucht"; po nim naturalnie rozrzewniła się i dziękowała cała rodzina, jednem słowem, wytworzył się nastrój, tak uroczysty i rozczulający, że w nim stopniała prostota pomorskiego junkra, i odlany został dla potomności pomnik żelaznego księcia, zachowujący jednak nieco mieszczańskiej, a więcej junkrowskiej, patyny.

W osobnych rożdziałach skarży się Bismarck na podstępność i nielojalność Arnima oraz innych, którzy nieustannie i z dużą dozą bezczelności podkopywali jego znaczenie u monarchy. Upewnia jednak, że nie kierowała nim bynajmniej mściwość w postępowaniu przeciwko Arnimowi, czuł się on raczej obrażonym, jako lekceważony zwierzchnik, i pragnął dać uczuć Arnimowi, że do bagatelizowanych stworzeń zaliczać go jest cokolwiek niebezpiecznie. W 1875 roku posądzano Bismarcka o to, że knuł w cichości najazd nowy na Francyę, rozpuszczając wieść, że jedynie zabiegom ks. Gorczakowa udało się młodej rzeczypospolitej uratować spokój. Bismarck zaprzecza tej legendzie, najkompletniej dowodząc, że wy-

tworzyła ją intryga, uknuta przeciwko niemu, której zupełnie nie wierzył Cesarz Aleksander II. Ks. Gorczakow pragnął protegować Francyę i zasłonić ją przed fikcyjnemi niebezpieczeństwami, Cesarz Aleksander przeniknął jednak na wskroś dyplomatyczny manewr swego kanclerza i skłonił Bismarcka do wyrozumiałości dla jego starczej próżności (*vanité sénile*). Polityczne położenie w owej dobie nie pozwalało zupełnie myśleć na trzeźwo o najeździe na Francyę. Nie tylko nowe cesarstwo niemieckie nie odniosłoby z najświetniejszych wawrzynów żadnych korzyści, ale w dodatku owe 300,000 francuskiego żołnierza, którzy powrócili do kraju z niemieckiej niewoli, czyniło chwilę najazdu jeszcze niebezpieczniejszą, niż kiedykolwiek indziej.

Kongres w Berlinie opisuje Bismarck zajmująco, tłómacząc się z zarzutu, który mu uczyniono, że tylko idealne usługi gotów był Rossyi oddawać. Broni swej reputacyi uczciwego meklera i twierdzi, że jedynie ks. Gorczakow był z jego usług niezadowolonym, oskarżając jego lojalność przed cesarzem Aleksandrem II. Hrabia Szuwałow jednak odmiennego był przekonania, i zdaje się, że monarcha wszech Rossyi nie dawał wiary podejrzeniom swego kanclerza. Przymierze z Austryą, które się później zamieniło w trójprzymierze, opisał Bismarck znakomicie, składając dowód trzeźwości poglądów i przenikliwości w obrachowaniu odległych konsekwencyi historycznych. Nie tak łatwo przyszło Bismarckowi wybrać przymierze z Austryą na wypadek wojny z Rossyą; wiele względów przemawiało za przymierzem z Rossyą, które mu się chwilami więcej uśmiechało. Zdecydował się jednak, wiedziony uczuciami germańskiemi, na Austryę, ale to nie przeszkadza mu zżymać się na Węgrów i Polaków za ich pogardliwe usposobienie dla szwabów i za ich sympatye francuskie. Pociechą i gwarancyą w tem przymierzu jest dla Bismarcka charakter pewny i w twardej szkole doświadczenia wyrobiony cesarza Franciszka Józefa. Ale nie może tego zataić i skrywać przed sobą, że ta gwarancya, która go uspokaja, jest przemijającą. Gdy raz zabraknie Franciszka Józefa, sytuacya polityczna się zmieni, i polityka niemiecka znajdzie się na rozdrożu.

Znakomitym jest rozdział pamiętników Bismarcka, traktujący o radzie stanu (Staatsrath). Instytucyę ową miały Prusy w roku 1817, która była przeznaczoną wyłącznie do zasilania absolutnego króla radami. W r. 1852 rozszerzono zakres działania rady stanu. Opracowywała ona nietylko królewskie postanowienia, ale i vota ministeryalne. Przygotowywanie projektów do praw przez ministeryum państwowe okazało się dość wcześnie niemożliwem z po-

wodu przeciążenia pracą, jakiemu ulegali wszyscy ministrowie wydziałowi. Przytem po większej części minister, będąc produktem biurokracyi, nie jest w stanie należycie ocenić praktycznego wpływu projektowanego prawa na życie społeczne. Znajdują się wprawdzie ministrowie, którzy na dany projekt zapatrują się ze stanowiska ogólnej polityki i którzy głębiej wnikają w stosunki społeczne, ale tych jest niewielu, i stanowią oni najwyżej 5% ogólnej cyfry.

Prace rady stanu, które objaśniały absolutnego króla przed 1848 rokiem, ocenia Bismarck przychylniej, aniżeli te, które po r. 1852 miały miejsce. Ostrzega jednak, że mylnem jest przekonanie, jakoby w systemie konstytucyjnym reprezentacya narodowa zaradzała złemu i poprawiała należycie wadliwe projekta ministrów. Jako przenikliwy i doświadczony obserwator, Bismarck zbadał naturę stronnictw i frakcyi parlamentarnych, na które się każda reprezentacya rozpada i odtworzył ich politykę, jaką względem projektów prawodawczych zachowują. Większość posłów pogrążoną zwykle bywa w błogiej nieświadomości dobrego i złego, oczekując hasła swoich przywódzców, a przywódzcy mają przedewszystkiem wzrok, zwrócony na stronnicze pożytki; techniczne obrobienie lub celowość projektu na podrzędnym stawiają planie. Zwołane 1884 r. pod prezydencyą następcy tronu posiedzenia rady stanu wywołały, zdaniem Bismarcka, korzystne wrażenie. Książę Fryderyk przysłuchiwał się uważnie referatom i nie wpływał na samodzielność przewodniczących, a udział uczonych nadawał obradom rzeczywistą doniosłość. W każdym razie zaznaczyć należy, że Bismarck odczuł i przeniknął wybornie ducha administracyi pruskiej, który obawiał się urzędniczej biurokracyi, nie rozumiejącej potrzeb społecznych i zasklepiającej się w odrębności klasowej, w dodatku pragnął odświeżania i zasilania organów administracyjnych pierwiastkiem obywatelskim, pozostającym w nieustającej łączności z życiem społecznem. Krytykę prasy i parlamentu, na którą zwykle był wrażliwy, tym razem uważał za pożyteczną i niezbędną, stanowczo też potępiał wszechmocność ministeryalną, unikającą krytyki, i żądał administracyi światłej, działającej na podstawie — prawa takiej, jakiej wymagało państwo praworządne teoretyków niemieckich, t. j. tak zwany „Rechtsstaat".

W końcowych rozdziałach pamiętników Bismarcka znajduje się ciekawa charakterystyka starego Wilhelma, dla którego kanclerz żywił stale prawie synowski sentyment. W stworzeniu portretu historycznego króla Wilhelma uprzedził Bismarcka Sybel, którego

historyi nowożytnych Niemiec[1]) poświęcałem przed laty uwagę w „Niwie”. U Sybla jednak wszyscy wybitniejsi mężowie stanu czy wojny ze swym monarchą na czele otoczeni byli aureolą olimpijskiej chwały, który z nich czynił orszak nadludzki (Uebermensch), uposażonych w cnoty i charaktery, nie spotykane zazwyczaj u śmiertelników innych narodowości. Bismarck jednak nie zniżył się nigdy do tonu urzędowego chwalcy historyka. Przyznaje się do tego, że kochał Wilhelma I, jak swego ojca, i że miał dużo powodów być mu wdzięcznym, ale owego długu wdzięczności nie czuje się w obowiązku spłacać wytwarzaniem mu jakiegoś kunsztownego posągu, którýby zacierał ludzkie pochodzenie i słabostki ukochanego monarchy. Bismarck odtworzył nam Wilhelma I takim, jakim był w życiu politycznem i wojskowem. Ocenił należycie trzeźwość i rozwagę w sądzie, siłę woli, pewność i nieugiętość charakteru, oraz nieustraszoność, t. j. odwagę zarówno bojową, jak i cywilną. Cesarz Wilhelm I, zdaniem Bismarcka, był w całem tego słowa znaczeniu gentlemanem, ożywiało go nawskroś poczucie honoru i obowiązku, a ideą rycerską, która mu świeciła nieustannie, była „noblesse oblige”.

Najniewdzięczniejszą pracą dla Bismarcka było redagowanie wszelkich mów tronowych, do których trzeba było używać czczej frazeologii konstytucyjnej, wyczerpanej już przez Leopolda Belgijskiego i Ludwika Filipa Orleańskiego. Niekiedy Cesarz Wilhelm I podejmował zadanie, ciążące zwykle na Bismarcku, i mimo niepoprawności języka wywiązywał się lepiej od samego kanclerza. W miejsce bowiem pustych frazesów, zużytych w innych krajach, potrafił monarcha, jak świadczy Bismarck, zamieścić zawsze coś pociągającego szczerością i prostotą, coś porywającego ciepłem wewnętrznem i rzetelnem przywiązaniem do dobra publicznego. Bismarck nie tai bynajmniej, że około roku 1875 umysł monarchy zaczął leniwieć i że pojętność jego w sprawach zewnętrznych i wewnętrznych zaczęła słabnąć. Zamach Nobilinga wstrząsnął jednak organizmem królewskim korzystnie; Wilhelm sam uczuł polepszenie i rzekł żartobliwie do Bismarcka: Nobiling był dla mnie najlepszym lekarzem i przepisał mi najkorzystniejszą kuracyę, albowiem potrzebowałem przedewszystkiem tęgiego upustu krwi. Wspomnienia Bismarcka przedstawiły nam postać Wilhelma w pięknem i sympatycznem świetle. Tem bardziej portret ów zastanawiać będzie history-

[1]) Die Begründung des deutschen Reichs i t. d.

ków, że genialny mistrz nie nadużył w kolorycie barw jaskrawo chwalących, noszących znamię służalcze.

Kończąc sprawozdanie, pragnąłbym jeszcze kilkoma uwagami podzielić się z czytelnikiem. Obawiam się jednak, ażeby luźnych spostrzeżeń nie wzięto za chęć popisania się z krytycznem studyum nad polityczną działalnością Bismarcka. Chęć podobną uważałbym za nieuzasadnioną pretensyonalność, gdyż stan źródeł, pozwalających zbadać polityczny żywot żelaznego księcia, jest niedostateczny, i potrzeba jeszcze dłuższego czasu, aby spuściznę po tak wielkim dyplomacie odszukać, zebrać i uporządkować. Najlepszym dowodem, że procedury historycznej przyspieszyć nie można, jest Cavour, o którego politycznem życiu dopiero teraz zaczynają traktować coraz to poważniejsze, chociaż nie zupełnie wyczerpujące prace [1]). Pamiętniki Bismarcka, a nie sam żelazny książę obchodzą mnie wyłącznie, i pragnę jedynie zastanowić się nad tem, o ile wiarogodnem i ważnem źródłem historycznem staną się dla przyszłych badaczy jego pamiętniki. Trudnem jest zoryentowanie się, czy pamiętniki były pisane dla objaśnienia czy dla zamaskowania faktów, t. j. czy piszący miał odwagę szczerości i prawdy, czy też używał tabulistycznych wykrętów i paradoksalnego rozumowania, aby wywieść w pole trybunał historyi.

Jeżeli Cycero twórców czyli założycieli państwa zaliczył w poczet bogów, to, niewątpliwie, zjednoczenie swego narodu w mniej lub więcej potężne państwo należy do zasług najpodnioślejszych, o jakich śmiertelnik zamarzyć może. Jakkolwiek też wieniec zasług Bismarcka może być obfitym i bogatym, zawsze kwiat zjednoczenia Niemiec zaćmiewa wszystkie inne swoją pięknością, i w imię tego wspaniałego dzieła rodzinne społeczeństwo zapomniało wiele poniesionych krzywd, stawiając mu pomniki za życia. Współzawodnikiem zawodowym Bismarcka był jeden tylko Cavour, któremu zjednoczenie zawdzięczają Włochy. Obydwaj dla osiągnięcia wielkiego celu nie wahali się poświęcić krwi swego narodu i przelać jej obficie na licznych pobojowiskach. Cavour jednak, którego pamięć przyozdobiła historya przydomkiem szlachetnego, na uspra-

---

[1]) Już w roku 1869 wydrukował Treitschke piękne studyum o Cavourze, które nosi przeważnie charakter publicystyczny i pragnęło dowieść i wyższości Bismarcka nad Cavourem, i zjednoczenia niemieckiego nad włoskiem. („Historische und Politische Aufsätze. Tom 2-gi"). W roku 1875 ukazała się praca Massariego o Cavourze, tłómaczona na niemiecki, a w r. 1884 sumienne studyum L. Chiali o Cavourze, które jest jednak dalekiem od wyczerpania przedmiotu.

wiedliwienie swe mógł przytoczyć nieuniknioną konieczność historyczną. W ojczyźnie jego gospodarował wróg i rządził przy pomocy brutalnych wojsk, oraz nikczemnej biurokracyi, nie wahając się szczepić wszędzie rozkładu i waśni w imię józefińskiego hasła *divide et impera.* Cavour po Machiavellim wziął w spadku wielkie hasło, które spoczywało w głębi serca każdego Włocha, i ciskał je wielokrotnie w parlamencie lub licznych zgromadzeniach trwożliwym rzeszom w namiętnych słowach: *fuori i barbari*[1]); że Włochy od wieków znosić musiały gospodarkę rabunkową t. z. barbarzyńców i żyć w podziałowej rozterce, to nie przesądzało bynajmniej o przyszłości. Cavour miał z przodków dość germańskiej krwi w swoich żyłach, instynktownie też odczuwał doniosłość starego germańskieg o przysłowia, które twierdzi: *Hundert tausend Jahre Unrecht ist keine Stunde Recht* i w dążeniach swych do oswobodzenia i zjednoczenia Włoch znajdował gorące uznanie i poparcie swego narodu.

Nie tylko naród włoski rozumiał konieczność historyczną, służącą za podstawę polityki Cavoura, ale i obce rządy oraz społeczeństwa doszły wkrótce do tego samego przekonania. Uprawnienie Włochów do powyższych dążeń oraz nieunikniona konieczność odwołania się do oręża były tak zrozumiałemi i wyraźnemi, że nawet historycy rossyjscy przebaczyli prowdopodobnie Cavourowi wysłanie wojsk włoskich do Krymu, w tem przekonaniu, że mąż stanu włoski pragnął dla swego państwa zjednać pomoc Francyi i miejsce w koncercie europejskim.

W odmiennem położeniu znajdował się Bismarck i na usprawiedliwienie swej pławiącej się w krwi polityki nie mógł wyszukać prawdziwych barbarzyńców. Naród niemiecki, zjednoczony duchowo, dzieliły tylko państwa niemieckie, które posługiwały się żołnierzem i urzędnikiem własnym. Nieustannemu zbliżaniu się i brataniu tych politycznie rozdzielonych społeczeństw nie stało nic na przeszkodzie, i pokojowe dzieło zjednoczenia niemieckiego zdawało się płynąć z natury germańskich stosunków. Bismarck nie opierał się tak, jak Cavour, na niewzruszonej podstawie konieczności historycznej. Postulatem jego była kwestya potęgi (Machtfrage), to jest stworzenie z wielu państw niezależnych niemieckich jednego wielkiego mocarstwa, któreby zdołało zatrzeć w historyi ślady upokorzeń, jakich doznawało monstrualne imperium rzymskie narodo-

---

[1]) Chiala: „Camillo Cavours, gedruckte und ungedruckte Briete“ (tłom Bernardi) T. I, str. IX

wości niemieckiej lub związek reński pod protektoratem Napoleona. Naturalnie bardzo, że i Bismarckowi przewodniczyły w polityce ważne motywy, których nie skrywał bynajmniej. Liczne państwa i państewka niemieckie otwierały na rozcież wrota wpływom obcych państw i czyniły z nich igraszkę dla swych interesów. Potężne mocarstwo kładło temu upokarzającemu postępowaniu raz na zawsze kres, i dlatego Bismarck go pożądał, a ponieważ pokojowe osiągnięcie celu wymagało dłuższego czasu i cierpliwości, idąc kunsztem dyplomatycznym, krwią i ogniem przyśpieszył historyczną procedurę, stwarzając z wielu niemieckich państw jedno mocarstwo.

Naród myślicieli, za jakich się Niemcy chętnie uważają, nie mógł ani jednomyślnie, ani gorąco przyjąć polityki Bismarcka tak, jak nie mógł kwestyi potęgi, rozniecającej walkę wewnętrzną niemiecką, utożsamiać z koniecznością historyczną. Trudno było także ukryć i zataić, że między ideałem zjednoczonych Niemiec a potężnem mocarstwem Bismarcka zakradło się jakieś nieporozumienie, jakaś dziwna sprzeczność. Do politycznego ustroju Niemiec kanclerz wtłoczył przemocą zbłąkanych i obłąkanych francuskim duchem braci z Alzacyi i Lotaryngii, ale wyrzucił austryackich Niemców i monarchów, choć ci tworzyli przez tyle wieków integralną część dawnego świętego rzymskiego imperium i dali im dynastyę Habsburgów za cesarzy. Mocarstwo Bismarcka kaleczyło więc boleśnie ideały narodowego zjednoczenia Niemiec i nadawało im charakter rozszerzonych Prus, którym ma się niewolniczo wysługiwać reszta germańskiej drużyny.

Przyznać należy, że pamiętniki Bismarcka odtwarzają wiernie jego poglądy na zjednoczenie Niemiec. Od początku do końca idzie mu głównie o powiększenie Prus, o wyrzucenie z Niemiec Austryi. Dla Prus mają być zdobytemi księstwa Szlezwicko-holsztyńskie, dla wygody Prus przykrojoną została konstytucya zjednoczonych Niemiec. Wola Prus ma być decydującą w radzie związkowej. Jednem słowem, w epoce odrodzenia swego politycznego Niemcy mają być sprusaczonymi poddanymi cesarstwa Hohenzollernów. Potęga zjednoczonych Niemiec jest dostatecznym powodem do wytężenia wszystkich sił narodowych i do złożenia w obywatelskiem poświęceniu morza krwi niemieckiej. W imię osiągnięcia tej potęgi uświęcone są przez Bismarcka wszystkie środki. Mąż stanu, który nienawidził z serca jezuitów, zżył się kardynalnie z zasadą, przypisywaną powyższemu zakonowi. Gdy chodzi o wybór

środków, nie zna Bismarck żadnych skrupułów sumienia, żadnej etyki chrześcijańskiej. Jedyny cel przewodniczy jego polityce międzynarodowej, to jest zmiażdżenie przeciwnika, jedynem jego hasłem jest osławione „Stoss ins Herz". Opowiada zaś Bismarck o niezbędności użycia takich środków, jak prowokowanie rewolucyi w Węgrzech i Czechach, bombardowanie lub ogłodzenie Paryża z takim spokojem i naturalnością, że czytelnik otrzymuje wrażenie, że słucha opowiadań kata, który wieszanie i ucinanie głów i tym podobne drobnostki uważa za rzeczy niewinne i bardzo zwyczajne. Wprawdzie i Bismarck jest czasami wyrozumiałym, a nawet ludzkim. Gdy cel jego dążeń politycznych osiągniętym został, nie uważa za stosowne po nad potrzebę krzywdzić, kaleczyć i upokarzać przeciwnika. Bismarck chlubi się, że zapobiegł niepotrzebnemu podziałowi Austryi, że przyśpieszył zawarcie pokoju z Francyą i nie ominął żadnej sposobności, ażeby okiełznać szowinizm wojskowy. Może być, że w wielu razach praktyczny zmysł męża stanu, rachujący się nawet z przypuszczalnemi niebezpieczeństwami [1], odniósł u Bismarcka zwycięstwo nad mściwością i okrucieństwem, ale jakoś dziwnie wygląda jego ludzkość w pamiętnikach, gdy opowiada, że przekładał bombardowanie Paryża nad ogłodzenie, co wygląda na austryackie ułaskawienie „vom Strange zu Pulver und Blei", a w końcu tragedyi zgodził się z lekkiem sercem i na bombardowanie i na ogłodzenie, bo ono jedynie doprowadzić mogło do pożądanego pokoju.

Polityce zagranicznej Bismarcka przewodniczyła zasada „pro foedera, pro iustitia stat ensis", która była posiewem nieprzejednanych sąsiadów na kresach i wypływała z ducha Fryderyka II. W polityce wewnętrznej natomiast Bismarck wyniósł się po nad fryderycyańskie ideały. Krótko, jasno i z nieprzepartą logiką wykazał on niemożliwość absolutnych rządów i niewykonalność mrzonki, uważającej monarchę za pierwszego sługę państwa. Żywioł konstytucyjny wszakże, samorząd, ogarniający wszystkie sfery życia publicznego, uważa on nie za zbyt wielkie szczęście ludzkości. Przyjmuje raczej ów czynnik ożywczy, jako najważniejsze zło, i to w dodatku zło konieczne, a godząc się na ową codzienną pracę w pocie czoła całego narodu, robi skrzywioną minę, jak chory po połknięciu gorzkiej mikstury. Za to Bismarck przejrzał nawskroś wszystkie niedokładności, wady i sprzeczności, spoczy-

---

[1]) *Klaczko*: „Deux chanceliers" (str. 260 i dalsze) przekonywa, że niebezpiebezpieczeństwa te mogły łatwo się urzeczywistnić.

wające na dnie każdego życia konstytucyjnego. Wykazując nicość i obłudę frazeologii liberalnej, zgłębił do gruntu istotę i charakter parlamentów, stronnictw i frakcyi samorządu lokalnego, prasy i czy to w kwestyach konstytucyjnych, czy administracyjnych wypowiedział tyle rozumnych i mądrych uwag, że wystarczą one na długie lata na pokarm dla teoryi uczonych niemieckich.

Bismarck, oddany kultowi potęgi vel mocarstw z tego świata, to jest ziemskiego, czuł nieprzezwyciężony wstręt do najważniejszych czynników duchowych, do katolickiego kościoła i do narodowości. Od polityki odpędza on zarówno luteranów, jak i katolików, albowiem długie suknie nie są w stanie nic dobrego i pożytecznego zdziałać w politycznem życiu, czy są noszone przez księży, czy przez niewiasty. Do katolickiego kościoła jednak ma pretensyę wielką za to, że twarda opoka Piotrowa nie da się urobić na wygodny środek do cezaro-papistycznego systemu i że cała jego wszechmocność i podstępność nie wystarcza na to, aby z Hohenzollerna zrobić w kościele katolickim najwyższego biskupa, któryby tak, jak luterom, dawał swe wskazówki i kierownictwo. Z pamiętnika Buscha o Bismarcku[1]) dowiedzieliśmy się, że kanclerz nie tylko sam mówił po polsku i admirował przywiązanie Polaków do mowy ojczystej, ale że nawet namawiał następcę tronu, ażeby się nauczył po polsku. W pamiętnikach Bismarcka nie znajdujemy słowa wzmianki o tem niespodziewanem uznaniu, natomiast występuje często dowodzenie, nieubłagane i zimne, jak cięcie katowskiego toporu, utrzymujące, że polskość jest dla Prus groźbą rozkładu i zagłady. W tym ostatnim wypadku Bismarck był pojętnym uczniem fryderycyańskiej szkoły i zapamiętał sobie dobrze słowa mistrza „nous communierons du même corps eucharistique que est la Pologne" [2]).

Dla przeciwników w międzynarodowem czy wewnętrznem życiu państwowem Bismarck trzymał się jednej i tej samej zasady „Stoss ins Herz". Wprawdzie odpowiedzialność za prawa Majowe radby zrzucić na Falka. Ale Majunke potrafił coś opowiedzieć o owym jadzie trującym, który Bismarck pragnął zaszczepić w katolickim kościele[3]). Starokatolicyzm, proboszcze rządowi i tym podobne rzeczy gnieździły się w przepełnionej nienawiścią duszy Bismar-

---

[1]) Les mémoires de Bismarck.

[2]) *Janssen* „Zur Genesis der ersten Theilung Polens".

[3]) „Geschichte des Kulturkampfes in Preussen-Deutschland".

cka, którą dyszą i Pamiętniki. Kościół katolicki doznał dopiero wtedy pewnej pobłażliwości od Bismarcka, gdy cele polityczne, t. j. właściwe ustępstwa, pozyskanymi zostały. Jedynie niemożliwych zdobyczy potrafił się kanclerz wyrzec, ale i to, jak się zdaje, do czasu, pokładając nadzieję w pomyślnej przyszłości.

Dla nas nie poprzestał Bismarck na ogólnym haśle „Stoss ins Herz", ale odszukał specyalny aparat praw wyjątkowych i dał życie systemowi rządowemu, dążącemu jednocześnie do „Germanisiren und Ausrotten". Przemilczał on o tem zupełnie i w Pamiętnikach swych nie żąda *brevet d'invention* na owe wynalazki. Ale nie w tym jednym wypadku zawiodła kanclerza pamięć. Zapomniał on bowiem, że w 1866 r. groził rządowi rossyjskiemu wywołaniem powstania w królestwie Polskiem, jeżeli tenże nie zgodzi się na jego samowolną gospodarkę w północnych Niemczech[1]). Był nawet czas, że i wobec Polaków przybierał postawę domniemanego wskrzesiciela[2]) niewątpliwie po to tylko, aby, wyzyskawszy ich łatwowierność, postąpić z nimi, jak z Węgrami, których w r. 1866 wydał w ręce Austryi.

W polityce wewnętrznej, jak i zewnętrznej, bezwzględnością swą wytworzył Bismarck rozdwojenie i licznych nieprzyjaciół. Ciskając co chwila rękawicę opozycyi i drażniąc ją pogardliwemi szyderstwami, Bismarck dowiódł, że nie pojmował siły talizmanicznej, jaka spoczywała w rzymskiej zasadzie: „concordia res parvae crescunt". Dewiza jego „viel Feind viel Ehre" mogłaby mu zdobyć wiele barw i serc niewieścich w średniowiecznym turnieju, ale dla ludzkości pozostanie sympatyczniejszą dewiza Cavoura: „alere flammoca". Zmysłu do piękna w poezyi okazał Bismarck w pamiętnikach mało. Podniosły patos wielkich pieśniarzy Niemiec był mu obcym nawet wtedy, gdy myślał o zjednoczonej Germanii. Za to przypominał mu się niekiedy Szekspir. Widocznie geniusz tragedyi przemawiał potężniej do jego duszy, zwłaszcza gdy w „Ryszardzie III", jako rozbójnik - najmita głosił: „Nie bawimy się w słowa, czyn naszem rzemiosłem". I w tym razie upodobanie Cavoura okazało się odmiennem od Bismarcka. Współbratymiec boskiego Danta zachwycał się eposem Mickiewicza i od-

---

[1]) *Sybel*: „Die Begründung des deutschen Reichs".

[2]) *Bismarck*: „Zwölf Jahre deutscher Politik" str. 352

czuwał brzemię żalu i tęsknoty, jakie tłoczyło duszę narodowego wieszcza[1]).

Może być jednak, że Bismarck miał i inne powody niechęci do poetów niemieckich. Znęcali się oni bowiem długo i uporczywie nad plejadą książąt niemieckich, nie szczędząc i Hohenzollernów. Bismarck, sławiąc Wilhelma I, powiada, że był królem w każdym calu (jeder Zoll ein König); zdaje się być to odpowiedzią na to, co Heine utrzymywał o jednym z Hohenzollernów, że jest czem innem w każdym calu (jeder Zoll ein Hengst). Z pamiętników Buscha o Bismarcku dowiedzieliśmy się, jaka chrześcijańska dusza tkwiła w żelaznym księciu. W jego własnych wspomnieniach nie odnajdujemy tego poczucia zupełnie, Bismarck niejednokrotnie czerpał wiedzę z greckiej krynicy Stagiryty, ale etyka polityczno-chrześcijańska, opierająca się na poczuciu sprawiedliwości, miłości bliźnich i poszanowaniu słabszych państw, pozostała mu obcą. Pamiętniki jego olśniewają nas wiedzą polityczną, przenikliwością, doświadczeniem i zdolnością, ale państwo, które z wspomnień Bismarcka wyziera i które jest jego dziełem i ideałem, przeraża nas ilością bagnetów i siłą wojsk, straszy pożądliwością dóbr doczesnych i wzbudza dreszcz zewnętrznym ładem i służbistością niemal pokorną obywatela. Potężne mocarstwo pamiętników Bismarcka mimo form konstytucyjnych przypomina jednak uporczywie „magnum latrocinium" świętego Augustyna, z którego duch sprawiedliwości chrześcijańskiej odleciał daleko. Nie ulega wątpliwości, że geniusz narodu niemieckiego potrafi przeistoczyć w przyszłości mocarstwo Bismarcka w szlachetnem i ludzkiem zrozumieniu rzeczy, ale dzieło potężne żelaznego kanclerza przedstawia się, jako „latrocinium Borussicum"; które, wprowadzając w czyn znaną, choć przerobioną dewizę:

„Tu regere imperio populos, Borusse, memento"[2]),

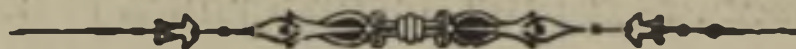
zapewniało społeczeństwu dokładny i surowy „Drill" i stawało się wygodną siedzibą i obiecaną ziemią tylko dla Prusaków, i to wyłącznie Bismarckowskiego pokroju.

A. Rembowski.

---

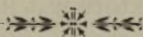
[1]) *Artom et Albert Blanc*: „Oeuvre parlamentaire du comte de Cavour" str. 60.

[2]) *Const. Frantz:* „Das neue Deutschland" str. 288. W drugiem dziele tegoż autora p. t. „Literarisch politische Aufsätze nebst einem Vorwort ueber die Verdienste des Fürsten Bismarck und einem Nachwort ueber die deutsche Politik" znajduje się wyborna krytyka działalności kanclerza.



SPRAWA TRANSVAALSKA.

Kartka z dziejów imperyalizmu.



I rzekł Achab król do Nabota mówiąc: daj mi winnicę twoją, abym miał z niej ogród dla jarzyn, albowiem blizką jest domu mego... I odpowiedział Nabot Achabowi: Nie daj tego, Panie, abym miał dać ci dziedzictwo ojców moich .. Potem przyszli dwaj mężowie przewrotni i usiedli przeciw niemu, i świadczyli przeciw niemu owi mężowie przewrotni, t. j. przeciw Nabotowi, przed ludem, mówiąc: Złorzeczył Nabot Bogu i królowi. I wywiedli go za miasto i ukamienowali go, i umarł... A tak usłyszawszy, Achab, że umarł Nabot, wstał a szedł do winnice Nabota Izraelity. aby ją posiadł.

Księgi Królewskie I roz. XXI.

Po setki razy powtórzyła się w historyi podbojów politycznych sprawa winnicy Nabota, której pożądał potężny przeciwnik, na każdej niemal karcie historyi dyplomacyi możemy odnaleźć onych mężów przewrotnych, co świadczyli przeciw tym, którym ojcowiznę odbierano. Obecnie powtarza się to wszystko, kiedy Achab-Chamberlain domaga się winnicy Nabota - Boera w Transvaalu. Nie powtórzymy przecież słów starego Ben-Akiby, gdy przytoczymy telegram Ruchera z dnia 11 października r. b.: „Dowiedziawszy

się o wybuchu wojny, przedstawiciele giełdy londyńskiej uszykowali się w pochód i poszli wyprawić owacyę panu Chamberlain. Po drodze śpiewano: „rule, rule Britania". Nie, tego jeszcze nie bywało! Giełda, śpiewająca pieśń zdobywców, to nowe, to *„fin de siècle"*. A symbol jest niezły: *„Rule Britania"* — panuj Brytanio, a nad tobą panujemy my, giełda Londynu, giełda świata! Lepiej scharakteryzować nie można tego okresu, który w historyi będzie nosił nazwę „imperyalizmu", a którego cechą jest podbój świata przez narody szczepu aryjskiego, podbój, którego pobudką jest jedynie zapewnienie sobie rynków zbytu, anneksya krajów z celem zaszczepienia w nich wyzysku kapitalistycznego. A ten imperyalizm dziś opanował nie tylko Anglię. Stany Zjednoczone wydzierają tangalom ich ojcowiznę, wyspy Filipińskie; Niemcy zagarniają, co mogą— szmaty ziemi w Afryce, wyspy Karolińskie; Francuzi dla bagniska w Faszodzie gotowi wszcząć wojnę wszechświatową, a w Chinach każde z mocarstw szarpie, ile może. Sprawa Transvaalu jest jednym z typowych epizodów tego imperyalizmu; warto przyjrzeć się bliżej tej pouczającej sprawie.

Europejczycy poznali Afrykę południową w wieku odkryć. W r. 1486 portugalczyk Diego Cao po raz pierwszy dotarł do zatoki Wielorybiej na wybrzeżu południowo-zachodniem, w rok później Bartolomeo Diaz okrążył południowy kraniec i wylądował przy ujściu rzeki Rybiej na wschodniem wybrzeżu. Król portugalski, Jan II, widząc w tych odkryciach ziszczone dawne swe marzenia znalezienia drogi do Indyi, nazwał przylądek afrykański „Przylądkiem Dobrej Nadziei". W r. 1497 Vasco da Gama rzeczywiście po tej drodze, odwiedziwszy wybrzeże wschodnie i nadawszy mu imię Natal (ponieważ spędził tam dzień narodzin Pańskich), dotarł do Indyi. Jednakże Portugalczycy nie zajęli trwałej pozycyi w ziemiach odkrytych, gdyż nie znaleźli tu złota. Zajęli natomiast wybrzeże wschodnie dalej ku północy, gdzie zetknęli się z Arabami, którzy oddawna toczyli tu boje zacięte o złoto, kość słoniową i niewolników murzyńskich. W XVI wieku Holendrzy występują, jako przemożni współzawodnicy Hiszpanów i Portugalczyków. W r. 1595 wylądowali oni po raz pierwszy na Przylądku i urządzili tu stacyę dla swoich statków, płynących do Indyi, skąd „holendersko-wschodnio-indyjska kompania" zwoziła drogocenne towary. Lecz dopiero, kiedy zaczęła się walka o supremacyę na oceanach pomiędzy Holandyą a Anglią, kompania wspomniana urządziła tu trwały posterunek, kierownikiem którego był van Rieber. W głąb zawsze jeszcze nie posuwano się. Dopiero około 1688 roku Simon van der Stell zapuścił się

lądem aż po brzegi Oranii. Odtąd kolonia zaczyna powoli rozwijać się. Koloniści ówcześni nie pamiętali bynajmniej o pięknej sentencyi „w pocie czoła będziesz spożywał chleb swój”, jakkolwiek klimat najzupełniej pozwalał na pracę fizyczną europejczyka; zajadali natomiast chleb obfity, który w krwawym pocie zdobywali ich niewolnicy. Popyt na niewolników był olbrzymi, nie tylko ujarzmiono tuziemców, lecz zwożono Murzynów z północnej Afryki i Malajczyków. John Barrow, który w końcu zeszłego roku zwiedzał przylądek, w dziele swojem (*Travels in the interior of Southern Africa*) opisał nam życie ówczesnych plantatorów i niewolników. Z jednej strony sybarytyzm, rozkiełznanie płciowe, z drugiej bezmierne cierpienia katowanych nieludzko ofiar. Ciekawy szczegół do tego wizerunku dodaje Levaillant (*Voyage dans l'interieur de l' Afrique*). Przybywszy — powiada on — na Przylądek Dobrej Nadziei, zdumiewamy się na widok mnóstwa niewolników o cerze tak białej, jak u europejczyków, których tu widzimy, pomimo że nigdy w tym kraju żaden człowiek o skórze białej nie był wtrącony w niewolę. Jakże to się stało? Stało się wskutek długiego szeregu gwałtów, dokonanych na niewolnicach przez ich panów. Przez zmieszanie krwi doszło do tego, że niewolnicy zbliżyli się rasowo do swych władców... Koloniści nie oswobadzają swych dzieci, jakie płodzą z niewolnicami, lecz zmuszają je tak samo do pracy, tak samo katują, tak samo handlują niemi, jak Etyopijczykami”. Oto obrazek, jak my, aryjczycy, niesiemy cywilizacyę w kraje zamorskie! Dziś jeszcze istnieją całe szczepy mieszańców w Afryce południowej, i z nich rekrutują się po części wyrobnicy w kopalniach złota i dyamentów.

Napływ europejczyków wzmagał się bezustannie: kilkaset rodzin hugonockich szukało tu przytułku, awanturnicy z całego świata przybywali do tej krainy obiecanej. Pomimo to wszakże rolnictwo nie zrobiło znacznych postępów. Koloniści wprawdzie nazywali siebie z holenderska „boerami”, t. j. rolnikami, lecz podstawą bytu ich były olbrzymie trzody, wypasane na stepach. Z trzodami i niewolnikami koczowali po kraju, rugując bez miłosierdzia tuziemców z zajmowanej siedziby, polując na nich, jak na zwierzynę, a do tego wytępienia Buszmanów i Hotentotów przyczyniła się jeszcze ospa, przywleczona przez Malajczyków, która ich dziesiątkowała. I tu, jak w Ameryce za czasów Cortezów i Pizarów powtarzały się barbarzyństwa, których wspomnienie grozę budzi. Szaty zmarłych na zarazę rzucano w pobliżu ferm, tam znajdowali je i zabierali tuziemcy, i po krótkim czasie całe szczepy ginęły od strasznej choroby.

W r. 1806 Anglicy zdobyli na Holendrach przylądek. Ludność podobno wynosiła w owym czasie około 10,000 europejczyków, 30 — 40,000 niewolników i do 20,000 tuziemców. Koloniści już za czasów holenderskich skarżyli się na zdzierstwa urzędników, gdyż Holandya, jak wszystkie wówczas państwa kolonialne, upatrywała w koloniach jedynie źródło dochodu dla skarbu, oraz dla urzędników; urzędy kolonialne były synekurami, najbardziej poszukiwanemi, ponieważ tu członkowie klasy panującej mogli wzbogacić się najszybciej. Po anneksyi przez Anglię skargi te nie ustawały. Lecz nienawiść do rządu angielskiego wybuchła z innych powodów. W roku 1833 rząd angielski pod naciskiem opinii publicznej postanowił znieść niewolnictwo we wszystkich koloniach angielskich, wynagradzając właścicieli pieniędzmi. W kolonii południowo-afrykańskiej liczono wówczas 36,000 niewolników, i fermerzy zażądali 3 milionów funtów sterlingów odszkodowania, sądząc się i wtedy jeszcze poszkodowanymi, gdyż w głowach ich nie mogło pomieścić się, że na Murzyna można patrzeć inaczej, jak na bydlę roboczę. Przyznano im tylko półtora miliona, i wtedy oburzenie nie znało już granic — fermerzy postanowili porzucić ziemię, nad którą panują tacy dziwacy złośliwi. Pomiędzy rokiem 1834 a 1836 10,000 kolonistów wywędrowało. Był to tak zwany wielki „treek", fakt najdonioślejszy w Afryce południowej. Jak widzimy, wówczas Anglicy byli prawdziwymi przedstawicielami kultury wobec kolonistów, zwolenników niewolnictwa.

Gromady owych „treekerów" pod wodzą obranego przewodnika z dobytkiem, poładowanym na olbrzymie wozy, ciągnione przez kilkanaście par wołów, z licznemi trzodami puszczały się w step bezbrzeżny i bezdrożny. Przez lata całe ludzie ci nie zaznali dachu nad głową, koczując z pastwiska na pastwisko, śród bezustannych walk z przyrodą i hordami tuziemców, których rugowali z siedzib. Niektóre z tych gromad zapuszczały się aż do posiadłości portugalskich nad zatoką Delagoa, inne doszły na północozachód, aż do zatoki Wielorybiej, gdzie dziś Niemcy założyli kolonię, niektóre znów zabrnęły aż nad wybrzeża Sofala. Jednakże tych wysuniętych naprzód posterunków boerzy utrzymać nie zdołali: jedni z nich wyginęli, inni cofnęli się ku południowi. Główna masa osiadła w kraju rozległym pomiędzy rzekami Oranje na południu, Vaal na północy, wybrzeżem oceanu Indyjskiego na wschód a pustynią Kalahari ku zachodowi. Przyszło im tu staczać ciężkie walki z plemieniem Matabele, które, wyrugowane z siedzib, pociągnęło ku północy, po za rzekę Limpopo.

Lecz z łap lwa brytańskiego wydostać się nie łatwo. Przedewszystkiem Anglicy po zaciętych bojach wyrugowali Boerów z Natalu, tem samem odcięli ich od brzegu morskiego, tamując w ten sposób z góry rozwój przyszłego państwa Boerów. Natal wcielono do kolonii angielskiej; w 1856 oddzielono tę kolonię od pierwotnej, dając jej zarząd odrębny. Jednakże i do kraju, zdobytego przez wychodźców na tuziemcach, rościli Anglicy pretensye. Doszło do krwawego starcia, Boerzy pod przewodnictwem Pretoriusa ponieśli porażkę od wodza wojsk angielskich Harry Smith. Nie poddali się wszakże, lecz pociągnęli dalej ku północy za Vaal. Lecz i tu nie dano im spokoju: Anglicy, nazwawszy kraje na północ od Oranii „British-Orange-River-Severeignity", uważali je za należące do korony angielskiej. Dopiero w r. 1852 Gladstone przyznał, że Anglia, „nie mogąc wywierać żadnego wpływu na kolonistów, nie powinna im przeszkadzać w utworzeniu ustroju państwowego". Wówczas więc Transvaal stał się rzecząpospolitą niezależną (traktat zawarty nad rzeką Piaskową — Sand-River), a w dwa lata później przyznano też niezależność kolonistom, zamieszkującym kraj pomiędzy Oranje a Transvaalem, z czego powstała druga rzeczpospolita — wolne państwo Oranje.

W ciężkich tych walkach dawny typ kolonisty holenderskiego, leniwego wyzyskiwacza niewolników, uledz musiał zmianie. Są tacy, którzy w Boerach chcą widzieć wszystkie cnoty patryarchów starego zakonu, i słów im nie starczy na wychwalenie wszystkich przymiotów tych „synów wolności". W bezstronnem oświetleniu rzecz inaczej się przedstawia. Typowy „Boer" jest prostakiem, który zżył się z warunkami surowego otoczenia, niewiele ma potrzeb i dlatego też niewiele pracuje; utrzymanie jego stanowią liczne trzody, których dozorują wyrobnicy tuziemcy (niewolnictwo zostało zniesione przy założeniu rzeczypospolitej) oraz prymitywna uprawa roli w bardzo szczupłych rozmiarach; zajęciem jego są polowania, dalekie przejażdżki do krewnych i kumów, z którymi po prostaczemu dysputuje o zawartości Pisma świętego, jedynej absolutnie księgi, którą zna, oraz podróże obozem do granic państwa, gdzie zbywa kupcom angielskim bydło, skóry, pióra strusie i zaopatruje się w żelazo, sukno, gorzałkę i t. p. Przy takim trybie życia wytwarza się bez wątpienia pewna „tężyzna", i kwitną niektóre cnoty ludów pierwotnych, jak np. gościnność. Jednakże Boer, przyjmując gościnnie każdego podróżnego, który przybywa konno, bez miłosierdzia zamyka drzwi przed pieszym wędrowcem, a więc gościnność stosuje tylko do ludzi równego mu stanu, co charakteryzuje cały sposób myślenia.

Upatrywanie w tem życiu surowem, nawpół barbarzyńskiem, jakiegoś ideału sielankowego jest absurdem, a wychwalanie „czystości obyczajów” tych gospodarzy stepu, którzy niby żyją ściśle według nauki pisma św. zdaje się próżną gadaniną. Jeden z bezstronnych obserwatorów, Niemiec Albrecht Wirbh, mówi: „Własnemi oczyma patrzałem w Transvaalu na sceny, które przypominały Juvenala”; tenże opowiada przykłady bezwzględnego wyzysku, gdzie Boer mógł skorzystać z niedoli bliźniego, i okpiwania w handlu, szczególnie końmi („Geschichte Südafrikas”). Od czasu pobudowania dróg żelaznych i eksploatacyi kopalń złota tryb życia znacznej części ludności uległ naturalnie rdzennym zmianom, o czem później.

Polityka pokojowa Gladstona nie tylko była zbawienną dla Boerów, lecz wydała również rezultaty, pomyślne dla kolonii angielskich w południowej Afryce, Capland'u i Natalu. Hasłem tej polityki kolonialnej było doprowadzić kolonie do takiego stanu, aby same sobie starczyć mogły. Gdy więc dawniej system zarządu był biurokratyczny, odtąd zaczęto zaprowadzać samorząd, ograniczać władzę gubernatorów.

Przedstawicielem rządu angielskiego jest „High Commissioner”, przebywający w Kapetown, który zarządza jednocześnie „ziemiami koronnemi” — Griqua-East, Basuto, Tembu, Bethsuana, Pondo. Capland obiera własny parlament, przed którym są odpowiedzialni ministrowie, jakkolwiek mianuje ich „commissioner”; stosownie do zwyczajów parlamentarnych Anglii, mogą oni być mianowani tylko zgodnie z większością w parlamencie. W Natalu istnieje również parlament, lecz czwartą część członków i ministrów mianuje rząd. Jednocześnie zmniejszono siłą zbrojną i wydatki na ten cel. Od niesienia pomocy pieniężnej dla celów produkcyjnych, jak budowa dróg żelaznych, melioracya portów i t. p. metropolia nie usuwała się. To też rolnictwo i handel rozwijał się pomyślnie, a przemysł i handel angielski przy takim stanie rzeczy większą, niż dawniej, osiągały korzyść z kolonii, dla potęgi zaś angielskiej politycznej samodzielna, bogata i lojalna kolonia ma większe znaczenie zapewne, niż kolonia, którą trzeba trzymać w karbach przemocą.

W 1867 roku zaszedł fakt, który miał wywołać zwrot w całej historyi południowej Afryki — znaleziono pierwszy dyament na gruntach farmera Niekerk w kraju Griqua, należącym do rzeczypospolitej Oranje. Rozpoczęła się wściekła pogoń za skarbami. Sępy poczuły ścierwo. Los tych poszukiwaczy szczęścia był nad wyraz ciężkim. Miejscowości, w których znaleziono dyamenty, leżały w głębi kraju pustego. dokąd trzeba było przybywać stepem bez-

ludnym 1,500 mil angielskich. Pomimo to wkrótce Griqualand zaludniły wkrótce tysiące awanturników. Powstała niebawem osada Kimberley, licząca 50,000 mieszkańców. Jednakże wkrótce okazało się, że na powierzchni dyamentów jest bardzo niewiele, natomiast odkryto na głębokości 100 metrów pokład piasku błękitnego, obfitującego w upragniony minerał. Oznaczało to, że produkcya jest zapewnioną, lecz biedacy, którzy przybyli w nadziei szybkiego zbogacenia się, musieli wyrzec się marzeń. Dla eksploatacyi tych pokładów trzeba było zakładać sztolnie, ustawiać maszyny, zaprowadzać pompy. W kraju, odciętym od świata, pozbawionym zarówno drzewa, jak węgla, tego rodzaju eksploatacyi można było podjąć się tylko przy znacznych kapitałach. Kapitały znalazły się oczywiście, i właściciele ich po kilku latach zostawali wielokrotnie milionerami. O obfitości skarbów zdobytych dają pojęcie cyfry następujące: dotąd znaleziono około 20 milionów karatów, t. j. blizko 4,000 kilogramów dyamentów, które reprezentują wartość 250 milionów rubli. Największy dyament, znaleziony dotąd w Kimberley, ważył 428 karatów. W roku 1878 odkryto jeszcze nowy pokład, zawierający dyamenty w Jagerfontain w rzeczypospolitej Oranje, gdzie dyamentów jest mniej, lecz większej wartości. Tu znaleziono w roku 1893 „Imperial", ważący 960 karatów (blizko 0,48 funtów), największy dotąd znany z dyamentów. Zakupiono go i złożono w darze Papieżowi. W ostatnich czasach produkcyę zmniejszono znacznie, gdyż cena dyamentów wskutek ogromnego zwiększenia podaży spadła. Wywóz roczny przedstawia obecnie wartość około 50 milionów rubli.

Od czasu więc odkrycia tych skarbów zaczyna się okres kapitalistyczny w Afryce południowej. Napływ ogromny gotówki, zapotrzebowanie żywności dla licznej ludności robotniczej, budowa dróg żelaznych do Kimberley przyczyniają się do rozwoju handlu; koloniści zaczynają bogacić się. Jednocześnie też zmieniają się stosunki polityczne. Dotąd panowała równość demokratyczna, jako skutek przybliżonej równości majątkowej, z rozpoczęciem eksploatacyi kopalń równość ta ginie. W krótkim czasie cała produkcya przechodzi w ręce siedmiu tylko ludzi, śród których najwybitniejszą osobistością jest — Cecil Rhodes, człowiek, uposażony we wszystkie instynkty drapieżne kapitalisty nowoczesnego, przytem człowiek niepospolitych zdolności. Człowiek ten stał się złym duchem Afryki południowej.—Już w normalnych warunkach posiadanie milionów zapewnia wpływ polityczny, cóż dopiero w takich warunkach, jakie wytworzyły się teraz w Afryce! Od właścicieli kopalń zależni są robotnicy, przekupnie, którzy dostarczają im przedmiotów bytu,

hurtownicy w portach, bankierzy, przedsiębiercy, dowożący towary od portu do miejsca zbytu.

W takich warunkach kapitalizmowi w produkcyi musiał odpowiadać mamonizm absolutny w politycznych stosunkach. Pierwszym krokiem politycznym, jaki uczynili Rhodes i kompania, było wydarcie kraju, w którym gospodarzyli, państwu, do którego należał prawnie. Rzeczpospolita Oranje bezsprzecznie miała prawa zwierzchnicze w kraju, i rząd angielski z początku nie protestował. Rhodesowi było to nie na rękę, gdyż w rzeczypospolitej nie mógł odegrać roli swojej. Znalazł się tedy jakiś nieborak kacyk tuziemny, który za kilkaset krów ustąpił Rhodesowi „swoich praw do kraju Griqua”. Rhodes z początku chciał utworzyć z tego kraju kolonię samoistną angielską, lecz w końcu uznał za stosowniejsze wcielenie takowego do kolonii Kapland. Rzeczypospolitej wypłacono odszkodowania 85,000 funtów sterlingów.

Dla politycznej karyery pana Rhodes nastały pomyślniejsze czasy, kiedy w Anglii Gladstone musiał ustąpić w roku 1874 Disraeli-Beaconsfield'owi. Nastała era „polityki wszechświatowej”: królowa angielska została „cesarzową Indyi”, potęga militarna została wzmożoną, na kolonie zapatrywano się jedynie z punktu widzenia „prestige'u” angielskiego. Panowanie Anglii nad światem, Anglia królową mórz przy pomocy swych posiadłości zamorskich—oto hasło nowe. Zarząd kolonii objął lord Carnarvon i łaknął działalności. Na pole popisów obrał sobie Afrykę południową. Od Kapstadtu do jeziora Njasa jedno wielkie państwo kolonialne pod zwierzchnictwem Anglii—oto cel zabiegów. Dla osiągnięcia tego celu należało zburzyć samodzielne rzeczypospolite i w tem przedsięwzięciu dążenia ministra Jej Królewskiej Mości były identyczne z dążeniami aferzystów: Afryka Południowa—politycznie narzędziem wzmocnienia potęgi brytańskiej, ekonomicznie olbrzymim folwarkiem dla wytwarzania nadwartości dla Rhodesów.

Z początku próbowano rzecz przeprowadzić pokojowo. Emisaryusze lorda Carnarvon udali się do Caplandu, Natalu, Transvaalu i Oranje, proponując utworzenie związku państwowego na wzór tego, jaki utworzył się był w Ameryce północnej z kolonii angielskich—Kanada, New-Brunswick, Nova-Scotia. W Natal, gdzie spodziewano się z takiego połączenia znacznych korzyści handlowych, na plany Carnarvona przystano chętnie, w Capland jednakże wpływy kapitalistów jeszcze nie były wówczas dostatecznie silnymi, obawiano się, że w razie urzeczywistnienia planu kolonia utraci po części samorząd, w Transvaal zaś i Oranje wydrwiono poprostu mądry

plan. Wtedy lord Carnarvon postanowił przemocą przeprowadzić swoje zamiary. Zdobyczą pierwszą miała być rzeczpospolita Transvaalska. Za powód wmieszania się Anglii w sprawy rzeczypospolitej posłużył strach przed Zulusami. Bezpieczeństwo Europejczyków wymaga, aby w Transvaalu potęga militarna Anglii trzymała na wodzy Zulusów. Był to śmieszny postulat, gdyż w bojach z tuziemcami armie regularne Anglii ponosiły częste porażki, Boerzy dzięki swej taktyce, lepiej zastosowanej do warunków, zawsze wychodzili obronną ręką. Lecz poczciwa „opinia publiczna”, która zawsze prawie wydaje wyroki bez znajomości rzeczy, uznała pozór za słuszny i pochwalała plan szlachetnego lorda, obrońcy rodaków w Capland. W roku 1876 niejaki Shepstone został wysłany do Transvaalu. Oficyalne polecenie brzmiało: porozumieć się z rządem rzeczypospolitej, jakich środków zamierza się chwycić dla ochrony przeciw tuziemcom, gdyż wówczas właśnie toczono walkę z Kaframi; tajna zaś instrukcya polecała wysondowanie gruntu, czy i w jaki sposób można zagarnąć kraje rzeczypospolitej pod władzę rządu Jej Królewskiej Mości. Czcigodny poseł znalazł położenie rzeczywiście dogodne. Wprawdzie z Kaframi rzeczpospolita zawarła już była pokój, kiedy przybył do Pretoryi, lecz wewnątrz kraju był nieład, spowodowany po części niechęcią Boerów ku prezydentowi Buergerowi, który gorączkowo usiłował wprowadzać reformy, poczęści wskutek wichrzeń garstki miejscowej ludności, która, ciągnąc korzyści z handlu z kopalniami Rhodesa, rzeczywiście nie była od tego, aby plan związku państw afrykańskich doszedł do skutku, gdyż wtedy ustałyby cła wwozowe i wywozowe. Z iście brytańskim sprytem politycznym pan Shepstone skorzystał z położenia i pomimo szczuplutkiej siły zbrojnej—25 policyantów, którzy mu towarzyszyli, niby dla niepewności dróg w ziemiach transvaalskich—ogłosił dnia 12 kwietnia 1877 roku orędzie, mocą którego rzeczpospolita przesła pod protektorat angielski. Zdemoralizowana ludność miejska—Pretorya liczyła wówczas około 2,000 mieszkańców—nie stawiła oporu, Boerzy, rozproszeni na farmach, nie wiedzieli nawet, co się dzieje, i miesiące upłynęły, zanim ich doszła wieść o tem; rząd rzeczypospolitej nie mógł uczynić nic prócz ogłoszenia prostetu. Gra była niebezpieczna, lecz została wygraną. Gdyby Boerzy byli wypędzili zacnego parlamentaryusza, prawdopodobnie wypartoby się go w Londynie; ponieważ krok jego pomyślnym został uwieńczony skutkiem, oświadczono w Londynie, że, skoro ludność Transvaalu pragnie zażywać błogosławieństw cywilizacyi brytańskiej, rząd Jej Królewskiej Mości chętnie opieki swej udziela. Rząd rzeczypospo-

litej wysłało do Londynu deputacyę — Krüger, obecny prezydent i doktór Jorissen, doradca rządu w kwestyach prawnych,—zbyto ich niczem; lord Carnarvon udawał niewinnego, liberali oświadczyli, że przy takim stanie rzeczy dopomódz nie mogą. Odtąd zaczęła się cicha, lecz skuteczna agitacya patryotów w kraju — Boerzy zaczęli przemyśliwać nad zrzuceniem jarzma angielskiego. Odbywały się zjazdy i narady, o których gubernator w Pretoryi dowiedział się dopiero, gdy już wszystko było gotowe.

Pierwsza otwarta demonstracya miała miejsce w lutym roku 1879: „Her Majesty High Commissioner“, Sir Bartle Frire miał odwiedzić kraj annektowany; pięć tysięcy zbrojnych Boerów zebrało się konno, aby go przywitać. Sir Bartle Frire, dowiedziawszy się o tem, zwlekał, podróżował powoli, sześć tygodni ciągnął od granic Natalu ku Pretoryi — znudzi im się, rozjadą się. Nie znudziło się! Przez sześć tygodni obozowali w stepie. Sir Frire posłał gońca: jest zmęczony i deputacyi nie przyjmie. Odpowiedziano mu: naród Transvaalu czekał długo, lecz zmęczonym się nie czuje. Pojechał tedy do obozu. W dwa szeregi uszykowani Boerzy czekali przy drodze, za nimi obóz ogromny; stali w milczeniu bez broni; komisarz przybył, wjechał pomiędzy szeregi, kłaniał się na prawo i na lewo—milczenie, nikt nie poruszył się, nikt głową nie skinął! Krwawszej obelgi wyrządzić nie można było przedstawicielowi Jej Królewskiej Mości [1]). Później Sir Frire zgodzić się musiał na przyjęcie deputacyi, która oświadczyła mu tylko: „nie poddamy się aneksyi; sir Shepstone oszukał rząd brytański i ku wiecznej hańbie groził, że wznieci przeciw nam napad Kafrów i Zulusów“. Komisarz przyznał wtedy, że informowano go mylnie, zapewniając o zupełnej uległości kraju. Oświadczył jednocześnie, że osobiście widzi w aneksyi krok zbawienny i nie może polecić swojemu rządowi cofnięcia, lecz gotów jest przyjąć zażalenia ludności i przedstawić takowe w Londynie. Gdyby miał artyleryę, przyznał to później w pamiętniku, byłby skartaczował Boerów. A jednak Bartle Frire był najprzyzwoitszym z urzędników angielskich, z którymi transvaalczycy mieli do czynienia!

Zażalenia posłano do Londynu, lecz skutek był tenże co deputacyi. 12 grudnia 1879 roku, w rocznicę pierwszego zwycięstwa

[1]) Scenę tę opisał d-r E. J. P. Jorissen we „Wspomnieniach z Transvalu 1876--1896“ (wydane po holendersku i po niemiecku): książką jego, pisaną po mistrzowsku i względnie objektywnie, posługujemy się przy opisie walki Boerów o niepodległość.

nad tuziemcami po „wielkim treeku" zebrali się znów Boerzy w liczbie 6,000, postawiono rządowi ultimatum — cofnięcie anneksyi lub walka. Sir Wolseley, naczelnik siły zbrojnej i gubernator Transvaalu, na ultimatum odpowiedział tem, że dwu posłów z obozu kazał uwięzić. Walka zdawała się nieuniknioną.

Tymczasem w Anglii karkołomna polityka gabinetu Beaconsfielda utraciła popularność: w roku 1880 Gladstone na nowo objął rządy. W Transvaalu oczekiwano zmiany na lepsze, jednakże nadzieje nie ziściły się. Przedstawiciele rządu w Transvaalu, jak w Capland, oświadczali, że pomimo protestów spokój nie zostanie zakłóconym w rzeczypospolitej, że ludność powoli przywyka do formy administracyi angielskiej, a na dowód przytaczano, że podatki są opłacane coraz regularniej. Wobec tego nie było mowy o cofnięciu anneksyi. Tymczasem, ironia losu jest nieubłagana — właśnie ściąganie podatków w kilka miesięcy później spowodowało wybuch. Zafantowano wóz i woły jednego z kolonistów, który zalegał w podatkach; gdy miała odbyć się licytacya, gromada zbrojnych pod wodzą Cronji zjechała do osady; zabrała wóz, wypędziła komornika. To było hasłem do powstania. W grudniu 1880 roku Krüger zwołał zebranie zbrojnych, przybyło 10,000. Znów posłano ultimatum do administratora Transvaalu, lecz jednocześnie wyznaczono rząd tymczasowy — Krüger, Joubert i Jorissac — i rozpoczęli kroki wojenne. Boerzy postanowili możliwie unikać przelewu krwi. Otoczono poprostu słabe załogi angielskie żelaznym pierścieniem w miejscu postoju, siły zaś zbrojne skierowano ku granicy, aby odeprzeć wtargnięcie armii angielskiej. Na szczęście granica Transvaalu od zachodu była bezpieczną o tyle, że, dopóki nie istniała droga żelazna, armia angielska miałaby do przebycia od portów 1500 mil angielskich stepem, granica od południa była bezpieczną, gdyż wojska nie mogły przekroczyć terrytoryum rzeczypospolitej Oranje. Bronić więc należało tylko granicy od strony Natalu, gdzie obronę ułatwia pasmo stromych gór. Tu odbyły się trzy walne rozprawy, w których pobito Anglików na głowę i 20 stycznia odparto ich, kiedy usiłowali forsować drogę przez Laings Nek, 6 lutego na brzegu rzeki Ingogo, 27 lutego na górze Amajuba. Ostatnia bitwa jest szczególnie pamiętną. Anglikami dowodził sir Colley, zasłużony i doświadczony oficer. Po bitwie pod Laing' Nek postanowiono go usunąć i wysłano generała Wood dla objęcia komendy. Wtedy Colley postanowił za jaką bądź cenę odnieść zwycięstwo, zanim przybędzie następca. Boerzy, jak zwykle, rozłożyli się byli ogromnym obozem, nad obozem tym panowała stroma góra; i Colley postanowił tam zatoczyć ar-

maty,co musiało, jak mniemał, rozstrzygnąć rozprawę na jego korzyść, gdyż Boerzy byliby zmuszeni atakować górę albo dopuścić do przejścia przez szczyty gór dalszych, tem samem przekroczenia granicy. Po niesłychanych trudach zatoczono rzeczywiście działa na Amajuba; o czem wnet doniesiono do Natal, skąd telegramy doniosły wieść radosną do Londynu. Dziennikarze swoim zwyczajem dodali nieco upiększenia do tej wiadomości, i 27 lutego w Londynie rozlepiano plakaty, donoszące o świetnem zwycięstwie: Colley z wierzchołka Amajuba skartaczował obóz Boerów, granica otwarta, zwycięstwo zupełne! Illuminowano pomnik Wellingtona, Albion tryumfował! Przedwcześnie. Boerzy wnet dostrzegli ruch nieprzyjaciela; zawezwano ochotników do ataku. Było to szaleństwem niemal atakować pozycyę na górze stromej, obsadzonej działami, i to atakować ludźmi, przywykłymi walczyć tylko w obronnej pozycyi, gdyż taką jest taktyka Boerów przeciw hordom tuziemców. Jednakże atak został dokonany i uwieńczony skutkiem: stoki góry były tak strome, że działa nie mogły być skierowane na atakujących, wdarli się oni na szczyt i tu z za głazów otaczających niechybnymi strzałami razili Anglików; ci cofnęli się w popłochu, zostawiając działa na zdobycz Boerom. Colley poległ.

Bitwa ta rozstrzygnęła o losie Transvaalu. Wprawdzie Wood i część urzędników kolonialnych obstawali za walką, zdaniem ich „honor Anglii" domagał się odwetu, a świeże mięso armatnie w Anglii jest tanie. Lecz Gladstone odrzucił te rady i zawarł pokój; powrócił Transvaalczykom wolność. Widział, że wystawia się na napaści zajadłe całego tłumu szowinistycznego, począwszy od torysowskich lordów, kończąc na gawiedzi londyńskiej, lecz nie cofnął się.

Pokój zawarty przywracał Transvaalczykom kraj w dawnych granicach i zapewniał im swobodę. Pozostało jedynie formalne zwierzchnictwo Anglii nad rzecząpospolitą. To zwierzchnictwo praktycznego znaczenia nie miało, celem jego było prawdopodobnie uspokojenie dumy brytańskiej—Anglia góruje nad rzecząpospolitą. Rządowi rzeczypospolitej zależeć wszakże musiało na usunięciu nawet tego pozoru zwierzchnictwa angielskiego, i rzeczywiście w roku 1884 został zawarty pomiędzy rzecząpospolitą a Anglią traktat, w którym i ten stosunek uległ modyfikacyi. W traktacie tym niema już ani słowa o zwierzchnictwie, pozostał jedynie paragraf o stosunku rzeczypospolitej do mocarstw innych, który obecnie stał się spornym i który dlatego przytaczamy w możliwie dokładnem tłómaczeniu; brzmi tak: „§ 4. Południowo-afrykańska

rzeczpospolita [1]) nie zawrze żadnego układu z jakiemkolwiek państwem lub narodem, z wyjątkiem rzeczypospolitej Oranje, ani z żadnem plemieniem tubylczem na wschodzie lub zachodzie rzeczypospolitej, o ile układ taki nie zyska aprobaty rządu Jej Królewskiej Mości. Zezwolenie takie uważa się za istniejące, o ile rząd Jej Królewskiej Mości w terminie sześciomiesięcznym po otrzymaniu kopii takiego układu (która powinna być dostarczoną temuż rządowi bezzwłocznie po zawarciu układu) nie orzeknie, że zawarcie takiego układu nie zgadza się z interesami Wielkiej Brytanii lub jednej z posiadłości południowo-afrykańskich Jej Królewskiej Mości".

Zapewne nie znajdzie się żaden bezstronny znawca prawa narodów, któryby na zasadzie tego paragrafu przyznał, że rzeczpospolita zestaje pod zwierzchnictwem Anglii, że Anglia jest jej „suzerenem". Jeżeli zaś teraz pan Chamberlain obstaje przy tem, że stosunek taki istnieje, jeżeli odmówił poruczenie rozstrzygnięcia kwestyi spornych sądowi polubownemu na tej zasadzie, że suzeren nie może w stosunku z dependycą poddać się sądowi, jeżeli z kwestyi tej uczyniono powód wojny, to motywy tego są jasne. Pan Chamberlain szuka pretekstu do wtrącenia się w sprawy wewnętrzne rzeczypospolitej, czego właśnie zabrania najzupełniej wyraźnie tem sam traktat, na który się tu powołuje. Poprostu — mąż przewrotny świadczy przeciw Nabotowi, ponieważ chodzi o winnicę Nabota.

Winnica zaś nabrała od czasu konwencyi z roku 1884 wartości nadzwyczajnej — w roku 1886 znaleziono w Witwatersrand na południu Transvaalu złoto. Wprawdzie znajdowano już dawniej złoto w górach na wschodzie rzeczypospolitej, lecz rozsypiska te były nie bardzo wydajne. W Witwatersrand rzecz przedstawia się zupełnie inaczej: na powierzchni ziemi znaleziono złota bardzo niewiele, natomiast w skałach są zawarte żyły tak wydajne, jakich dotąd nie znano zgoła. W roku 1897 produkcya złota na całej kuli ziemskiej wynosiła 357,364 kilogramów; blizko trzecią część tej ilości, bo przeszło 100,000 kg., dostarczył Transvaal. Przytem wydajność rozsypisk złotych, znajdowanych w pokładach alluwialnych wyczerpuje się szybko, co dało powód do obaw, że wkrótce zbraknie wogóle złota na potrzeby monetarne i na tym argumencie bimetaliści oparli swoją teoryę. Tymczasem wydajność kopalni w Rand zdaniem znawców jest bezgraniczna niemal, i kwestya produkcyi złota sprowadza

[1]) Tak brzmi oficyalna nazwa. W tekście użyliśmy pomimo to nazwy Transvaal, jako więcej utartej.

się poprostu do kwestyi kosztów produkcyi. Produkcya rzeczywiście wzrasta bezustannie. Wartość jej dosięga cyfr olbrzymich: w roku 1898 wartość ogólna produkcyi złota dosięga 57 milionów funtów sterlingów, wartość produkcyi Transvaalu 16,24 milionów. Od roku 1886 do 1898 wywieziono złota na sumę 70,23 milionów funtów sterlingów (blisko 500 milionów rubli). Przeciętnie z 1000 kilogramów kamienia wydobywa się 14 gramów metalu, (w kalifornijskich kopalniach tylko 3 gramy); pomimo to produkcya jest kosztowna, gdyż złotonośne żyły leżą głęboko — 100 do 300 metrów pod powierzchnią, a płaca robocza jest bardzo wysoką z powodu wysokich cen żywności. Jednakże zyski są olbrzymie, i dywidendy, wypłacone w roku 1898, dosięgają 5 milionów funt. st., przyczem naturalnie lwia część zysków nie wlicza się w dywidendę, lecz zostaje zapisaną na kapitał rezerwowy, tantyemy i t. p. Podobnie, jak przy dyamentach w Kimberley, tłum poszukiwaczy skarbów, który napłynął do Johanisburg, osady w pobliżu kopalń, zawiódł się w nadziejach, gdyż produkować złoto można było jedynie z nakładem bardzo znacznego kapitału. To też wnet cała produkcya przeszła w ręce towarzystw akcyjnych. Akcyami tych towarzystw rozpoczęto oczywiście spekulacyę szaloną, której siedliskiem stały się giełdy w Londynie i Paryżu. Gorączka złota ogarnęła tłumy i, jak zwykle w takich razach bywa, tłum graczów, lokujących drobne oszczędności w tych akcyach, prędzej czy później tracił, wielcy kapitaliści, będący w stanie w każdej chwili kupować i sprzedawać nieograniczone prawie ilości akcyi i posiadający możność informować się dokładnie spekulowali, na pewne. To też, jeżeli dywidendy wynosiły miliony, to zyski, odnoszone przez owych różnowładców na handlu akcyami, wynosiły setki milionów. Zakład kopalniany złota w Witwatersrand staje się jednocześnie pompą ssącą, która wydobywa setki milionów z kieszeni drobnych spekulantów i rzuca je w kieszenie Rhodesów i spółki. Spekulacya tego rodzaju prócz tego, że bogaci owych możnowładców, umożliwia też nader szybką koncentracyę, przyczem szemat przebiegu sprawy jest taki. Zawiązuje się towarzystwo akcyjne dla eksploatacyi nowej kopalni, przy jakiej takiej zręczności założycieli akcye idą szybko w górę, do tego stopnia szybko, że dywidenda, jaką może dać przedsiębiorstwo, nie stoi w żadnym stosunku do wysokości kursu: nabywcy kupili akcye po kursie 300%, kopalnia daje zysku 10%, więc posiadacz akcyi pobiera procent mniejszy, niż, gdyby kupił listy zastawne, wtedy kurs musi spaść, towarzystwo utraca kredyt, na którym operacya była oparta. Temu trzeba zapobiedz, a najlepszym środkiem—zakupywanie no-

wych przestrzeni, o których wydajności można pleść duby smalone właścicielom akcyi, episerom paryskim. Jeżeli założyciele rzeczywiście posiadają kapitały tak znaczne, że mogą przetrzymać te burzliwe czasy, wszystko zakończy się dla nich pomyślnie. Kurs akcyi może i wtedy jeszcze spaść wskutek kryzysu pieniężnego w Paryżu lub Londynie lub wskutek jakichkolwiek innych politycznych czy ekonomicznych zawikłań, lecz założyciele, którzy przy coraz nowych emisyach zarabiali sumy ogromne, już wtedy są bezpieczni — wznieśli cudzemi pieniędzmi i ugruntowali przedsiębiorstwo, które daje pewną dywidendę. Inna rzecz, jeżeli zasoby pierwszych założycieli nie wystarczą, wówczas przy pierwszem „run” na giełdzie, przy pierwszym spadku kursu akcyi, utraciwszy kredyt, muszą likwidować—zostają pożarci przez silniejszych. W ten sposób cały prawie obszar złotonośny Witwatersrandu przeszedł w ręce pięciu grup kapitalistycznych, działających wspólnie, których reprezentantami są Rhodes, Barnato, Beit-Eckstein i Robinson.

Sprawa ta o tyle posiada doniosłość polityczną, że panu Cecil Rhodes dla ostatecznego „skonsolidowania interesu” w roku 1896 trzeba było za jakąkolwiekbądź cenę zawichrzeń politycznych, któreby spowodowały spadek akcyi tych przedsiębiorstw, które mu dotąd stawiły opór, a to było przyczyną zbójeckiego napadu Jamsona na rzeczpospolitą! Po tym zamachu rozbójniczym Rhodes stał się absolutnym panem sytuacyi w Witwatersrand.

(d. n.) *Dr. J. B. Marchlewski.*



KRONIKA EKONOMICZNA.

Ożywienie produkcyi przemysłowej i powody tego ożywienia.—Wywóz i przywóz najważniejszych państw przemysłowych w pierwszem półroczu 1899.—Produkcya żelaza w roku 1898.—Napięcie stosunków na rynku pieniężnym.—Urodzaje pszenicy w roku 1899.

Zadaniem kroniki naszej ma być informowanie czytelników o najdonioślejszych zjawiskach, zachodzących na polu działalności ekonomicznej, o przebiegu spraw na „rynku wszechświatowym".

Charakterystyczną cechą współczesnej fazy rozwoju stosunków społeczno-ekonomicznych jest zależność wzajemna przebiegu zjawisk ekonomicznych we wszystkich krajach. We wszystkich krajach—gdyż dziś „świat cywilizowany" oddziaływa na kraje, które do niedawna interesowały tylko uczonych geografów i podróżników. Weźmy do ręki pierwszy lepszy biuletyn giełdy londyńskiej lub paryskiej, a znajdziemy tam obok sprawozdań o kursie akcyi kopalń w Cornwales lub w Valenciennes sprawozdanie o urodzaju pszenicy w Stanach Zjednoczonych i Syberyi, Indyach, Australii i Argentynie, o urodzaju bawełny w Carolinie, Bucharze, Egipcie, o wydajności kopalń złota w Transvaalu, Kalifornii i Syberyi, o kursie akcyi dróg żelaznych w Chinach, Japonii, w południowej Afryce i Brazylii. Sprawy zaś, któremi interesują się bankierzy w City londyńskiej, bardzo dotkliwie odbijają się częstokroć na położeniu tych, którzy do ceduły giełdowej nie zaglądają, lecz tem niemniej są zależni od spraw, o których ona głosi. Dziedzic „Wólki zapadłej"

przekonał się o tem w sposób dotkliwy, kiedy pszenica przestała płacić wskutek dowozu z Ameryki, tkacz łódzki nieraz już skazanym był na przymusowe bezrobocie, ponieważ fabrykantowi zabrakło bawełny z powodu nieurodzaju w Carolinie. Jakimże anachronizmem śmiesznym wobec tego jest termin „ekonomia narodowa" używany dotąd przez ekonomistów niemieckich! Pomimo różnicy monet, pomimo granic celnych i sztucznych taryf kolejowych świat cały jest jednym tylko olbrzymim „układem ekonomicznym", niezmiernie skomplikowanym i zależnym od działania sił olbrzymich. Zarówno, jak potęgi żywiołowe, te siły ekonomiczne są źródłem życia i szczęścia, lecz, jak one, niosą niekiedy klęski i zniszczenie. Ożywczy pasat staje się wściekłym tajfunem niekiedy, postrachem żeglarza; wzrost produkcyi towarowej doprowadza do przesilenia ekonomicznego, ktore staje się przyczyną ruiny ekonomicznej tysięcy i setek tysięcy ludzi. My, synowie wieku, możemy dumni być ze swego dzieła—podbiliśmy światy nowe, pobudziliśmy siły wytwórcze, o jakich się praojcom nie śniło, lecz, jak ów czarodziej, co wywoławszy duchy, zażegnać ich nie umiał, dotąd jesteśmy niewolnikami bezsilnymi owych sił ekonomicznych, jesteśmy skazani na bezsilne szamotanie się wobec peryodycznych, nieuniknionych katastrof ekonomicznych, a im większym jest obszar, na którym siły te działają, tem straszniejszą też jest ich potęga niszcząca.

Znajomość zjawisk ekonomicznych już dla tego jest obowiązkiem każdego intelligentnego człowieka, każdego, kto czuje się obywatelem świata, chce brać udział w szczęściu i niedoli ludzkości, że owe zjawiska są źródłem najważniejszych zjawisk, które bezpośrednio nas interesują—zjawisk politycznych i społecznych. Tymczasem niema, rzec można, dziedziny, w której stosunki zmieniałyby się tak radykalnie i z taką zawrotną szybkością, jak dziedzina zjawisk ekonomicznych, a przyznajemy chętnie, niema też dziedziny, w której śledzenie przebiegu tych zmian byłoby trudniejszem. Materyał statystyczny wzrasta niepomiernie, lecz materyał to surowy, rozsiany po setkach wydawnictw. Opracowanie tego materyału jest zadaniem specyalnych pism fachowych, lecz zadanie to bywa dotąd spełnione w sposób niedostateczny, czego powodem głównym jest chaos, jaki zawsze jeszcze panuje w nauce ekonomicznej. Jeżeli więc już dla specyalisty trudno jest opanować te materyały, zdawać sobie sprawę dokładną z położenia, to niespecyalista nie ma prawie możności informowania się chociażby w najogólniejszych zarysach

Starać się tedy będziemy informować w tej kronice w sposób zwięzły i możliwie jasny naszych czytelników o zjawiskach najbardziej doniosłych ogólniejszego charakteru.

Ogólną sytuacyę na rynku wszechświatowym od lat kilku cechuje pomyślny stan interesów, pełny rozkwit przemysłowo-handlowy, który spowodował nawet chwilowy zwrot ku lepszemu dla producentów rolniczych. Zwrot ten ku lepszemu nastąpił w roku 1894 po długiej, uporczywej, paraliżującej stagnacyi. Przez dwa prawie dziesięciolecia ta stagnacya ciążyła na produkcyi. Zdarzały się wprawdzie w tym okresie to w tym, to owym kraju zwroty ku lepszemu, spowodowane lokalnemi, bądź czysto ekonomicznemi, bądź politycznemi okolicznościami, lecz skutek jest zawsze taki, jak po krótkiej ulewie w czasie spieki letniej, kiedy wysuszona ziemia wchłania bez śladu niemal wilgoć ożywczą—siły ekonomiczne rozwijają się w tych wypadkach z szybkością ogromną, produkcya zalewa rynek miejscowy towarami, po krótkim czasie następuje przesilenie, i znów stagnacya trwa lata całe. Obecne zaś ożywienie różni się tem, że jest powszechnem, we wszystkich niemal krajach występuje jednocześnie i trwa już lat blizko pięć,—termin, od którego producenci już odwykli. Jakie były przyczyny tego zwrotu? Odpowiedź wyczerpująca zajęłaby wiele bardzo miejsca, musimy tedy ograniczyć się sumarycznem wyliczeniem głównych momentów. 1) Długoletnia stagnacya spowodowała zmniejszenie stopy zysku i stopy procentowej, czego dowodem naocznym jest łatwość, z jaką prawie we wszystkich państwach przeprowadzono konwersyę pożyczek państwowych. W żargonie giełdy wyrażają to twierdzeniem: „pieniądze staniały”. W rzeczywistości zjawisko to sprowadza się do tego, że część wytworzonej nadwartości, przypadająca w udziale właścicielom kapitałów, zmniejsza się, producenci właściwi otrzymują kredyt na warunkach dogodnych w chwili, kiedy kredytu tego zapotrzebują do rozwinięcia produkcyi. 2) Wobec utrudnionych warunków zbytu na rynku towarowym ogromna liczba drobnych przedsiębiorców musiała kapitulować, zaniechać wytwarzania; w czasie stagnacyi nastąpiła bardzo znaczna koncentracya w produkcyi przemysłowej i w przedsiębiorstwach handlowych. 3) Utrudnione warunki zbytu zmusiły wielkich producentów do zaniechania po części zabójczej walki konkurencyjnej i połączenia się w olbrzymie syndykaty. Przyczyniło się to do wzmożenia sprawności ekonomicznej w kierunku natychmiastowego wyzyskania każdej dogodnej

koniunktury, gdy taka nastąpiła. Koniunktury zaś takie zostały wytworzone w skutek zjawisk następujących. 1) Wojna celna pomiędzy Europą zachodnią, nakładająca cła wwozowe na zboże amerykańskie, a Stanami Zjednoczonymi, nakładającymi cła na wytwory, stała się pobudką do bajecznie szybkiego rozwoju przemysłowego w St. Zjednoczonych. 2) Olbrzymie państwo rossyjskie, wskutek konkurencyi zbożowej krajów zamorskich zostało z konieczności pchnięte na drogę rozwoju przemysłowego. Zarówno Stany Zjednoczone, jak Rossya, z czasem staną się współzawodnikami państw przemysłowych Zachodniej Europy; Stany Zjednoczone już dziś nawet zagrażają konkurencyą Anglii, Francyi i Niemcom na rynkach zamorskich. Jednakże na razie oba te kraje, budując drogi żelazne i fabryki, wystąpiły z niebywałym dotąd popytem na wytwory przemysłu, przedewszystkiem przemysłu żelaznego. 3) Jednocześnie utworzyły się bardzo poważne rynki odbytu w krajach zamorskich. Chiny wskutek wojny z Japonią zostały przemocą wtrącone w wir kapitalistyczny, gdyż musiały czynić koncesyę po koncesyi handlowi państw europejskich; w Japonii nastało to samo, co w Niemczech po roku 1870/71: zwycięstwo na polu wojny wywołało ożywienie w produkcyi handlu. Kraje Ameryki południowej i Australia, dostarczając Europie zboża, wełny i mięsa, wystąpiły z popytem na wyroby przemysłu. 4) Ogromny wzrost produkcyi złota, jaki nastąpił wskutek odkrycia kopalń Transvaalskich, przyczynił się do ożywienia obiegu towarowego wogóle, prócz tego ogromny obszar Afryki południowej wskutek wzrostu ruchu handlowego, wskutek napływu ludzi, stał się pokaźnym rynkiem zbytu. 5) Postępy chemii stosowanej, elektrotechniki w ostatniem dziesięcioleciu spowodowały powstanie nowych zupełnie gałęzi przemysłu. 6) Ogromne postępy w technice wojennej i obszerne zbrojenia, a szczególniej nader intensywne powiększanie sił zbrojnych na morzu w ostatniem dziesięcioleciu (wartość okrętów wojennych za wyłączeniem statków torpedowych w Anglii wynosiła w r. 1887 — 370,000,000 funtów sterlingów, w r. 1897 — 922,000,000, i w podobnym stosunku wzrosła liczba i wartość tych strasznych machin w Niemczech, Francyi i Rossyi), — przyczyniły się bez wątpienia do ożywienia produkcyi najważniejszej gałęzi przemysłu — przemysłu żelaznego, jakkolwiek wydatki olbrzymie, ponoszone w tym celu, ciężkiem brzemieniem ciążą na ludności opodatkowanej.

Te więc czynniki wywołały ogólny rozkwit w przemyśle i handlu, spowodowały, że sytuacya na rynku wszechświatowym uległa zmianie. Gdy przed kilku laty korespondenci, donoszący o ogólnym

ustroju giełdy, używali aż nadto często smętnych zwrotów, jak: „usposobienie słabe”, „ogólna tendencya zniżkowa”, „przy cenach zniżkowych brak zupełny nabywców”, obecnie śpiewają na inną nutę; giełda jest co się zowie „en vogue”. Oczywiście nie znaczy to, że interesy przedsiębiorców we wszystkich gałęziach wytworczości idą świetnie. Tak np., przemysł bawełniany Anglii, który niegdyś nadawał ton całemu nastrojowi, dziś pomimo ogólnej świetnej koniunktury nie znajduje odbytu na swoje towary. Podobnie przemysł jedwabniczy Francyi, pończoszniczy Saksonii. Powodem tego jest, że kraje, które dawniej były odbiorcami na te wyroby, a przedewszystkiem Stany Zjednoczone i Rossya, rozwinęły już dziś u siebie znaczną produkcyę w tym kiernnku. Lecz to nie zmienia ogólnej sytuacyi.

Najlepszym, acz niezupełnie dokładnym miernikiem ożywienia produkcyi i handlu są cyfry wywozu i przywozu towarów. Z cyfr, opublikowanych za pierwsze półrocze wynika, że rok 1899 pod tym względem dał świetne rezultaty, gdyż cyfry przewyższają cyfry za pierwsze półrocze roku ubiegłego, który był już uważany za nader pomyślny. Pouczają o tem cyfry tablicy następującej, w której podajemy wartość przywozu i wywozu za pierwsze półrocze w roku 1898 i 1899 w Anglii, Francyi i Niemczech, a dla Stanów Zjednoczonych, gdzie rok fiskalny kończy się 30 czerwca, za lata 1897/8 i 1898/99. Wartości są podane w milionach funtów sterlingów, franków, marek i dolarów.

	wartość przywozu		wzrost 0%	wartość wywozu		wzrost 0%	wartość handlu zewnętrznego (przywozu i wywozu)		wzrost 0%
	1898	1899		1898	1899		1898	1899	
Anglia . . .	236,1	236.7	0,25	112,4	126,5	12.5	348,5	363,2	4.2
Francya . .	2341,8	2168.3	—6.6	1686,4	1854,1	9,9	4028,2	4040,4	0.3
Niemcy . . .	2493,9	2547,6	7.2	1789,6	1912.8	12.4	4283,5	4460.4	4,1
Stany Zjed. .	616.0	697.1	11.6	1231.5	1227.4	—0,3	1847,5	1924,5	4,2

Już same te cyfry wykazują ogólny rozwój dalszy handlu międzynarodowego, gdyż kraje, tu wyliczone, stoją na czele ruchu handlowego. Dla dokładniejszego zoryentowania się w sytuacyi, należy zapuścić się w dalsze szczegóły. W Anglii wartość wywozu wzrosła najwięcej; głównie przyczyniły się do tego pozycye następujące: węgiel, żelazo, stal, maszyny i okręty. Opublikowano też już cyfry trzeciego kwartału, i te wykazują dalszy szybki wzrost wywozu i w porównaniu z rokiem zeszłym wzrost ten w pierwszych dziewięciu miesiącach wynosi 21,6 milionów funtów sterlingów. Pomimo więc sensacyjnych wieści o zagrożonym jakoby pierwszeństwie Anglii na polu przemysłowem Anglia zawsze jeszcze posiada możność wzmagania swojej produkcyi. Prawdą pozostaje tylko, że absolutna supremacya Anglii utrzymać się nie może, kraje, w których niegdyś towary angielskie posiadały zysk zbytu, niemal wyłączny, same rozwinęły produkcyę przemysłową, a i na „rynkach neutralnych" producenci Anglii spotykają coraz częściej konkurentów niemieckich i amerykańskich. We Francyi widzimy zmniejszenie przywozu, co tłómaczy się wyśmienitym urodzajem pszenicy roku 1898, który spowodował zmniejszenie przywozu zboża zagranicznego. Wywóz wzrósł o 267,7 milionów franków, lecz z tego wypada na wyroby przemysłu tylko 82,3 milionów, co znacznie zmniejsza doniosłość tej cyfry. Francya pozostaje dotąd krajem, w którym przewaga jest po stronie drobnej produkcyi; nie wielkie przedsiębiorstwa, lecz fabryki średnich rozmiarów i warsztaty rzemieślnicze nadają ogólny charakter produkcyi krajowej, i wskutek tego w obecnem ożywieniu przemysłowem, kiedy chodzi głównie o zdobywanie nowych rynków dla artykułów masowych, Francya bierze udział mniejszy, niż Anglia i Niemcy. W Niemczech wzrost wywozu jest niemal równie wielki, jak w Anglii; głównie przyczyniły się do tego pozycye: przetwory chemiczne (na tem polu Niemcy prym trzymają), żelazo, stal i maszyny. Przytem wzrost przywozu, na który głównie składają się zboże i inne artykuły spożywcze, wzmaga się w stopniu znacznym od czasu ożywienia przemysłowego, i to pomimo średnich urodzajów w roku 1898, co jest dowodem, że ludność robotnicza niemiecka z chwilą, kiedy wskutek ożywienia przemysłowego otrzymała większą możność zaspakajania swych potrzeb agrarnych, natychmiast występuje z popytem na te właśnie artykuły. Pomimo to pożywienie tej masy robotniczej zostaje podrożonem przez cło wwozowe, i obecnie agraryusze niemieccy prowadzą żywą agitacyę za owem podwyższeniem ceł na zboże i mięso, a pisma urzędowe i półurzędo-

we podczas najnowszej kampanii agitacyjnej dla powiększenia marynarki przebąkują, że koszta mogą być pokryte przez podwyższenie tych ceł. Trudno byłoby wymyśleć bardziej zjadliwą satyrę; na gadaninę o wielkich czynach rządu niemieckiego na polu reform społecznych: jałmużna w formie wsparć dla chorych i inwalidów pracy, a zarazem sztuczne podrożenie chleba dla wielkiej masy ludowej. Najciekawsze zjawisko przedstawiają Stany Zjednoczone. Bil Mac Kinleya z roku 1890 miał na celu otoczyć produkcyę przemysłową opieką celną przez utrudnienie przywozu wyrobów przemysłowych z zagranicy. Cel ten został rzeczywiście osiągnięty: przywóz przedstawiał wartość w r. 1890 — 789,31 milionów dolarów, w 1892 r. — 827,40 milionów, 1894 (rok przesilenia) — 654,99, w r. 1896 — 779,72, w roku 1898 — 616,05, w roku 1899 — 697,12. Pomimo więc ceł ożywienie handlowe powoduje zwiększony popyt, któremu przemysł krajowy wystarczyć nie może, lecz przywóz z zagranicy w latach największego ożywienia nie dosięga cyfry roku 1890. To odwet Ameryki za cła wwozowe na pszenicę amerykańską do krajów kontynentu europejskiego. Wywóz zaś wzrasta prawie nieprzerwanie w bieżącem dziesięcioleciu (prócz roku 1893 i 1894, lat przesilenia). W ostatnim roku ten wywóz zmniejsza się, lecz powodem tego jest zmniejszenie wywozu zboża, wyrobów przemysłu natomiast wywieziono więcej, na sumę 338,67 milionów dolarów, i przytem od lat dwu wywóz tych wyrobów przewyższa przywóz, a szczególniej wywóz zboża i wyrobów żelaznych wzrósł o 29,4 milionów, a od r. 1893/94 wywóz potroił się. Tak więc Stany Zjednoczone stają się z kraju przeważnie rolniczego krajem przemysłowym, nietylko bowiem w coraz większym stopniu pokrywają swoje potrzeby w wyrobach przemysłu, lecz stają się nawet poważnym konkurentem na rynkach zbytu; po konkurencyi zbożowej następuje konkurencya przemysłowa Ameryki, a kto wie, czy ta ostatnia dla Europy nie jest groźniejszą wobec olbrzymich bogactw naturalnych Stanów Zjednoczonych, wobec szybkości, z jaką w tym kraju o skarbach nietkniętych, a zarazem posiadającym kulturę czysto-kapitalistyczną, rozwijać się mogą przemysł i handel. Ten zwrot w życiu ekonomicznem Stanów Zjednoczonych tłómaczy dostatecznie nowy program polityczny — „imperyalizm": potrzeba rynków zbytu — oto pobudka zachcianek podbojowych.

Jak zaznaczyliśmy, w najważniejszych krajach przemysłowych—Anglii, Niemczech i Stanach Zjednoczonych—w roku bieżą-

cym szczególnie wzrósł wywóz żelaza i wyrobów żelaznych. Przemysł żelazny dziś stał się miarodajnym na rynku wszechświatowym. Wytłómaczyć to zjawisko łatwo. W ostatnich latach prawie we wszystkich krajach budowa dróg żelaznych odbywa się nader forsownie. Nie mówiąc o wielkiem przedsięwzięciu drogi żelaznej transsyberyjskiej, o coraz większem rozgałęzieniu sieci kolejowej w północnej Ameryce, do budowy dróg żelaznych przystąpiono w Japonii, w Chinach, w Małej Azyi, w Persyi, w Afryce południowej i w Australii. Budowy takie, oczywiście ,wymagają olbrzymich ilości rels, wagonów i lokomotyw. Jednocześnie w krajach takich, jak: Stany Zjednoczone, Rossya, Japonia, Chiny, wyspa Kuba, Afryka południowa, Mała Azya i Australia, siły produkcyjne rozwijają się nader szybko, a wobec tego zapotrzebowanie maszyn i narzędzi żelaznych, czy to przemysłowych, czy rolniczych, wzrasta nader szybko. Wobec tego na szczególną uwagę zasługują następujące dane, które zestawia w rozprawie specyalnej pan James S. Swank, Amerykanin, jeden z najgruntowniejszych znawców przemysłu żelaznego. Zestawia on produkcyę żelaza w r. 1878 i 1898. Oto tablica, którą podaje.

W roku 1878 wyprodukowano ton (po 1000 kilogramów).

	Żelaza (surowca)		Stali	
	ton	% ogólnej produkcyi	ton	% ogólnej produkcyi
Anglia . . .	6,381,051	44,74	1,063.027	36,44
Stany Zjedn. .	2,301,215	16,13	781,977	24,88
Niemcy . . .	2,147.641	15,06	489.151	16,63
Francya. . .	1.521.274	10.67	312,921	10.64
Belgia . . .	518,646	3,64	102,772	3,49
Austro-Węgry	434,250	3,04	129,416	4.40
Rosya . . .	417.239	2,93	66,593	2,26
Szwecya . .	340.858	2,39	25,918	0.88
Hiszpania . .	60.000	0,42	250	0,01
Włochy . . .	20,000	0.14	3,060	0,10
Inne kraje . .	120.000	0.64	16,759	0,57
Suma . .	14,262.174	100.00	2,941,775	100,00

W roku zaś 1898 wyprodukowano:

	Żelaza (surowca)		Stali	
	ton	% ogólnej produkcyi	ton	% ogólnej produkcyi
Stany Zjednoczone .	11,773,934	33,02	8,932,857	37,02
Anglia	8,631,151	24,21	4,665,986	19,33
Niemcy	7,232,988	20,29	5,779,570	23,96
Francya	2,534,428	7,11	1,573,100	6,11
Belgia	979,101	2,75	653,130	2,71
Rossya	2,193,750	6,15	*) 1,143,000	4,78
Hiszpania	261,799	0,73	213,015	0,88
Kanada	68,755	0,19	21,540	0,09
Austro-Węgry **) . .	1,308,493	3,67	888,696	3,65
Szwecya	538,197	1,51	275,128	1,14
Włochy	8,393	0,02	63,940	0,27
Inne kraje.	125,000	0,35	15,000	0,06
Suma . .	35,655,988	100,00	24,126,962	100,00

A więc produkcya żelaza powiększyła się dwakroć przeszło, produkcya stali osiemkroć w dwudziestoletnim okresie.

Pomimo tej olbrzymiej produkcyi, która w roku bieżącym wzmogła się znów ponownie, walcownie nie mogły otrzymać dostatecznej ilości materyału surowego, fabryki maszyn nie otrzymywały dostatecznej ilości półfabrykatów! W Anglii i Niemczech dochodziło do tego, że w lecie roku bieżącego zakłady przemysłu żelaznego musiały redukować liczbę robotników, gdyż dla takiego braku

*) Cyfra ta daje produkcyę za rok 1897.

**) Dla Austro-Węgier, Szwecyi, Włoch i pozostałych krajów dane są za rok 1897.

zatrudniać ich nie mogły, pomimo nawału obstalunków. Walcownie i besemernie nad Renem i górnym Szląsku ogłaszają, że nie mogą przyjmować nowych obstalunków, gdyż sprzedały z góry całą produkcyę na rok cały; w Ameryce wielkie piece, walcownie i besemernie powiększają zakłady bez przerwy; w Anglii doszło do tego, że dostawcy surowca zrywają kontrakty i płacą olbrzymie kary konwencyonalne, aby mieć możność przyjmowania nowych obstalunków po wyższych oczywiście cenach. O wzroście cen dają pojęcie cyfry następujące: za tonę surowca płacono w grudniu 1898 roku 10,50 dolarów, w marcu 1899 r.—15,65 dol., 15 czerwca 1899 roku—18,65 dol., a 15 sierpnia—22 dolary. A więc ceny wzrosły o 100% przeszło w ciągu 8 miesięcy! W Anglii i Niemczech ceny nie wzrosły wprawdzie w tym stopniu, lecz wzrosły o 30—35%. Co do produkcyi surowca w Rossyi „Torgowo-Promyszlennaja Gazeta" podaje cyfry następujące: produkcya wynosiła pudów

	w ciągu 12 miesięcy		w ciągu 6 pierwszych miesięcy
	1897	1898	1899
w 13 zakładach północnych	298,199	1,611,666	983,023
w 105 „ uralskich	40,816,300	43,539,106	23,971,446
w 49 „ „zamoskiewskich"	10,351,463	11,016.032	8,020,068
w 17 „ południowych	46,182,227	61,188,495	38,492,915
w 5 „ południowo-zachodn.	167,850	186,238	91,351
w 41 „ polskich	13,941,301	16,069,931	9,043,320
w 3 „ syberyjskich	494,658	538,840	149,276
w zakładach Gabinetu Jego Cesarskiej Mości i Finlandzkich	1,533,455	1,428,205	800,000
	113,830,302	135,635,513	81,551,399

Pomimo takiego wzrostu surowca i odpowiedniego wzrostu produkcyi półfabrykatów przywóz tych ostatnich wzrasta, a więc fabryki wyrobów żelaznych są zatrudnione do ostatnich granic, i pomimo tego znów wzrasta również przywóz tych wyrobów.

Zradza się teraz pytanie: czy tak pomyślny stan rynku, trwający już od lat kilku, trwać będzie jeszcze długo? Lecz na to pytanie, tak ważne i żywotne, odpowiedzi, zasługującej na zaufanie zupełne, nikt dać nam nie może. Dyrektorowie banku angielskiego

mniemają, że słyszą, jak trawa rośnie na niwie przemysłowo-handlowej, lecz zdarza im się być fałszywymi prorokami aż nadto często. W roku np. 1858 w raporcie za lipiec winszowali oni sobie wzajemnie świetnego stanu interesów, a w końcu sierpnia tegoż roku wybuchł pamiętny kryzys, jeden z najcięższych, jakie przechodziła Anglia. Od tego czasu statystyka produkcyi, handlu i obrotów bankowych została ulepszoną bardzo znacznie, lecz i stosunki stały się bardziej jeszcze powikłane, mniej przejrzyste. Skoro cały obieg towarowy jest oparty na kredycie, a zobowiązania krzyżują się w tysiącznych kierunkach, zatamowanie obiegu w jednem tylko miejscu, niewypłacalności jednej kategoryi wierzycieli, może za sobą pociągnąć zamęt powszechny; a im większym jest rozpęd owej olbrzymiej machiny produkcyjno-handlowo-kredytowej, tem straszniejsze skutki wywołać musi nagłe uszkodzenie jednego trybu. Że obecny rozkwit zakończy się przerażającym w skutkach „krachem“, to jest aż nadto prawdopodobnem, gdyż, jak zawsze bywało dotąd, tak i tym razem siły produkcyjne prześcigają w rozwoju swoim wzrost zapotrzebowania. Spekulacya, która zawsze staje się pobudką do przekroczenia „rozumnych granic interesu“, przybrała obecnie ogromne rozmiary, a kiedy nad spekulantami wybucha w końcu katastrofa, wtedy i „solidni interesanci“ zostają wtrąceni w przepaść, gdyż dziś jeszcze mniej, niż dawniej, daje się oznaczyć granica, po za którą kończy się „solidny interes“, a zaczyna się spekulacya.

Jedynym czynnikiem, z którego można wnioskować o widokach dalszego rozwoju, jest rynek pieniężny; dopóki łatwo o pieniądze, dopóki regulacya wypłat zobowiązań giełdowych odbywa się bez trudności, można to przyjąć za dowód poniekąd, że spekulacya granic nie przekroczyła, że równowaga da się utrzymać. Lecz miernik to zawodny z dwu względów: po pierwsze w obecnym stadyum rozwoju nie tylko spekulanci, lecz zarówno przedsiębiorcy, nie biorący zgoła udziału w spekulacyi, muszą często natężać kredyt do ostatnich granic, wobec czego trudności w realizacyi zobowiązań nie są jeszcze dowodem, że niebezpieczeństwo jest blizko; po drugie, przy niepomyślnym zbiegu okoliczności „krach“ może nastąpić tak szybko, że pomimo pozornej pogody na horyzoncie giełdowym, pomimo pomyślnego stanu rynku pieniężnego burza może wisieć tuż nad nami.

Otóż stan rynku pieniężnego był nader krytycznym w początku czerwca tego roku. Dyskonto weksli było utrudnione w Lon-

dynie i Berlinie, kurs akcyi przedsiębiorstw przemysłowych uległ znacznej zniżce. Trudności te zostały przezwyciężone, i kursa podniosły się równie szybko, jak przedtem spadły, lecz już w końcu lipca nastąpiły ponowne trudności. W sierpniu bank niemiecki musiał podnieść dyskonto do 5%, gdy tymczasem w latach normalnych podwyższenie takie następuje dopiero w jesieni, kiedy kupcy zboża dokonywają wypłat. Za bankiem berlińskim poszedł bank austryacki, podwyższając w połowie września dyskonto z $4^1/_2$ na 5%, jak również banki szwajcarskie i belgijski. Bank angielski przetrzymał najdłużej, lecz w początku października raz po raz podwyższał dyskonto z $3^1/_2$ na $4^1/_2$ i w końcu na 5%, co jest stopą dyskontową dla Anglii nader wysoką. Kiedy banki w ten sposób muszą bronić swoich kas od natarczywości klientów, jest to dowodem, że przebieg spraw na rynku pieniężnym nie jest zupełnie normalnym. Na giełdzie petersburskiej w dniu 22 i 23 września (4 i 5 października) nastąpiło bardzo znaczne obniżenie kursów akcyi przedsiębiorstw przemysłowych, obniżenie daleko doniośléjsze, niż na którejkolwiek giełdzie w dnie krytyczne bieżącego roku. Tak np. akcye towarzystwa braci Nobel spadły z 13,550 na 12,400 rubli, akcye zakładów metalurgicznych „Doniecko-Juryewskie” z 545 na 480, „Somorowo“ ze 146 na 94, „Aleksandrowsk“ z 303 na 247. Zniżka dotknęła również akcyi banków i dróg żelaznych. Była to niemal panika, i tylko energiczna interwencya banku państwowego zapobiegła, być może, katastrofie. Jednakże już po 4-ch dniach nastąpiła znów zwyżka ogólna, i kursa doszły prawie do poprzedniego poziomu. Stan przebiegu interesów i stan produkcyi nie dają powodów do takiej paniki; na nerwową, jak zwykle, giełdę podziałały zapewne niepokojąco wieści o podwyższeniu dyskonta przez bank angielski i sprawozdanie o niepomyślnych rezultatach żniw w południowej Rossyi. Nie bez słuszności zaznacza „Torgowo-Promyszlennaja Gazeta“, że głównym powodem paniki była nieokiełznana spekulacya, fałszywa organizacya giełdy i „spekulacyjny charakter operacyi głównych jej kierowników—wielkich domów bankierskich w Petersburgu”. Jednakże niebezzasadnem jest pytanie, czy kursa akcyi przez spekulacyę właśnie nie zostały zbytnio podwyższone. Gdyby bowiem większość przedsiębiorstw była absolutnie solidną i gdyby kursa odpowiadały jedynie zwiększonej dywidendzie, wówczas spekulanci na zniżkę nie zdołaliby opanować tak łatwo giełdy.

W końcu października położenie na rynku pieniężnym polepszyło się cokolwiek; wprawdzie i teraz jeszcze o gotówkę dosyć trudno, jednakże regulacyi, jakkolwiek z pewnem natężeniem, doko-

nywano względnie łatwo. Prócz tego nie można zaprzeczyć faktowi, że pomimo zażegnania paniki stosunki pieniężne są niebywale naprężone. Po części wpłynęły na to zapewne stosunki na międzynarodowym rynku. (Skoro trudno o kredyt w Londynie, Berlinie i Wiedniu, odbija się to i na stosunkach pieniężnych tych banków i hurtowników, którzy zwykli czerpać stamtąd). Po części zaś przejawiają się tu skutki szybkiego rozwoju przemysłowego. Szczególniej obecnie, kiedy należy czynić wypłaty na zboże, naprężenie stosunków na rynku pieniężnym daje się odczuć w sposób nader dotkliwy. A nawet polepszenie stosunków na rynkach zagranicznych nie zapobiegnie temu zaraz.

W ostatnich dwu tygodniach bowiem na rynkach niemieckim i angielskim rzeczywiście łatwiej o pieniądze, i regulacye w końcu października odbyły się z trudnością wprawdzie, lecz bez presyi. To też na giełdach zapanował znów optymizm. Najlepszym dowodem tego optymizmu jest, że ani wybuch wojny w Transvaalu, ani nawet porażki Anglików nie zdołały zachwiać „usposobienia mocnego“, jak wyrażają się w gwarze giełdowej.

Czy wszakże stan taki potrwa długo, tego nikt przewidzieć nie może. W każdym razie te błyskawice, migocące na horyzoncie giełdowym, powinny przypomnieć o stwierdzonej niestety aż nadto boleśnie prawdzie, że po latach tłustych następują chude. Nie wierzymy atoli, ażeby takie „mane-tekel“ powstrzymało spekulantów. Z nich każdy wierzy w „swoją gwiazdę“, i dopiero wybuch katastrofy trzeźwi tych rycerzy, a niestety katastrofa, jak powiedzieliśmy, godzi nie tylko w nich, lecz i producentów prawdziwych, i temu zapobiedz nikt nie jest w stanie.

Jednym z najpoważniejszych czynników ekonomicznych, wpływających potężnie na przebieg zjawisk na rynku, jest urodzaj zboża. Na rynku zaś wszechświatowym zbożowym miarodajną jest ilość i cena pszenicy. Urzędowe rezultaty o wydajności urodzaju napływają zwykle dosyć późno, i dlatego zwykle ku jesieni niektóre pisma specyalne publikują przypuszczalne rezultaty, oparte na sprawozdaniach o obszarze uprawionym, o stanie zasiewów z miesiąca na miesiąc i o warunkach, przy jakich odbywały się żniwa; takie obliczenie przybliżone publikuje prócz tego węgierskie ministeryum rolnictwa. Podajemy tu obliczenia przypuszczalnego zbioru

pszenicy, opublikowane przez pisma: „Corn Trade News“, „L'Écho agricole“, „Corn Trade List“ (redagowane przez pierwszorzędną powagę na polu statystyki zbożowej Beerbohm'a), „Torgowo Promyszlennaja Gazeta“, przez specyalistę Dornbusch'a oraz przez ministeryum węgierskie. Wyprodukowano tedy we wszystkich krajach, mających znacznie dla rynku pszenicy milionów pudów:

	w roku 1899	w roku 1898
według „Corn Trade News“	4147,2	4794,6
„ sprawozdań minist. węgierskiego	4149,0	4302,0
„ „L'Écho agricole“	4223,0	4712,0
„ Beerbohm'a	4234,2	4886,7
„ „Torg.-Promyszl. Gazeta“	4260,9	4856,1
„ Dornbusch'a	4383,6	5056,4

Jak widzimy, obliczenia te różnią się od siebie znacznie jedno lecz ogólnie zbiory tegoroczne są uważane za znacznie niższe od zeszłorocznych. Prócz produkcyi roku bieżącego dla oceny przypuszczalnego stanu rynku należy wiedzieć, ile pozostało w składach pszenicy ze zbiorów dawniejszych. „Corn Trade News“ podają tedy następujące obliczenie: w dniu 1 sierpnia 1898 zapasy ceniono na 16,600,000 quarter'ów, w roku 1899 na 59,000,000. A więc położenie przedstawia się tak:

1 sierpnia 1898 liczono zapasów	16,600,000	quarter'ów
zbiory 1898 roku dały	350,000,000	„
Czyli 1 sierpnia 1898 roku było do rozporządzenia	366,600,000	„
Do 31 lipca 1899 konsumcya oblicza się na	314,700,000	„
1 sierpnia 1899 roku pozostało zapasów	51,900,000	„
zbiory roku 1899 dały	312,000,000	„
jest więc do rozporządzenia w d. 1 sierpnia 1899	363.900,000	„

To znaczy, że rozporządzalna w tym roku ilość jest mniejszą od zeszłorocznej o 2,700,000 quarterów czyli o 32,100,000 pud. Zapotrzebowanie zaś wskutek ożywienia na rynku przemysłowym, a więc zwiększonej możności zaspokajania potrzeb przez ludność robotniczą, wzrośnie (o ile oczywiście stan pomyślny przetrwa przez cały rok). Należy tedy oczekiwać, że ceny pszenicy będą w roku bieżącym wyższe cokolwiek, niż w poprzednim, lecz tendencyi tej przeceniać nie należy, gdyż, jakkolwiek zbiory roku bieżącego są mniejsze od

zeszłorocznych, zapasy z roku zeszłego pozostały bardzo znaczne, większe, niż normalnie.

Dla żyta niema podobnej oceny, i powiedzieć da się tyle tylko, że w Niemczech, głównym rynku żyta, cena jest anormalnie wysoką. Bywały dnie, kiedy cena żyta równała się cenie pszenicy, i pomimo, że w ostatnich dniach października w Berlinie płacono niższe cokolwiek ceny, jak się zdaje (musimy używać zwrotu takiego, gdyż od czasu zabronienia handlu terminowego zbożem na giełdzie i dezorganizacyi giełdy z tego powodu nikt prócz hurtowników nie wie, ile rzeczywiście płacono), ogólna tendencya zwyżkowa utrzyma się.

J. B. M.



SPROSTOWANIE.

W zeszycie październikowym wkradły się następujące omyłki:

Stronica:	*Wiersz:*	*Zamiast:*	*Powinno być:*
115	11 z dołu	$\frac{dP}{dy} + dy$	$\frac{dP}{dy} dy.$
"	10 z dołu	$\frac{dF}{dx} + dx$	$\frac{dF}{dx} dx$
117	we wszystkich równaniach	υ	v
154	1 z dołu	jeszcze	jego
155	2 " "	przechodził coraz	przechodzi wraz
156	13 " "	czary	czasy
158	6 " "	w podobnej	w ponownej
159	11 z góry	wierzy	mierzy
"	16 z dołu	pokonywał	przekonywał
161	20 z góry	jawne	jasne
163	12 z dołu	epoce	opoce

Rozbiory i Sprawozdania.

Jenerał Dezydery Chłapowski: „Pamiętniki", Poznań, 7899.

Wydawnictwo „Pamiętników" poprzedził treściwą, a bardzo piękną przedmową p. Kazimierz Morawski. Pamiętniki Chłapowskiego, zdaniem Kazimierza Morawskiego, pisała prawda szczera, niezabarwiona żadnymi ubocznymi względami życzliwości lub goryczy. Prostota opowiadania wypłynęła z tego wysokiego poczucia obowiązku, które nawet czyny niezwykłej wiary i cnoty w świetle prostej powinności przedstawia. Bo u wysoko nastrojonych dusz granica obowiązku idzie przez wyżyny, które przeciętne umysły za dziedzinę bohaterstwa uważają. Okazuje się nam tu generał w pełni rzymskiego hartu dla siebie, chrześcijańskiego dla innych wyrozumienia.

Do słów Kazimierza Morawskiego nie uważając za stosowne nic dodawać, przechodzę do pamiętników, które Chłapowski rozpoczyna od słów: „Gdyby młodzi wiedzieli, a starzy moc mieli..."; ta myśl bowiem powodowała nim przy pisaniu pamiętników, które miały im choć w części zastąpić doświadczenie. Pamiętniki rozpoczynają się od wojny w 1807, którą poprzedza opis faktu pamiętnego, jakim było przybycie w listopadzie 1806 r. wojsk francuskich do Poznania. Do tego faktu dołączył autor nieco wiadomości ze swego życia, a mianowicie, że od 1801—1805 r. służył w wojsku pruskiem i uczęszczał do szkoły, w której wykładał Scharnhorst. Ten wzgląd zniewolił Umińskiego, że użył Chłapowskiego do musztrowania gwardyi

honorowych, które miały odbywać służbę przy Napoleonie. Chłapowski wyznaje, że musztra konna była bardzo trudna, bo wszyscy mieli konie za żywe do szeregu, i równania ciągle się psuły. Piechota francuska wzbudzała w nim podziw. Wszyscy żołnierze jakby do tańca gotowi. Nie taką kilka tygodni temu widział Chłapowski rejterującą piechotę. Każdy żołnierz pruski, wyższy o głowę od francuskiego, barczysty, daleko się silniejszym wydawał, ale sztywny, nieruchawy, uszedłszy pół mili, skoro kolumna stawała, pokładał się do spoczynku.

W Poznaniu Chłapowski zasiadł z Napoleonem i Berthierem, do obiadu, który nie trwał dłużej nad pół godziny. Cesarz, wiedząc o tem, że Chłapowski służył w wojsku pruskiem, zasypywał go pytaniami, jak podczas egzaminu, a głównie badał o stan wojska pruskiego. Pytał się także o chłopów, na co mu Chłapowski odrzekł, że od ojca swego słyszał, że za polskich czasów włościanie nie byli tak obciążeni pańszczyzną, ale gdy rząd pruski kraj zabrał, wszystkie dobra duchowne, koronne i starostwa rozdał swoim Niemcom. Ci ludzie, bardzo chciwi, powiększyli pańszczyznę, więcej dni roboczych i wiele różnych posług nowych żądając. Nasi obywatele, obarczeni długami po ostatnich wojnach, zapatrują się na nowo przybyłych, przynajmniej po części ich naśladując.

Chłapowski brał udział w bitwie pod Tczewem, gdzie miał sposobność podziwiać zimną i wypróbowaną odwagę Sierawskiego i widzieć Dąbrowskiego, który w tem spotkaniu był rannym. Czas był w ciągu kampanii 1807 roku fatalnym, żołnierz wystawionym był na ciągłe niewygody i niedostatek, ale mimo to służba była wykonywaną z humorem, i wiara śpiewała sobie w największe słoty pieśń:

Czy to w boju, czy to w szańcu,
Żołnierz zawsze, jakby w tańcu.

Niektórzy tylko mówili: „chłodno, głodno i do domu daleko”. Posuwając się ku Honnebergowi, Chłapowski, zaatakowany przez dragonów, został ogłuszony uderzeniem konia i dostał się do niewoli. Sześć tygodni był na morzu, żywiony bardzo licho, aż nareszcie, gdy stanął pokój w Tylży, wypuszczono go na wolność. W Warszawie doszła Chłapowskiego nominacya na oficera ordynansa. Ordynansami zwano rzeczywistych adjutantów cesarza, gdyż generałowie, którzy nazwę adjutantów nosili, nigdy adjutanckiej służby nie pełnili.

Kampanię hiszpańską roku 1808 opisał Chłapowski dokładnie, przybywszy do Bajonny właśnie wtedy, kiedy król hiszpański Karol IV z księciem Godoy wyjeżdżali do Valancay, gdzie ich Cesarz osadzał. Zwiedzał on Somo-Sierrę i widział niektórych zabitych szwoleżerów, leżących na śniegu. Opis szarży jednak przejął od chirurga przy ambulansach, nic więc dziwnego, że do niego zakradły się pewne niedokładności. Z tem wszystkiem Chłapowski zamieścił w opisie kampanii wiele ciekawych szczegółów, dotyczących zwłaszcza Napoleona, a pod koniec tego roku udał się do Warszawy, gdzie duch wojsk Księstwa Warszawskiego bardzo korzystne na nim wywarł wrażenie. Wprawdzie znać było we wszystkich regimentach brak oficerów doświadczonych, i wielka zachodziła różnica między tymi nowymi pułkami a gwardyą polską i legią nadwiślańską. W gwardyi prawie wszyscy podoficerowie byli starzy, więc służba szła spokojnie, poważnie i regularnie. Nie tak było w wojsku Księstwa Warszawskiego. Piechota była wprawdzie doskonała, ale jazda potrzebowała wyrobienia. Artylerya miała mało oficerów wykształconych, ale żołnierz nieźle był wyrobiony. Cała armia miała postawę bardzo dobrą, i duch dobry, żywość, wesołość i zaufanie rokowały najlepszą nadzieję.

Wojna austryacka 1809 r. i kampania rosyjska w 1812 r. opisane zostały przez Chłapowskiego interesująco, i pamiętnik jego zawarł dużo ciekawych szczegółów, odnoszących się nie tylko do wojska polskiego i wybitniejszych oficerów, ale i do armii francuskiej, i jej wybitniejszych przywódzców. Wiadomo, że Chłapowski na czele szwadronu szwoleżerów odznaczył się pod Smoleńskiem. Oto jak opisuje swój czyn militarny. „Będąc tego dnia na służbie, odebrałem rozkaz od cesarza, ażebym z jednym szwadronem spędził Kozaków za parów, bo się chciał zbliżyć i rozpoznać mury. Jakoż siadł na konia i jechał zaraz za nami. Gdyśmy się spuścili w parów, kozacy się zaraz cofnęli. Wychodząc z parowu na drugą stronę ku miastu, rozwinąłem szwadron, bom przewidywał, że nieprzyjaciel strzeli do nas z murów. W istocie zaraz puścili na nas kilka granatów, z których jeden pękł w samym środku szwadronu. Kilku rannych przewróciło się, kilka koni z szeregu wyleciało, więc Kozakom zdała się dobra pora uderzenia na nas, i tak szybko poskoczyli, że dzidę jednego z nich, będącego na przedzie, wprost na mnie wymierzoną, pałaszem z góry na dół ciąłem, ale nie przeciąłem. Stąd przesunęła się po łbie mego konia i drasnęła go od uszów do chrapy. Kapitan Skarzyński kilku Kozaków pałaszem pociął. Lance Kozacy mają za długie, nie mogą więc niemi tak zręcznie, jak nasi żołnierze swoje-

mi, robić. Szwadron posunął się naprzód i zmusił Kozaków do schronienia się pod same mury. Cesarz za nami zrekognoskował, co chciał, odjechał i zaraz rozporządzenia do ataku wydawał".

W części II pamiętnika opisuje Chłapowski rok 1830 — 1831, a przedewszystkiem kampanię, w której wybitny brał udział. Na wstępie znajdujemy wyborne ocenienie wpływu związków tajnych. Związki tajne, podług Chłapowskiego, robią tylko przypuszczenia, które rozdzielają umysły, osoby pojedyńcze kompromitują. Nie mogąc ani pory, ani wypadków przewidzieć, nie można także środków przysposobić przez tajne związki. Nadto trwonią one czas i odbierają śmiałość w działaniu i wpływ, jaki każdy w swoim zakresie mieć może.

O Chłopickim powiada Chłapowski, że obcował całe życie tylko z żołnierzami, a później z ludźmi, którzy o poświęceniu się wyobrażenia mu dać nie mogli. O ludzkości zwykle źle myśleć był nawykł. Znajomości statystycznych o Rossyi wcale nie uzbierał. Zresztą ciągle wahał się w przekonaniu, że nikt go słuchać nie będzie. Żaden człowiek wszystkich zalet razem nie posiada, ale Chłopicki miał ich dosyć, żeby okolicznościom podołać. Najuczciwszego charakteru, posiadał dostateczne wiadomości wojskowe, a nadewszystko pełen energii, byłby porządek w wojsku utrzymał.

W pamiętnikach Chłapowskiego spotykamy bardzo ciekawą charakterystykę Prądzyńskiego. Twierdzi on, że Prądzyński bujną wyobraźnią męczył nieustannie Skrzyneckiego. Podawał mu bowiem tyle planów do wykonania, że wybór był bardzo trudnym. Prądzyński byłby zapewne najdoskonalej osobnym korpusem dowodził. Mniej zdatnym był na szefa sztabu, bo zbyt żywa wyobraźnia przeszkodą jest do obrachowania szczegółów, to jest marszów, co stanowi główną szefa sztabu powinność. Przytem szefostwo sztabu było rozdwojone. Prądzyński i Chrzanowski, jeden szef sztabu, drugi kwatermistrzowstwa, niepodległy jeden drugiemu, nie mogli się porozumieć z sobą, tem mniej, że tamten posiadał ogromną imaginacyę, a ten był pozytywnym. Wódz naczelny i jego szef sztabu muszą być tak dobrani, ażeby stanowili jakby jedną osobę, ale zawsze głową całą winien być pierwszy, a drugi jego prawą ręką, uzupełnieniem. To, co wódz pomyśli, szef sztabu powinien odrazu pojąć i umieć szczegółowo rozporządzić. Za to Prądzyński miał wielkie kwalifikacye na dowódzcę korpusu. Pod Iganiami dowiódł, że się umiał zdecydować w oka mgnieniu, kiedy niebezpieczeń-

stwo grozi. Geniusz Prądzyńskiego miałby był właściwe zastosowanie na Litwie, dokąd wysłano zupełnie nieudolnego Giełguda.

Do wojny z 1831 roku, a szczególniej do wyprawy na Litwę, pamiętniki Chłapowskiego pozostaną pierwszorzędnem źródłem. Dla literatury zaś naszej pamiętniczej będą jednym z najpiękniejszych klejnotów, cenionych przez historyka. *A. R.*

D. Thaddäus Kudelka. Das landwirthschaftliche Genossenschaftswesen in Frankreich unter besonderer Berücksichtigung der landwirthschaftlichen Syndicate, Berlin, 1899 str. VI — 178.

Każda praca o syndykatach i stowarzyszeniach rolnych, a szczególniej o stowarzyszeniach francuskich, ma w tej chwili dla kraju naszego szczególny interes, tem więcej, jeśli wyszła z pod pióra Polaka i pozwala tem samem żywić nadzieję ujrzenia jej wkrótce w języku polskim i jeśli jest tak sumiennem opracowaniem przedmiotu, jak książka pana Kudelki. Po krótkim wstępie, w którym autor zaznajamia nas z ogólną fizyognomią rolnictwa we Francyi (statystyka ważniejszych gatunków uprawy, podziału własności i składu ludności rolnej), autor kreśli historyę powstania we Francyi syndykatów rolnych i podaje najnowsze cyfry statystyczne, dotyczące ich obecnego rozwoju. W trzech rozdziałach następnych autor opowiada nam, jak syndykaty rolne przyczyniają się: do podniesienia produkcyi rolnej, ułatwienia kredytu i ubezpieczeń i politycznego, socyalnego i umysłowego rozwoju rolnika francuskiego, a w zakończeniu zestawia ogólne rezultaty działania syndykatów. Mówiąc o wpływie syndykatów na produkcyę rolną, autor zalicza tu zarówno działalność syndykatów, mającą na celu ułatwienie nabywania produktów surowych i nawozów, jak też i działalność ich, skierowaną ku podniesieniu samej produkcyi i ułatwienia zbytu produktów. W rozdziale IV nie pomija działalności syndykatów w sferze nauczania tak drogą zakładannia szkół, jak i przez wydawnictwa peryodyczne, poświęcone interesom rolnictwa. Wiele w tej książce znaleźć mogą informacyi i wskazówek ci, którzy u nas do pracy na tem polu się garną: ciekawem być dla nich np. może, że syndykaty francuskie organizują nie tylko nabywanie nawozów, bydła i koni rozpłodowych i sprzedaż produktów rolnych, ale także dążą do usuwania szachownic, utrzymania w porządku dróg i mostów, zaprowadzenia straży polnej po wsiach i załatwiania sporów, wynikłych między członkami, drogą sądów polubownych. Zdaniem naszem, autor tę

stronę działalności syndykatów zbyt lakonicznie traktuje, co tłómaczy się językiem, w którym napisana jest książka, a tem samem i geograficzną sferą jej możliwego rozprzestrzenienia. Dla nas ta strona działalności syndykatów miałaby bardzo wielki interes. W literaturze naszej nie znamy dotąd żadnej pracy, omawiającej syndykaty francuskie z równą starannością. Wydanie książki p. Kudelki w języku polskim byłoby niezawodnie usługą, oddaną krajowi. Wskazałoby ono naszym syndykatom, jaki być powinien ich właściwy kierunek, na który wejść, jeśli nie zaraz, to z biegiem czasu powinny, i przygotowałby ich do rozszerzenia ich działania we wszystkich tych kierunkach, w jakich rozwija się działalność syndykatów francuskich, a jest ich legion — od organizacyi handlu wywozowego młodemi kartoflami w Londynie aż do zorganizowania uprawy roli i sprzętu zboża włościaninowi, chwilowo złożonemu chorobą.

Książka p. Kudelki tak wiele posiada zalet, że do wydania jej w języku polskim nigdy dość zachęcać autora nie można, nie weźmie nam więc za złe, jeśli powiemy, że nam w jego książce dwu rzeczy braknie. Najprzód nie widzimy w niej danych do wyjaśnienia tej ciekawej kwestyi, dlaczego syndykaty rolne we Francyi nie podnoszą kwestyi kollektywnego obrabiania gruntu, mogącego teoretycznie dać małej własności ziemskiej wiele z tych korzyści, jakie uprawa wielka daje niewątpliwie. Kwestyę tę rozbiera Hubert Volleroux—i rozbiera ją na podstawie faktycznych danych [1]). I teoretycznie, i praktycznie dla działalności syndykatów kwestya ta ma poważne znaczenie.

Powtóre brak nam u p. Kudelki wskazówek o tem, czego się syndykaty strzedz mają — jakie błędy we Francyi popełniano, i jakie były ich skutki. Praktyka syndykatów francuskich dostarczyła im już pewien zapas wskazówek praktycznych, których żadna ustawa objąć nie może, a które i dla naszych syndykatów bardzoby mogły być cennemi.

Interesującem bardzo jest przytoczone w tekście u p. Kudelki na str. 138 prawo francuskie z dn. 11 lipca 1898 r. o oddawaniu w zastaw zboża, pozostającego na składzie u rolnika.

S. P.

---

1) Hubert Volleroux: Les associations ouvrières et les associations patronales.--Paris, 1899.

Aniela Szyc. Rozwój pojęciowy dziecka w okresie lat 6—12. Badania nad dziećmi. (Z zapomogi kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem im. d-ra J. Mianowskiego), Warszawa, Wende i S-ka, 1899. str. 192.

Autorka, wziąwszy za podstawę do swojej pracy studyum J. Wł. Dawida p. t. „Zasób pojęciowy dziecka", postanowiła dać dalszy ciąg tego dziełka: „gdy tamte badania, mówi ona, wykazały, jakie doświadczenia i postrzeżenia ze świata otaczającego posiada dziecko w okresie nauki elementarnej, t. j. w wieku lat 6—12, badania, których wynik streszcza niniejsza książeczka, miały na celu poznać, jakie pojęcia uwysł dziecięcy wytwarza na podstawie tego zasobu". Innemi słowy p. Szyc zamierzyła wykazać zdolność refleksyjną, zdolność uogólniania u dziecka i użyła w tym celu znanej i niejednokrotnie już stosowanej metody statystycznej.

Posługując się kwestyonaryuszem Dawida, składającym się z 56 pytań z zakresu znajomości części ciała, kształtów, stopni pokrewieństwa, dalej pytań o pochodzeniu rzeczy najpospolitszych, pytań, dotyczących pojęć religijnych, kwestyi etycznych, wreszcie historyi, zbadała autorka 500 dzieci (220 chłopców i 280 dziewcząt): 439 dzieci rodziców niezamożnych i mało intelligentnych, 61 tylko z klasy średniej i intelligentnej.

Wyniki tych badań, ogłoszone obecnie, stanowią niewątpliwie ciekawy przyczynek do psychologii dziecięcej; staranne i sumienne ich zebranie i usystematyzowanie kosztowało niemało pracy, nastręczało nie mało trudności, które autorka z powodzeniem przezwyciężyła. Po przeczytaniu tego studyum otrzymujemy oparty na faktach obraz tworzenia się pojęć w mózgu dziecięcym.

Dziełko posiada kilkanaście tablic statystycznych, w których autorka zamieszcza liczby i stosunki procentowe dobrych odpowiedzi, dzieląc przytem ogół badanych dzieci według płci i wieku. Najcharakterystyczniejszą częścią tych badań są odpowiedzi, dotyczące zjawisk przyrody, a to skutkiem samego charakteru pytań. O ile w innych działach mamy do czynienia z przedmiotami ścisłymi, gdzie dla dobrej odpowiedzi, a nawet wogóle dla odpowiedzi, potrzebnym jest pewien zasób wiedzy, o tyle tutaj pozostawioną jest zupełna swoboda fantazyi dziecięcej. Na pytanie np., z czego robi się chleb? odpowiedź możemy otrzymać tylko wówczas, jeśli dziecko coś o tem słyszało. Na pytanie: „Wskaż mi przedmiot trójkątny" odpowiedź dobra ujawnia pewną zdolność uogólniania, ale dla osobistego rozumowania niema tu miejsca. Najważniejsze, zawsze każdą istotę ludzką gnębiące, pytanie: dlaczego? nie jest

uwzględnionem tak w pierwszym, jak w drugim wypadku. Co innego, gdy idzie o zjawiska przyrody. To też na pytanie, co się dzieje ze słońcem w nocy, lub jaka jest przyczyna deszczu, grzmotu? mamy wiele rozmaitych i nawet charakterystycznych odpowiedzi, np.: Słońce na noc wchodzi do morza, ginie, idzie na koniec świata; grzmot pochodzi stąd, że promień goni złego ducha (!); deszcz jest to pot ze słońca i t. p. Wszystkie te odpowiedzi są odbiciem oryginalnej dziecięcej filozofii, a za podłoże do takich sądów służą często bajki i opowiadania i t. p. Poglądy te są niejako przeżytkiem filozofii człowieka pierwotnego. Dziecko radzi sobie z pytaniem dlaczego? tak, jak sobie radził człowiek pierwotny; i dlatego właśnie ten dział odpowiedzi wydaje się nam najciekawszym.

Ciekawą także jest rzeczą porównanie zasobu pojęć i rozwoju indywidualności u chłopców i dziewcząt. U chłopców widzimy większą rozmaitość, silniejsze odskoki od typu średniego, podczas gdy u dziewcząt więcej jednostajności, przeciętności. Porównanie między klasą mniej a więcej intelligentną nie może być brane pod uwagę z powodu małej stosunkowo liczby dzieci, należących do tej ostatniej.

Zwraca również autorka uwagę na rytmiczność w rozwoju pojęciowym i, jako punkt kulminacyjny, wskazuje lata 8—9 i 11—12, w których to latach zdolność postrzegawcza i refleksyjna zmniejsza się.

W ogóle książka sprawia na czytelniku wrażenie dodatnie, daje dużo starannie opracowanego materyału i może zachęcić niejednego do wniknięcia w duszę dziecka, co jest *conditio sine qua non* należytego wychowania.

Kończymy słowami autorki: „Dzieci zdają się mówić. Poznajcie nas i zrozumiejcie nas dobrze, wówczas pokochamy się i będzie nam dobrze ze sobą. Zobaczycie!"

W. M.

Władysław St. Reymont. Lili, żałosna idylla, z illustracyami T. Jaroszyńskiego. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka. 1899.

Gdybyśmy chcieli w jednym wyrazie zawrzeć charakterystykę nastroju naszych „najmłodszych", z łatwością znaleźlibyśmy wyraz gotowy: smutek. Czy warunki bytu, zamykające człowieka w ciasnem i kolczastem kole walki o byt bez możności zanurzenia oka

„w otchłani błękitu” i orzeźwienia się kryniczną wodą ideałów, czy newroza, utrzymująca jednostkę w chwilowem natężeniu, by potem pchnąć ją w bezdenną apatyę, czy zdawkowy pesymizm „schyłkowców” jest tego przyczyną, dozyć, że w literaturze lat ostatnich trudno odnaleźć utwór, któryby mógł ukoić znękane serce i rozmarszczyć sfałdowane czoło.

Z belletrystów—Żeromski, Sieroszewski, Gruszecki, Reymont należą do tego pokolenia, co po niwach płytkich, optymistycznych marzeń życiowych przechodzi, jak „koń Attyli”...

Jakże rozpaczliwie smutną jest „Komedyantka” Reymonta, ta tragedya duszy słabej z nieubłaganymi warunkami życia, jak niewesołymi „Fermenty”, to targanie się duszy, nawykłej do szerokich wzlotów, w lilipucim kręgu szarego, bezbarwnego życia zaścianka; a i w „Ziemi obiecanej” zza każdego węgła wyziera bądź w spazmatycznem ziewnięciu skrzywiona nuda, owoc przesytu, bądź szczerząca zęby koścista nędza.

Ostatnia nowella Reymonta „Lili” nie odbiega nastrojem od innych jego utworów. W samym nagłówku—gorzka ironia: „żałosna idylla”. Niestety, żałosna!

Dawniej sielanki były pogodne i słodkie aż do ckliwości: o łąkach i strumieniach, o barankach z czerwonemi i niebieskiemi wstążkami, o wyperfumowanych pasterzach w perukach i złotem haftowanych kaftanach i pastereczkach — margrabinach z salonu Ludwika XIV—„la haute finesse”.

Sielanka Reymonta ma za tło nie przystrzyżony gazon z parku Wersalskiego, lecz—bruk brudnego miasteczka, bruk dosłownie i pod przenośnią; miejsce wytwornych pasterzy i uroczych pasterek zajmuje tu banda głodnych i obdartych artystów prowincyonalnych; parę kochanków, bez których sielanka nie byłaby sielanką stanowi dwoje uczestników tej trupy—i tej nędzy: Lili i Leon Zakrzewski.

Lili—to dobre, wesołe, puste stworzenie, jej psoty potrafiłyby ująć i rozbroić nawet najzawziętszego wroga płci pięknej, jej miłość—to oddanie się bezgraniczne, na śmierć i życie, jej charakter—to wosk miękki, z którego każdy ulepi, co zechce.

A przytem oddycha ona tą atmosferą zepsucia i zgnilizny, która potrafi zgangrenować nawet najsilniejsze zasady i pchnąć najuczciwszą dziewczynę w przepaść upadku. Dowodem tego Janka z „Komedyantki”. Wreszcie jest jeszcze matka Lili, kobieta o przeszłości nieznanej, obecnie zajmująca się przez cały dzień czytaniem

romansów z odcinków gazet; odgrywa ona, jak się zdaje, ciemną rolę w „karyerze" Lili.

O tem wszystkiem nie wie wcale Leon, syn zamożnej obywatelskiej rodziny, który, zobaczywszy Lili raz na scenie, zakochał się w niej od pierwszego spojrzenia, opuścił dla niej dom, rodzinę, dostatek i wstąpił do trupy aktorów. Marzy teraz o tem, by wprowadzić ją, jako żonę, pod dach swoich rodziców, choć czuje dobrze, że nie będą oni radzi z małżeństwa swego jedynaka z jakąś „aktoreczką" z prowincyi. Ale wierzy jej i swojej miłości, że pokona wszystkie trudności.

Odtąd czekają go ciężkie próby. Koledzy, a bardziej jeszcze koleżanki szydzą z niego i z jego wiary w niepokalaność Lili, mówiąc, że owa przyjaciółka, do której Lili wraz z matką pojechała na święta Bożego Narodzenia, nosi wąsy i brodę, a w herbie ma koronę hrabiowską,—nie mówiąc już o wielkim majątku w pobliżu miasteczka.

Leon nie chce wierzyć tym wieściom złowrogim, uważając je za niecne oszczerstwa, szarpiące dobrą sławę Lili, odpycha od siebie rosnące z każdą chwilą podejrzenia, ale wkrótce przekonywa się o ich słuszności, kiedy Lili na ponowną propozycyę małżeństwa odpowiada mu przez łzy, że—żoną jego być nie może; kochanką jego byłaby z rozkoszą, ale żoną—na to ma za wiele jeszcze uczciwości.

Leon ciska jej w twarz rękawiczkę wraz ze straszliwą zniewagą i odjeżdża na łono czekającej go z tęsknotą rodziny, jako syn marnotrawny, który teraz zapewne da się bez trudu nakłonić do do jarzma, t. j. tak zwanego „porządnego" życia, przez ożenek z jaką bogatą dziedziczką.

Lili zemdlona pozostaje na pastwę nędzy i rozpusty... Tak się kończy ta „żałosna idylla" Reymonta.

Treści tu niewiele, ale za to jak wybornie, z jaką plastyką i znawstwem oddane typy i charaktery nie tylko pierwszorzędnych, ale nawet epizodycznych postaci! Jakże prawdziwą jest Lili czy w swoich kocich figlach, czy w pełnych liryzmu scenach z Leonem, kiedy dusza jej rwie się ku niemu, a na ustach ma jedno tylko słowo: „Nie mogę"..., jak psychologicznie wiernym jest Leon w swych miłościach, rojeniach, wahaniach, obawach i wybuchach gniewu! Na każdym kroku znać, że to „dziedzic", obywatelski syn, którego przypadek tylko wtrącił w błoto tej artystycznej włóczęgi i który co chwila starannie otrzepuje zbrukane w tem błocie lakierki.

Takim jest w stosunku do kolegów, takim jest nawet w stosunku do Lili, jego karyera sceniczna i jego miłość do aktorki—to tylko przelotny kaprys.

Z drugorzędnych postaci wyróżniają się: aktorka Szalkowska, istna Messalina prowincyonalnej trupy ze swoim mężem—niedołęgą, pełniącym przy niej obowiązki lokaja, pokojówki, kucharza i—parawana, a wreszcie stary aktor i reżyser trupy Korczewski, wraz z którym Zakrzewski puszcza się po okolicy dla rozprzedaży wśród podmiejskiego obywatelstwa biletów na przedstawienie „pożegnalne".

A wśród figur, jakie napotykają na tej drodze, jakaż rozmaitość typów, charakteryzujących się jednym jakimś rysem, ale mimo to nie mniej plastycznych!

Kilka krajobrazów, jakie nakreślił tu autor, znamionują wielką jego spostrzegawczość i wrażliwość na głosy natury. Tylko, że i te krajobrazy o tle pochmurnego nieba i bezbrzeżnej śnieżnej równiny, tak nieskończenie smutne, jak i to życie aktorów-włóczęgów, które autor przedstawia.

Smutne—ale prawdziwe. *H. G.*

Stanisław Hłasko. „Poezye". Księgarnia Jana Fiszera w Warszawie, 1900, str. 139.

Utwory poetyczne p. Hłaski spotykaliśmy już nieraz w różnych czasopismach tygodniowych, po raz pierwszy jednak staje on przed czytelnikami z oddzielnym zbiorkiem. Utwory swe p. H. zgrupował podług treści, podzieliwszy je na pięć części: „Wszechświat", „Wizye", „Z księgi miłości", „W Tatrach" i „Różne".

W części pierwszej autor daje nam rozmyślania o Bogu i przyrodzie, o nieskończoności, o duchu i materyi. Wypowiada kategorycznie swą wiarę w jedynego Boga i nieśmiertelność duszy ludzkiej, protestując przeciwko materyalizmowi i panteizmowi. W ostatnim jednak wierszu tej części („Enigmat") rozlega się nagle dysonans: poeta oświadcza, że nie wie i nigdy nie zgadnie, czy będzie stniał, czy stanie się niczem...

Dział „Wizye" jest pokrewny do pewnego stopnia „Wszechświatowi", bo zawiera w sobie znów filozofowania i rozmyślania—o przeszłości i przyszłości, spychające teraźniejszość, którą autor ma przed oczyma, na drugi plan. Obserwując objawy życia ludzkiego, poeta widzi zawsze przed sobą śmierć, która kres położy tym objawom. Nuta owa dźwięczy i w niektórych utworach części następ-

nych. Przy czytaniu „Wizyi italskich" natrętnie narzucają się pamięci sonety włoskie Konopnickiej podobnie, jak przy „Wizyach pogrzebowych",—„Marsz" Ujejskiego. Zmusza to do porównań, które nie mogą wypaść korzystnie dla autora „Wizyi".

Lwią część zbioru poezyi p. H. wypełniają utwory erotyczne, zawarte w działach: „Z księgi miłości" i „W Tatrach". Są one różnej wartości: niektóre bardzo słabe, niektóre zaś sprawiają najlepsze bodaj wrażenie z całego zbioru („Rozmowy", „Utracona"). W „Utraconej" poeta opowiada o miłości, w której pierwiastki duchowe dominują nad zmysłowymi, o miłości cichej, lecz głębszej i trwalszej, niż wybuchy namiętne. Uczucia pozostały nieodwzajemnione, poeta nie złorzeczy jednak „utraconej"—i słusznie. Rzecz to, należycie odczuta i jasno wypowiedziana, to też dla czytelnika zupełnie zrozumiałym jest okrzyk, kończący te strofy: „O utracona, lecz moja na wieki!"

Natomiast w wierszu „Mickiewicz" (w dziale „Różne") autor zapomina o starem, lecz zawsze zawierającem prawdę w sobie przysłowiu: „Serce nie sługa". Przytem, mówiąc ze zdziwieniem, że „naród go cały ukochał—prócz jednej", poeta zdaje się nie rozumieć różnicy między dwoma rodzajami miłości: tą, jaką narody kochają swych wielkich, a tą, jakiej wymaga p. H. od Maryli. W rywalizacyi o ten drugi rodzaj miłości bardzo często zwyczajni zwyciężają wielkich; i niema w tem nic dziwnego, ani oburzającego. Dodamy nawiasem, że czy Maryla nie kochała Mickiewicza, jest jeszcze wielką kwestyą.

Zaznaczając sonet „Poznanie"— jakkolwiek myśl, w nim zawarta, nie tylko nie jest nowa, lecz była już nawet wypowiedziana w formie wierszowanej („Nie poznasz" Włodz. Zagórskiego),— formułujemy tu ogólne wnioski.

Omawiany tom poezyi nie postawi p. H. w rzędzie wybitniejszych poetów. Stoi temu na przeszkodzie przedewszystkiem forma mało wykwintna, rymy zbyt pospolite. Pragnąc zdobyć sobie dzisiaj choć jakie takie stanowisko w literaturze nie można swych myśli ubierać w ladajakie szaty. O przyszłości jednak nie śmiemy przesądzać. Niech weźmie się do pracy nad wyrobieniem formy, a może... Jest, jak słyszeliśmy, młody jeszcze, ma więc czas.

Co do strony językowej, możemy autorowi w myśl przywileju „licentia poëtica", wybaczyć „kwiata" zamiast „kwiatu" (str. 92), „Indyanów" zam. „Indyan" (str. 133), pobłażliwie też patrzymy na pokutujący jeszcze w poezyi, choć przez naukę dawno odrzucony

„znicz" (str. 80), natomiast forma „natchnięty" (str. 61) wydaje się nam zbyt rażącą, jakkolwiek teoretycznie jest równie prawidłową, jak „natchniony".

Kazimierz Sieliszczański.

Gustaw Doliński. Jak u nas chowano dzieci? zarys dziejów pedagogii polskiej z przedmową Juliana Ochorowicza (Biblioteka dzieł wyborowych № 103), 1899, 8°, str. 152.

Książka niniejsza — to szkic, a raczej szereg szkiców, dość luźno z sobą spojonych, a traktujących o dziejach pedagogii u nas od najdawniejszych czasów do początku bieżącego stulecia. Po wstępie, w którym autor zestawia rezultaty dawniejszej metody wychowania z dzisiejszą i dochodzi do smutnych wniosków w myśl zasady, tak poniewieranej obecnie: *mens sana in corpore sano*, kreśli w ogólnych zarysach stan naszego szkolnictwa i pedagogii w wiekach średnich. Za przewodnika obrał tu sobie p. Doliński Karbowiaka— nie wziął jednak stamtąd tego, co byłoby najważniejszem, a mianowicie systemu wykładowego *trivium* i *quadrivium* i programu zajęć w szkołach średniowiecznych; nie podaje również wyników reformy szkolnictwa — wprowadzenia szkół parafialnych.

Na granicy średniowiecza i czasów nowożytnych stoi humanizm, doniosłość tego prądu kulturalnego w sprawach oświaty nie jest jednak przez autora dostatecznie uwidocznioną. Tak np. niema tu słowa o założeniu Akademii Krakowskiej; za to rozwodzi się autor nad listem Elżbiety królowej o wychowaniu królewicza — zresztą najzupełniej słusznie.

W XVI wieku wymienia Lorichiusa, Erazma Glicznera, Marcina Kwiatkowskiego, Antoniego Sznebergera, a także charakteryzuje poglądy pedagogiczne Andrzeja Frycza Modrzewskiego i Mikołaja Reja—jednakowoż niezupełnie dostatecznie. Za materyał np. do Reja służy mu tylko „Żywot", a zwłaszcza jego księga pierwsza (w „Wizerunku" możnaby odnaleźć również niemało szczegółów do tego przedmiotu), a najważniejszej podstawy etyki Rejowej o panowaniu rozumu i cnoty nad zmysłami, znajdującej praktyczne zastosowanie w pedagogii, nie wykazał.

Nie uważamy również za dostateczny obraz owego olbrzymiego przewrotu w dziejach naszego szkolnictwa, jaki datuje się u nas

od chwili kasaty Jezuitów i ustanowienia Komisyi Edukacyjnej, a także z wprowadzeniem nauk ścisłych do programu szkolnego. O zasługach Konarskiego np. i Collegium Nobilium—wzmianka, toż i Korpusie Kadetów; to stanowczo zamało.

Stan szkolniotwa w wieku XVII i pierwszej połowie XVIII kreśli p. Doliński słowami ks. Kitowicza; dalej charakteryzuje zasługi pedagogiczne ks. Antoniego Popławskiego, Adama Jerzego Czartoryskiego, Tadeusza Czackiego, i wreszcie nader obszernie Jędrzeja Śniadeckiego, jako autora „O fizycznem wychowaniu dzieci"; jest to parafraza dawniejszej pracy p. Dolińskiego p. t. „Jędrzej Śniadecki, jako naturalista i pedagog" (1875).

Praca p. Dolińskiego ma przeważnie charakter kompilacyjny i nie może rościć pretensyi do studyów samodzielnych. Widzieliśmy, że w łańcuchu dzieł, poświęconych pedagogii w naszej literaturze, i ludzi, mających większy lub mniejszy wpływ na sprawy wychowania w naszej przeszłości, brak tu nader ważnych ogniw. Autor nie wspomniał ani słówkiem np. o znakomitem dziele Szymona Maryckiego „De scholis seu academiis" (1551), pomija zasługi Grzegorza Piramowicza, Onufrego Kopczyńskiego na niwie pedagogii, nie wspomina o Krasickim, chociaż jego „Pan Podstoli" zawiera tyle zdrowych i rozumnych rad, któreby i teraz mogły znaleźć zastosowanie i t. d.

Przytem brak p. Dolińskiemu szerszego poglądu na procesy kulturalne w dziejach umysłowości europejskiej, które zawsze muszą odzwierciedlić się i w poglądach na sprawy wychowania. Scholastycyzm wieków średnich, humanizm wieku XV — XVI, reakcya XVII, krytycyzm XVIII nie znajdują u niego dość dosadnego i jędrnego określenia, chociażby przynajmniej o tyle, o ile prądy te wpływały na pedagogię i szkolnictwo.

Tak więc praca p. Dolińskiego jest nie tyle wyczerpującem studyum, ile raczej szeregiem sylwetek ludzi i dzieł: świadczy ona, że kwestya wychowania leży autorowi na sercu, że autor poświęca jej całą duszę, żywo interesując się rozwojem młodzieży nie tylko umysłowym, ale i fizycznym, na którego zaniedbanie, jako specyalista-lekarz, patrzy z niekłamanym żalem.

W zakończeniu swego dziełka autor zapowiada jego dalszy ciąg—zarys dziejów pedagogii w bieżącem stuleciu. Przyjmiemy go z największą wdzięcznością; niechaj za pośrednictwem „Biblioteki dzieł wyborowych" rozpowszechni wśród szerszych warstw ludności zasady zdrowej, wszechstronnej pedagogii i budzi drzemiące

sumienie tych, którzy mają na pieczy wychowanie — rodziców i nauczycieli.

Jeszcze słówko co do „Biblioteki dzieł wyborowych"; czy staranniejsza korekta jest absolutnie niemożliwą? czy godzi się *quadrivium* nazywać *guadrivium* (str. 28), zamiast *radicis* pisać *rodicis* (str. 34), ks. kuratora wileńskiego nazywać *Czartoryjskim* (str. 107), a kilka wierszy wyżej ojca jego *Czartoryskim* (str. 106) i t. d. Podkreślamy to, gdyż podobne omyłki spotykamy we wszystkich niemal tomach „Biblioteki". *H. Galle.*

Artur Gruszecki. Tuzy, powieść współczesna, wydanie drugie. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1900, 8-o, str. 362.

„Tuzy“ to jedna z pierwszych powieści autora „Szarańczy“, która zwróciła na niego baczniejszą uwagę ogółu (1893). Obecnie ukazuje się powtórne jej wydanie, świadczące, że w ciągu ostatnich sześciu lat talent p. Gruszeckiego wyrobił się znakomicie i spotężniał. Ale już i w „Tuzach" spoczywają ziarna wielkiego talentu spostrzegawczego, który w następnych powieściach tak świetnie się rozwinął. Nie wszystkie wprawdzie postacie posiadają tu właściwą kreacyom p. Gruszeckiego plastykę i śmiałość konturów, a także jaskrawość barw, daleką od wszelkich półświateł i półcieniów; wiele bardzo z występujących tu figur to tylko zlekka naszkicowane sylwetki, ale ogólne tło nakreślone tu zostało bardzo umiejętnie. Owa walka „tuzów" prowincyonalnych—właścicieli ziemskich i zarazem plantatorów buraków, która tu stanowi główną oś intrygi, walka, w której w myśl zasady *à la guerre, comme à la guerre* nie przebiera się w środkach, odtworzoną tu jest wyraziście i śmiało. Śmiało, bo p. Gruszecki posiada odwagę mówienia braci szlachcie prawdy w oczy bez żadnych ogródek, nic nie skrywając i nic nie łagodząc. Okazuje się stąd, jak na dłoni, cała nicość moralna tego odłamu naszego obywatelstwa, który w pogoni za groszem stracił poczucie moralne i to nawet, co mu przez długie wieki za moralność stało, poczucie honoru szlacheckiego.

Na pierwszy plan wysuwa się typowy przedstawiciel tej gorączki złota, Edward Wirecki—człowiek, jakich wiele, nie gorszy i nie lepszy, jak inni. Żonę zdradza dla zalotnej Francuzicy, służbę tyranizuje, chłopów wyzyskuje, jak może, byle rubla, byle kopiejkę zarobić. Gotów i słowo szlacheckie złamać, i przyjacielowi chorego

konia za zdrowego sprzedać, i siostrę żony skrzywdzić, i z ciężkiego położenia kuzyna skorzystać, by wymódz na nim jak najdogodniejsze dla siebie warunki dzierżawne — a jednak nie jest to człowiek ani zły, ani przewrotny.

O wiele słabiej wypadł Konstanty Garliński, szlachetny ideolog, bawiący się na wsi w antropologię, marzący o unormowaniu stosunku obywateli do służby i najemników i naturalnie w swoich zacnych aspiracyach zjednoczenia okolicznego obywatelstwa pod wspólnemi humanitarnemi hasłami zawodzący się najokrutniej. Nie dla niego miejsce wśród „tuzów" parafialnych! Inne jeszcze postacie, jak rozrzutnik i hulaka Ryszkowski, dyrektor cukrowni Maniszewski i cały tłum plantatorów, zbierających się na naradę u Garlińskiego, nie wychodzą po za obręb ogólnikowości.

To samo, w znaczniejszej jeszcze mierze, można powiedzieć o żeńskim personelu „Tuzów"; już to postacie kobiece zawsze u p. Gruszeckiego odznaczają się mniejszą plastyką.

Co do intrygi miłosnej (Garliński i Stasia, owa siostra p. Wireckiej), to jest ona nie dość organicznie wcielona w akcyę pieniężno-burakową powieści i stanowi tylko pewne urozmaicenie „Tuzów", nie wywołując żadnych poważniejszych komplikacyi i zawikłań, chyba to tylko, że Wirecki chciał ją wydać za syna potentata zaściankowego, wyblakłego i przeżytego hulakę; ale Stasia, doszedłszy do pełnoletności, naturalnie, postawi na swojem, zrzekłszy się nawet przypadającej na nią części rodzinnego majątku, ku wielkiej uciesze swego szwagra, dla którego myśl o potrzebie oddania jej połowy Krzywca stanowiła zawsze duszącą zmorę.

„Tuzy" obfitują wreszcie w piękne obrazki natury, np. opis wczesnego ranka i początku dziennych prac gospodarskich.

h.

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Franciszek Holtzendorff.* **Znaczenie opinii publicznej w życiu państwowem.** Warszawa, wydanie Bronisława Natansona, skład główny w księgarni J. Fiszera, 1900, 8-o, str. 85.

We wstępie autor charakteryzuje zapatrywania uczonych i filozofów na rolę, jaką opinia publiczna odgrywa w życiu społecznem: Blüntschlego, Schäffego, Hegla, Vica i innych. Dalej kreśli historyę opinii publicznej i jej wpływu na społeczeństwo w starożytnej Grecyi, zwłaszcza w Atenach (demokracya ateńska), w Rzymie republikańskim i cezarowym, kiedy uległa ona zupełnemu zanikowi wobec płaszczenia się przed wszechpotężną osobą Cezara i w wiekach średnich, kiedy rozbiła się na opinie poszczególnych stanów. Od końca wieków średnich trzy ważne czynniki wpływają na podniesienie opinii publicznej: humanizm, wynalazek druku i zrzeszenie się wielkich państw nowożytnych. W rezultacie czynniki te doprowadzają do rozkwitu opinii publicznej w wieku XVIII; co do wieku XIX, to brak mu tych ideowych dążeń, jakie ożywiały twórców opinii publicznej wieku Woltera i Rousseau'a.

Odpowiadając na pytanie, czem jest opinia publiczna, autor rozpatruje stosunek jej w przeciwstawieniu do opinii indywidualnej, do organów rządowych, do opinii stronnictw politycznych, a także rzeczoznawców, wreszcie pojedyńczych warstw i stanów; i okazuje się, że opinia publiczna, jako wytwór społeczny i samorzutny, jest czemś odrębnem od tych wszystkich czynników.

Następny roździał traktuje o przedmiocie i treści opinii publicznej, wyjaśniając, jakie przedmioty, zjawiska i instytucye mogą ulegać tej opinii: a więc rząd i jego polityka, tak zewnętrzna, jak i wewnętrzna, sądownictwo i wymiar sprawiedliwości, kościół i t. d. Ciekawym jest roździał VI, zatytułowany „Jak się opinia publiczna tworzy": w społeczeństwach pierwotnych opinia zbiorowa przeważa nad jednostkową i tłumi ją niemal zupełnie, w państwach starożytnych wyrobiła się ona na podstawie wzajemnego porozumiewania się obywateli. Co zaś do świata nowożytnego, to sprawa wyśledzenia jej genezy i rozwoju staje się o wiele trudniejszą; to jedno tylko pewne, iż właściwych twórców i propagatorów opinii publicznej wskazać niepodobna: tworzy się ona, że tak powiemy, gromadnie, tembardziej, że ułatwione środki komunikacyi nie pozwalają jej zamknąć się w ciasnych granicach jakiegoś miasta, które w świecie antycznym stanowiło i państwo i społeczeństwo zarazem.

Ostatnie dwa rozdziały tego ciekawego dziełka poświęcono stosunkowi prasy i rządu do opinii publicznej. Prasa w żadnym razie nie może uchodzić za wykładnik tej opinii, gdyż w obecnych czasach dzienniki albo służą celom osobistym zbogacenia się wydawców, i wtedy o wierne odtwarzanie prądów społeczne nie chodzi wcale, albo są organami partyjnymi i w takim razie opinii całego narodu

również reprezentować nie mogą. Przytem wobec obniżenia się poziomu moralnego współpracowników i ich bezimienności, praktykowanej w większości wypadków, przez co usuwają się z pod kontroli etycznej społeczeństwa, prasa europejska, niestety, coraz bardziej oddala się od swego ideału.

Jak państwo ma zachować się wobec opinii publicznej, oto kwestya, która zamyka niniejszą broszurę. Zadanie mężów stanu jest pod tym względem niełatwe: wśród mnóstwa sprzecznych sądów, zapatrywań, poglądów odszukać te, które noszą na sobie znamiona prawdziwej opinii ogółu. Parlamentaryzm nie może dać pod tym względem niezbitych danych, gdyż większość parlamentarna nie zawsze jest opinii publicznej wyobrazicielką. Prawdziwy mąż stanu winien liczyć się z tą opinią, ale nie ulegać jej biernie; owszem wpływać na nią przez rozpowszechnienie wśród społeczeństwa znajomości nauk społecznych. Wykład illustrują przykłady przeważnie z życia parlamentarnogo Anglii.

= **Biblioteka Mrówki.** Wydawnictwo „Biblioteki Mrówki“ dobrze zasłużyło się naszej literaturze i czytelnictwu. Wtenczas, kiedy o „Bibliotece dzieł wyborowych“ i bezpłatnych książkowych dodatkach do gazet nie śniło się jeszcze naszemu społeczeństwu, skromna „Biblioteka Mrówki“ zdążyła już puścić w świat trzy setki dziesięciokopiejkowych książeczek, z których znaczna część jest już zupełnie wyczerpaną. A o wartości wydawanych utworów świadczą takie imiona, jak: Bogusławski, Brodziński, Byron, Czacki, Fredro, Goethe, Goszczyński, Ibsen, Klonowicz, Kochanowski, Kornel, Krasicki, Malczewski, Mickiewicz, Modrzewski, Naruszewicz, Niemcewicz, Pasek, Rej, Schiller, Skarga, Słowacki, Śniadecki Jan, Syrokomla, Szekspir, Szymonowicz, Wilkoński, Zabłocki, Zieliński, Zimorowicze, Żółkiewski. W ostatnich czasach wydawnictwo to ożywiło się znacznie. Do wydanych uprzednio przybyły dwa dramaty Strindberga „Ojciec“ i „Panna Julia“ w przekładzie Ignacego Suessera, Aleksego Kurcyusza, „O kwestyi kobiecej“, Wita de Maupassanta „Nowelle“, przełożone przez Włodzimierza Bugiela, Ludwika Szczepańskiego „Pieśni i hymny“, Henryka Ibsena „Dzika kaczka“ w tłómaczeniu dr. Antoniego Górskiego, Karola Dickensa „Ciężkie czasy“, przełożone przez panią W. Zyndram-Kościałkowską, wreszcie Buloza „Krótki podręcznik języka włoskiego“. Życzyćby nale-

żało, aby „Biblioteka Mrówki“ doczekała się takiego jubileuszu, jaki niedawno święciło podobne wydawnictwo niemieckie „Biblioteka Reclama”. Nadmieniamy, że „Bibliotekę Mrówki“ (wychodzącą we Lwowie) otrzymała na skład główny księgarnia, E. Wendego i Sp. która w ostatnich czasach coraz to żywszą rozwija działalność.

= *K. Laskowski.* **Dla zabicia czasu, humoreski.** Aktor na zagonie.—Stopa procentowa.—Promienie Roentgena.—Biegły w piśmie, Warszawa, nakładem księgarni i składu nut Stanisława Sadowskiego, 1900, 8-o, str. 100. Zawartość tomiku usprawiedliwia w zupełności tytuł. Mają to być humoreski, ale brak im tego, bez czego humoreska traci podstawę swoją nie tylko literacką, ale nawet leksykologiczną—h u m o r u. W samej więc rzeczy tylko „dla zabicia czasu“ mógł autor pisać te obrazki bez talentu i bez najmniejszej wartości literackiej; „dla zabicia czasu“ również czytelnik weźmie do ręki jego książeczkę i odrzuci ją wnet z niechęcią. Ażeby nie powiedziano o nas również, że „dla zabicia czasu“ rozwodzimy się nad rzeczą bewartościową, stawiamy kropkę, życząc autorowi i bardziej jeszcze czytelnikom, ażeby nam mniej czasu elukubracyami swemi zabijał, bo „czas to pieniądz“.

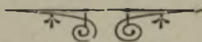
= *Otton Gaupp.* **Herbert Spencer.** Przełożył z niemieckiego Dr. A. Grosglick. Wyd. Przeglądu Filozoficznego. Z zapomogi Kasy Pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia D-ra Józefa Mianowskiego, Warszawa. E. Wende, 1899, str. VI i 113. Nie znajduję na razie odpowiedniego określenia dla wymienionej pracy. Najwłaściwiej bodaj byłoby nazwać ją rozumową bibliografią pism Spencera. Autor na pierwszych 18 stronach daje zarys psychologicznej biografii myśliciela angielskiego, na pozostałych—chronologicznie jego artykuły, starając się przytem wykazać wewnętrzną ich łączność. Najdłużej zatrzymuje się oczywiście na zasadniczem dziele Spencera, nie noszącem, co prawda, ogólnego tytułu, niemniej jednak stanowiącem jednolitą całość systematu filozoficznego. Systemat ten składa się z następujących prac: „Pierwsze Zasady”, „Zasady Biologii”, „Zasady Socyologii”, „Zasady Moralności”; niektóre z nich doczekały się już przekładu na język polski. Autor nazywa we wstępie Spencera mężem, który „świadomości naszej epoki nadał wyraz najjaśniejszy i najspójniejszy” i zgodnie z tem

stara się dalej wykazać na każdym kroku tę jedność, tę spójność w systemacie Spencera. A jest nią, jak wiadomo, idea rozwoju. Porównywając ten systemat filozoficzny Spencera do rozległej, a ciekawej krainy, ze swojej pracy pragnie Gaupp uczynić coś w rodzaju „Bädekera", który mógłby ułatwić podróżnikowi oryentowanie się i nieprzeoczenie najciekawszych rzeczy w zwiedzanym kraju. Przedsięwzięcie to jednak, jak sam autor zaznacza, ryzykowne, niesumiennie zostało urzeczywistnione. Broszura ma bezwątpienia wartość dla tych, którzy Spencera czytać nie mogą, chociaż mogłaby być bardziej wyczerpującą i nieco popularniejszą. Dla tych zaś, którzy znają lub mogą poznać Spencera, ma ona wartość jedynie chyba, jako bibliografia. *W. M.*

— *Stanisław Chełchowski.* **Nasze wzorowe gospodarstwa włościańskie** dla użytku gospodarzy rolnych. Warszawa, 1899. — Broszurka niniejsza jest jednym z niesłychanie rzadkich przyczynków do stanu rolnictwa naszych włościan; streszcza ona rezultat ostatniego konkursu wzorowych gospodarstw włościańskich, urządzonego, jak zwykle, przez Gazetę Świąteczną w 1897 roku. Nad zasługą Gazety Świątecznej, kasy Mianowskiego (która książeczkę wydała) i autora rozszerzać się tu nie będziemy, są one zbyt wyraźne. Zaznaczymy tylko, że w książce zawiera się opis nagrodzonych pięciu gospodarstw wzorowych: Szymona Zaremby w Zakrzewiu pod Dobrzyniem, Piotra Żaka z Leszczyny pod Urzędowem (pl. Janowski), Ignacego Kobuza w Kociołkach pod Kozienicami, Mateusza Woźnickiego z Wólki Grodziskiej (pt. Błoński), Feliksa Kazimierskiego z Gaźni pod Łowiczem, przyczem podano dochody i wydatki w gotowiźnie Zaremby za 1896/7, Żaka za 1891/6, Kobuza za 1894/6; Kazimierskiego za 1896. Prócz dużej wartości dla ekonomisty książeczka służyć może, jako podręcznik—metodą poglądową—dobrego gospodarstwa rolnego na małej własności. W tym charakterze powinna znaleźć najszersze rozpowszechnienie. Dla zachęty dodamy, że książeczkę zaopatrzono w illustracye — nagrodzonych gospodarzy i ich zagród,—i że w oprawie kosztuje 15 kopiejek. *S. P.*



Bibliografia.



1. A. Czasopisma. **Rozprawy Akademii Umiejętności wydziału historyczno-filozoficznego;** serya II tom XII (ogólnego zbioru tom XXXVII): W. Kętrzyński „Przyczynki do historyi Piastowiczów i Polski Piastowskiej“, S. Kętrzyński „Gal--Anonim i jego kronika“, W. Kętrzyński „Najdawniejsze żywoty św. Wojciecha i ich autorowie“, F. Piekosiński „Goście polscy na soborze konstancyeńskim“, A. Winiarz „Polskie prawo majątkowe małżeńskie w wiekach średnich“, A. Lewicki „Przymierze Zygmunta, w. ks. Litewskiego, z królem rzymskim Albrechtem II“, S. Wróblewski „Posiadanie na tle prawa rzymskiego“.

= **Rozpraw Akademii Umiejętnosci Wydziału filologicznego** s. II t. XIV (ogólnego zbioru t. XXIX) zawiera: ks. Jana Nepomucena Fijałka „Studya do dziejów uniwersytetu krakowskiego i jego wydziału teologicznego w XV wieku“, J. Baudouin de Courtenay „Strona językowa oryginału polskiego listu „Dymitra Samozwańca“ do papieża Klemensa XIV z dnia 24 kwietnia 1604 r.“, Al. Bruecknera „Spuścizna rękopiśmienna po Wacławie Potockim część II“. „Maksymiliana Kawczyńskiego „Życie Apolejusza Platończyka z Madaury“.

= **Rozprawy Akademii Umiejętności wydziału matematyczno-przyrodniczego** s. II t. XVI (ogolnego zbioru t. XXXVI): V. Kulczyński „Symbola ad faunam Aranearum Austriae inferioris cognoscendam“, M. P. Rudzki „O pewnem zjawisku, podobnem do dyspersyi optycznej“, G. Brokeles „O lokalizacyi dróg dośrodkowych (czuciowych) w rdzeniu pacierzowym psa i królika, w wysokości górnej części lędźwiowej i dolnej piersiowej, oraz badanie nad anatomią i czynnością szarej substancyi“, E. Strumpf „Z histologii sosny“, W. Heinrich „O wahaniach natężenia zaledwie dostrzegalnych wrażeń, optycznych i akustycznych“, A. Rosner „W sprawie etyologii złośliwego nowotworu nabłonków kosmkowych (t. zw. deciduoma malignum)“ J. Rostafiński „O maku (papaversomniferum L.) i jego hodowli w Polsce“, V. Kulczyński „Arachnoidea opera Rev. E. Schmitz collecta in insulis Maderianis et in innelis Selvages dictis“.

= **Biblioteka Warszawska** w zeszycie październikowym drukuje: Wojciecha Szukiewicza „W ślady mistrza“, E. Lipnickiego „Kronika Wiedeńska“, Wład. Bogusławskiego „Teatra Warszawskie“, Ludwika Krzywickiego „Pierwotne rozmiary społeczeństwa“.

= **Przegląd Filozoficzny** roku II zeszyt IV zawiera prace oryginalne: Wł. M Kozłowskiego „Psychologiczne źródła niektórych praw przyrody“, dr. Z. Balickiego „Socyologiczne podstawy użyteczności“ dr. St. Grabskiego „Wstęp do metodologii ekonomii politycznej“.

= **Przegląd Polski** w listopadzie r. b. zamieścił: Starży „W domu naszym, dramat w 5-ciu aktach“. E. Lipnickiego „Epidemia anarchizmu“. A. S. „Antonio Fogazzaro, jako poeta, powieściopisarz i myśliciel“.

= W listopadowym zeszycie **Przeglądu Powszechnego** znajdujemy prace następujące: prof. A. Mazanowskiego „Młoda Polska w powieści i poezyi. 2. Nasi naturaliści“. prof. dr. Wład. Pilata „Podstawy filozoficzne i socyologiczne Marksowskiego socyalizmu“. T. W. „Z tajemnic Bastylii“.

= **Wisła** tom XIII, zeszyt VI (czerwiec): J. Kibort „Wierzenia ludowe w okolicach Krzywicz, w pow. Wilejskim“, „K. Kietlitz-Rayski „Kilka bajek i śpiewek z Małopolski“. Z. A. K. „Dwie pieśni, odpowiadające bajkom Grimma (158 i 159)“. M. R. Witanowski „Z wycieczki na Podlasie“. M. E. Brensztein „Kilka podań żmujdzkich“, Maryan Wawrzeniecki „Wiara w sny u Turków“.

= IV. zeszyt **Ludu** z r. b., organu Tow. ludoznawczego we Lwowie (Zimorowicza) zawiera następujące artykuły: dr. St. Eliasz Radzikowski „Z folklorystyki słowackiej“. dr. Nadmorski „Słowińcy i szczątki ich języka“, Józef Schnaider „Z kraju Huculów“, Józef z nad Wiszenki „Niektóre wierzenia ludowe w Rudkach“ Jan Ptaśnik: „Podania i wierzenia Kaszubskie a nasze“. tenże „Trzy podania z powiatu bocheńskiego“. Jan Jakóbiec „Dyabeł w pojęciu ludowem“. Jan Świętek „Przyczynek do Hagady“ dr. Alfred Landau „Uwagi do tego artykułu“, Z. Strzetelska-Grynbergowa „Podanie o Uryczu iKorczynie“, „Rozmaitości“ dr. Franciszka Krčeka i Stanisława Zdziarskiego.

= **Życie** w № 19—20 z dnia 1 listopada r. b. drukuje Stan. Przybyszewskiego „Ku czci mistrza“. J. Aug. Kisielewskiego „Sonata, kompozycya dramatyczna w 5 częściach (fragment)“, M. Maeterlincka „Sinobrody i Ariana, czyli daremne wyzwolenie, dramat w 3-ch aktach“ oraz liryki P. Klimowicza, St. Brzozowskiego, H. Zbierzchowskiego. Wład. Jarzębskiego.

B. Filozofia. **Jezieniecki M.** Kwestya platońska, Lwów, 1899.

C. Socyologia. **Ciszewski Stan.** Wróżda i pojednanie, studyum etnologiczne, z zapomogi kasy im. J. Mianowskiego. Warszawa, 1899.

= **Gumplowicz Ludwik** dr. prof. The outlines of sociology, translated by Frederick W. Moore, assistant professor of history and political economy in Vanderbit Uniwersity Nashville Tenn, Philadelphia, 1899.

= **Lang Andrew.** Mitologia (wierzenia pierwotne), z encyklopedyi brytańskicj przełożył A. L., Warszawa, 1899.

= D. Historya. **Aksakow J.** Polskij wopros i zapadno-russkoje dieło Jewrejskij wopros. 1860—1866, statii iz Dnia, Moskwy, Moskwicza i Rusi, izdanije 2-je impier. publ. biblioteki. Petersburg. 1899.

= **Askenazy Szymon.** Przymierze polsko-pruskie, Lwów, 1900.

= **Bielska Marya.** Historya pedagogii, wyd. 2-gie, Lwów, 1899.

= **Cziczeryn Boris.** Polskij i jewrejskij woprosy, otwiet na odkrytyje pisma N. K. Rennenkampfa, Berlin, 1899.

= **Eliasz W. L.** Ubiory w Polsce, III, Kraków, 1899.

= **Giedroyć Fr.** dr. Mór w Polsce w wiekach ubiegłych, zarys historyczny, Warszawa, 1899.

= **Godlewski M. ks.** Archeologia biblijna, oparta na ostatnich odkryciach na Wschodzie, t. I, arkusz 11, Warszawa, 1899.

= **Kętrzyński Wojciech W.** O Słowianach, zamieszkujących niegdyś między Renem a Łabą, Salą a czeską granicą, Kraków, 1899.

= **Kucharzewski Feliks.** Z dziejów techniki, Leonard Vinci-Jerzy Stephenson—S. Benezet, Stephenson i Eiffel—Sławni garncarze—Filip de Girard, Warszawa 1900.

= **Potocka hr.** Memoiren, 1794—1820, veröffentlich von Casimir Stryjeński, nach 7-ten francözischen Auflage bearbeitet von Osk. Marschall von Biberstein, Leipzig, 1899.

= **Prochaska Ant.** dr. O dacie ugody małopolskiej ze szlachtą za biskupstwa Zbigniewa Oleśnickiego, Kraków, 1899.

= **Szelągowski Adam.** Chłopi-dziedzice we wsiach na prawie polskiem do końca XIII w. (studya nad historyą prawa polskiego, wydawane pod redakcyą Oswalda Balzera, tom I, zesz. 2), Lwów, 1899.

= **Szelągowski Adam.** Paweł Piasecki, historyk polski XVII w., cz. I, życiorys i charakterystyka ogólna pisarza, Lwów, 1899.

E. L i t e r a t u r a. **Abicht Rudolf dr.** Życiorys Andrzeja Zbylitowskiego (odbitka z X tomu Archiwum dla historyi, literatury i oświaty w Polsce), Kraków, 1899.

= **Celichowski Z.** dr. Polskie indeksy ksiąg zakazanych, Kraków, 1899.

= **Gawlikowski Johann.** Beiträge zu einer Biographie des Nikolaus Rej von Nagłowice: I. Die Vorfahren des Nikolaus Rej, II. Seine Jugendjahre, (odbitka ze sprawozd. gimn.) Brody, 1899.

= **Hahn Wiktor** dr. Wybór poematów łacińskich Sz. Szymonowicza ze wstępem i objaśnieniami, Kołomyja, 1899.

= **Hoesick F.** Szkice i opowiadania, Warszawa, 1899.

= **Passendorfer Ar.** prof. Trzy tysiące systematycznie uporządkowanych tematów do polskich wypracowań piśmiennych i ćwiczeń ustnych uczniów gimnazyalnych, szkół realnych i seminaryów nauczycielskich (sprawozdanie XV c. k. gimn. w Jarosławiu za rok szk. 1899), Jarosław, 1899.

= **Pini Tadeusz.** Studyum nad genezą „Irydyona“ Zyg. Krasińskiego, Lwów, 1899.

= **Wierzbowski Teodor.** Dobrego zdrowia rządzenie 1532 i Nauka ku ustrzeżeniu od zarażenia powietrza 1543, (Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich XVI—XVIII w., zeszyt XV), Warszawa, 1899.

F. M a t e m a t y k a i p r z y r o d o z n a w s t w o. **Lewenberg Alfons.** Geometrya rzutowa (tworów pierwiastkowych), Warszawa, 1899.

= **Sawicki Jan Stella** dr. Inteligencya u roślin, Lwów, 1899.

G. Beletrystyka. **Barański Fr.** W dzień Bożego Narodzenia, kolędy Lwów, 1899.

= **Jeż T. T.** Ci i tamci, powieść z czasów kampanii węgierskiej (Biblioteka dzieł wyborowych № 106—108), Warszawa, 1899.

= **Kaczkowski Zygm.** Wybór pism. I. Warszawa, 1899.

= **Kosiakiewicz Wincenty.** Hallali! powieść, Warszawa—Kraków, 1899.

= **Potocki Antoni.** (Jerzy Grot). Martosia i my, nowele, Lwów—Warszawa, 1900.

= **Sewer.** Wśród pokus, powieść (Biblioteka dzieł wyborowych № 104), Warszawa, 1899.

= **Szalum Alechem.** Muzykant, romans z życia żydowskiego, tłómaczył z żargonu Henryk Lew, Warszawa, 1900.

= **Zapolska Gabryela.** Z pamiętników młodej mężatki, Warszawa, 1900.

= **Żeromski St.** Opowiadania, wydanie II, Warszawa—Kraków, 1900.

H. Różne. **Kalendarz illustrowany** Józefa Ungra na rok zwyczajny 1900, Warszawa, 1900.

= **Karwicki Stanisław i Lutosławski Jan.** Przewodnik po ważniejszych zakładach rolniczo-naukowych, Warszawa, 1900.

= **Tchórznicki Józef** dr. Piekarnie warszawskie pod względem sanitarnym. Warszawa, 1899.

2. A. Filozofia. **Besser L.** Die menschliche Sittlichkeit. als sociales Ergebnis der monistischen Weltanschalung, Bonn, 1899.

= **Grimm Ed.** Das Problem Friedrich Nietzsches. Berlin, 1899.

= **Leusse P.** Etudes d'histoire ethnique depuis les temps préhistoriques jusqu'au commencement de la renaissance, 2 tomes, Strassburg, 1899.

= **Woltman L.** Der historische Materialismus, Darstellung und Kritik der Marxistichen Weltanschauung, Düsseldorf, 1899.

B. Socyologia. **Schücking W.** Der Regierungsantritt, eine rechtsgeschichtliche und staatsrechtliche Untersuhung, 1 Buch: Die Urzeit und die Zeit der ost. und westgermanischen Stammereiche, Leipzig, 1899.

C. Historya. **Dunand.** Histoire complète de Joanne d'Arc. 3 vol.. Toulouse, 1899.

= **Hillebrandt A.** Alt-Indien, Kulturgeschchtlichen Skizzen, Breslau, 1899.

= **Hillegas H.** Oom Paul's people: a narrative of the Britich-Boer troubles in South-Africa, with a history of the Boer, the country and its institutions, New-York, 1899.

= **Michael E.** Geschichte des deutschen Volkes vom 13 Jahrh. bis zum Ausgang des Mittelalters, 2 Bd., Religiös-sittliche Zustände, Erziehg. uud Unterricht während des 13 Jahrh., Freiburg 1/B., 1899.

= **Müller F. Max.** Auld lang syne, Zud ser., My Jndian Friends, New-York, 1899.

D. Literatura. **Achelis Th.** Grundzüge der Lyrik Goethes, Bielefeld, 1899.

= **Forschungen** zur neueren Litteraturgeschichte, hrsg. von F. Muncker, X—XI; Ettlinger: Leo Tolstoj, eine Skizze seines Lebens und Wirkens; Richter; Fredinand Freiligrath als Uebersetzer.

= **Huch R.** Blüthezeit der Romantik, Leipzig, 1899.

= **Otto A.** Bilder aus der neueren Litteratur, 3 Heft: Wilhelm Raabe, Minden, 1899.

= **Pniower O.** Goethes Faust, Zeugnisse und Excurse zu seiner Entstehungsgeschichte, Berlin, 1899.

E. Sztuki piękne. **Bock A.** Deutsche Dichter in ihren Beziehungen zur Musik: Klopstock, Wieland, Lessing, Schiller, Goethe, Herder, Jean Paul. Romantiker Hoffmann, Lenau, Heine, Grillparzer, Neue Ausg., Giessen, 1899.

= **Borinski K.** Das Theater, sein Wessen, seine Geschichte, sein Meister mit 8 Bildnissen, Leipzig, 1899.

= **Künstler-Monographien,** ein Verbind. m. Andern hrsg. von H. Knackfuss, XLI, Schmid Max: Klinger, Bielefeld, 1899.

= **Odrzywolski Sławomir.** Die Renaissance in Polen, Kunstdenkmale des XVI und XVII Jahrh., gr. Fol. (52 Taf. m 12 Seit., deutschem u. polnischem Texte), Wien, 1899 (Cena Mk. 25).

F. Matematyka i przyrodoznawstwo. **Carazzi D.** Manuale di tecnica microscopica, Milano, 1899.

= **Chesneau G.** Lois générales de la chimie, Beranger, 1899.

= **Damm P.** Die technischen Hochschulen in Preussen, eine Darstellung ihrer Geschichte und Organisation, nach amtlichen Quellen, Berlin, 1899.

= **Haeckel E.** Die Welträthsel, gemeinverständlichen Studien, Bonn, 1899.

= **Wollaston.** Darwinism and lamarckism, old and new, New-York, 1899.

= **Oswald W.** Grundriss der allgemeinen Chemie, 3 Aufl., Leipzig, 1899.

—*h*—

3. Przekłady z polskiego. **Stefana Żeromskiego** „Owoc zakazany" pojawił się w Nr. 36 tygodnika rosyjskiego „Siewier" w dobrym przekładzie p. N. N. Filipowa.

W Nr-ach wrześniowych czeskiego pisma „Samostatnost" napotykamy przekład artykułu prof. d-ra **Józefa Tretiaka** p. t. „Puszkin i Rosya". Tłómaczenia dokonał znany publicysta p. Jarosław Rozvoda.

„Pójdźmy za nim" **H. Sienkiewicza** ukaże się w tłómaczeniu francuskiem w „Petit Journal", dokonanem przez hrabinę Romanową Potocką.

Nowela **Zygmunta Niedźwiedzkiego** p. t. „Czyste ręce" została przetłómaczona na język niemiecki przez p. Stefanię Goldenring w znanym tygodniku wiedeńskim „Die Zeit" w Nr. 261.

Tom pierwszy romansu **H. Sienkiewicza** „Bez dogmatu" opuścił prasę w czeskiem tłómaczeniu J. J. Langnera w Pradze.

Ustęp z dzieła ks. **Wincentego Smoczyńskiego** p. t. „Zygmunt Szczęsny Feliński, arcybiskup metropolita warszawski", ukazał się w czeskiem tłómaczeniu Brzetysława Skalskiego w miesięczniku „Hlidka" w zeszytach 7—9.

Nowela **Elizy Orzeszkowej** p. t. „Sleczna Růža" została przetłómaczona na język czeski przez znaną tłómaczkę p. P. Matternową w piśmie dla spraw kobiecych „Żensky swiet" w Nr. 16.

W tłómaczeniu włoskiem p. Emmy Chludzińskiej wyjdą niebawem dwa tomiki nowel **H. Sienkiewicza** w sławnem wydawnictwie dzieł literatury europejskiej p. n. „Alba" (Jutrzenka).

Nr. 225-ty czasopisma „Hrvatska Domovina" przyniósł przekład „Jubilata" **Kazimierza Tetmajera.**

4. W zeszycie sierpniowym **Revue des deux Mondes** rozpoczęto druk powieści p. Małgorzaty Poradowskiej p. t. „Pour Noemi“. Akcya powieści rozgrywa się w okolicach Krakowa pod Bielanami, a w dalszym ciągu u stóp Karpat. Bohaterem jest młody galicyjski artysta malarz Andrzej Ostoja, a tłem prowincyonalne stosunki.

Włodzimierz Spasowicz ogłosił w sierpniowej książce **Wiestnika Jewropy** dwa swoje odczyty o Mickiewiczu, miane podczas zeszłorocznych jubileuszowych uroczystości w Charkowie.

Bulletin Polonais drukowało w roku 1899 pamiętniki jenerała Józefa Szymanowskiego z lat 1806—1814.

Revue scientifique wydrukowało odczyt znakomitego podróżnika Jana Dybowskiego o organizacyi wyprawy naukowej.

Docent petersburskiego uniwersytetu Stanisław L. Ptaszycki zamieścił w piśmie **Drewnosti**, trudy archeograficzeskoj komisyi imperatorskago moskowskago archeołogiczeskago obszczestwa“ (tom I zeszyt 3-ci, str. 441—456) obszerny artykuł p. t. „Kratkija swedenija o rukopisiach biblioteki grafa Chreptowicza w Szczorsach“.

M. Kwieciński wydał pracę p. t. „Görlitzer Wanderbuch im Gebiete der Oberlausitz, Nordböhmens und des niederschlesichen Berglandes“.

Czasopismo słowiańskie **Ljubljanski Zvon** przyniosło w zeszycie sierpniowym artykuł pióra prof. Romana Zawilińskiego p. t. „Przyczynek do biografii Emila Korytki“. Korytko mieszkał w Lublanie w latach 1837—1840 i był jednym z pierwszych, którzy rzucili się między lud słowiański w celu gromadzenia materyałów etnograficznych.

— Dr. Zofia Daszyńska zamieściła w zeszycie 1-ym **Slovanskiego Přehledu** artykuł o „Kółkach rolniczych“ w Galicyi.

— W **Annales medico-psychologiques** ogłosił p. Ksawery Pilcz nader interesujący artykuł o psychologii snu.

— Zeszyt 2-gi czasopisma **das litterarische Echo** z 15 października zawiera referat d-ra Józefa Flacha o przekładzie Szekspirowskiej „Burzy“, dokonanym przez hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, o artykule p. Antoniego Mazanowskiego p. t. „Młoda Polska“ i o artykułach niektórych, ostatnimi czasy pomieszczonych w **Ateneum, Kraju** i **Tygodniku Illustrowanym**.

5. **Zapyski noukowoho towarystwa im. T. Szewczenka**, wychodzące we Lwowie, przyniosły w tomie XXX recenzye prac: Tadeusza Korzona „Dola i niedola Jana Sobieskiego 1629—1674“, Adama Szelągowskiego „Paweł Piasecki, historyk polski XVII wieku“ i 25-go tomu „Rozpraw Akademii Umiejętności“ z wydziału historyczno-filozoficznego, a nadto w dziale „Miscellaneów“ przyczynek prof. Michała Kruszewskiego p. t. „Do historyi „ruskiego obrzędu“ w starej Polsce“.

— Ciekawe szczegóły o wykładach Mickiewicza w kollegium francuskiem w Paryżu zawierają wspomnienia A. Czumikowa, drukowane we wrześniowym poszycie miesięcznika **Russkaja Starina**. Autor ich był w roku 1842 słuchaczem Mickiewicza.

— Anneta Boneschi Ceccoli wydała we Florencyi pracę o Teofilu Lenartowiczu, która była już drukowana w **Rassegua nacionale**.

— Pismo czeskie **Nasz domov** zamieściło w n-rze 18-tym artykuł p. Bolesława Dolejszeka o Stanisławie Staszicu.

— Nader przychylną ocenę I-go tomu „Światowita“ znajdujemy w 4-ym zeszycie berlińskiego pisma **Zeitschrift für Ethnologie**.

— Paweł Bonnefon ogłosił w **Revue historique** za wrzesień i październik nader ciekawy materyał do historyi naszej z końca XVIII stulecia p. n. „Un mémoire inédit du Dumourier sur l'état de l'Europe en 1773“.

— Piękne studyum o Sienkiewiczu napotykamy w zeszycie 665 pisma włoskiego **Nuova Antologia**, skreślone przez p. T. Shaudy'ego. Tytuł tej pracy brzmi: „H. Sienkiewicz l'autore di „Quo Vadis“.

— Zeszyt październikowy **Russkiej Stariny** zawiera szereg artykułów bliżej nas interesujących, a więc N. K. Szildern „Stan królestwa Polskiego w 1861 r. 1862 r.“, tegoż autora rzecz o „Listach jenerała Gurewicza do *** w 1861 roku“ (str. 135—150) i P. M. Majkowa „Zapiski hrabiego Bennigsena o wojnie z Napoleonem 1807 roku“ (str. 213—229).

— Tygodnik rosyjski **Chronika Wschodu** podał w n-rze 37-mym obszerny ustęp z dzieła p. Karola Waliszewskiego **Pierre le Grand**, powtarzający sąd historyka o dwu za panowania Piotra Wielkiego wybitnych osobistościach pochodzenia żydowskiego, a mianowicie o Szafirowie i Derier'ze.

— Pismo rzymskie **Fanfulla della Domenica** zamieściła obszerną pracę Umberta Norsa o „Adamie Mickiewiczu“.

— Miesięcznik **Literaturno-naukowyj wiestnik**, wychodzący we Lwowie, przyniósł w zeszycie wrześniowym artykuł p. Włodzimierza Hnatiuka p. n. „de Polonorum in ukrainicis rebus ignorantia“ (str. 162—178), którego autor zarzuca naszym uczonym, a zwłaszcza historykom, zupełny brak znajomości mowy małoruskiej.

— **Czeský czasopis historicky** zamieścił w zeszycie 5-tym dłuższą rozprawę Franciszka Hybla p. t. „Najstarsze życiorysy św. Wojciecha“.

— We Wrocławiu wyszła z druku rozprawa p. Kruskego p. n. „Johannes a Lasco und der Sacramentstreit“.

Czasopismo czeskie **Litterarni listy** zamieściło w n-rach 19 — 20 recenzye następujących książek polskich: Selima „Z marzeń i życia“, K. Glińskiego „Losy“ i d-ra W. Hahna „Tło historyczne „Irydyona“ Z. Krasińskiego“, przez K. Krzivego.

— P. Flajszhaus wydrukował w n-rze 250 **Narodnich listów** ocenę „Historyi literatury polskiej“ P. Chmielowskiego.

— 42-gi zeszyt czasopisma francuskiego **Revue hebdomadaire** przyniósł artykuł pióra p. Henryka Gauthier-Villars p. t. „Le mariage de Marie Leszczinska. d'après des documents inédits“.

— Wydawnictwo **Sbornik istoriczesko-filolog. obszczestwa kn. Bezborodko** przynosi w tomie 2-gim rozprawę I. J. Kaszprowskiego p. n. „Borba Wasilija III Iwanowicza z Sigismundom I, Kazimirowiczem iz za obładanija Smolienskom (1507—1522)“.

St. Zdziarski:



Z żałobnej karty.

† Prof. Oskar Fabian

zmarł 27 ubiegłego miesiąca. Syn Szymona Fabiana, znanego autora „Farmacyi", przyszedł na świat w Nowym Dworze; po ukończeniu studyów uniwersyteckich na wydziale fizyczno-matematycznym został mianowany zrazu nauczycielem szkoły realnej we Lwowie, później prywatnym docentem na katedrze fizyki matematycznej w uniwersytecie krakowskim, profesorem nadzwyczajnym, w końcu w 1881 r.—zwyczajnym przy tejże katedrze: jednocześnie wykładał i na politechnice aż do roku bieżącego, kiedy nadwątlone zdrowie zmusiło go do porzucenia zajęć profesorskich.

Zmarły był członkiem kilku towarzystw naukowych, między innemi niemieckiej ces. Leopoldyńsko-Karolińskiej Akademii przyrodniczej w Halli, a także i Towarzystwa przyrodników polskich im. Kopernika, w którem przez dłuższy czas spełniał obowiązki prezesa. Rozprawy i studya naukowe prof. Fabiana dotyczą przeważnie jego specyalności, jak: „O zbieżności i rozbieżności szeregów" (1872), „Obliczanie wartości szeregów nieskończonych" („Pamiętnik Akademii um. Krak." 1873 r.), „O rozciągliwości i sprężystości lodu" (tamże, 1875), „Minimum prismatischer Ablenkung der Lichtstrahlen" (w „Repertorium der Physik", 1876), „O t. zw. czwartym stanie materyi" (1882), „Zarys mechaniki analitycznej" (1886).

W naszym miesięczniku ś. p. prof. Fabian umieścił bardziej popularny artykuł p. t „W Alpach i Tatrach" („Ateneum", 1888, t. III).

† Ludomir Ludwik Szczerbowicz-Wieczór,

znany literat i publicysta, autor kilku popularnych dziełek i rozpraw z dziedziny historyi i językoznawstwa, któremu się oddawał z zamiłowaniem, nauczyciel gimnazyów prowincyonalnych, w swoim czasie współpracownik „Gazety Polskiej". W „Ateneum" drukował rozprawę p. t. „Spinoza i jego nauka" (1877, tom II i III). Prócz tego znane są jego rozprawy o „Parmenidesie, filozofie z Elei, jego nauce i jej znaczeniu" (1868), „Badania porównawcze w dziedzinie języka" (1882) i wiele innych pomniejszych.

Próbował również ś. p. Szczerbowicz sił swoich i na niwie beletrystyki, jako autor dwu powieści historycznych „Syn królewski" i „Proteusz", oraz współczesnego obrazka p. t. „Z pamiętników Leonarda Szyczerki-Wolskiego".

Skromny swój, przez całe życie ciułany majątek zmarły zapisał gimnazyum polskiemu w Cieszynie, księgozbiorem zaś obdarzył „Bibliotekę Jagiellońską".

† Walery Kostrzębski

b. pracownik b. mennicy Warszawskiej, od lat 30 oddający się z zamiłowaniem studyom nad numizmatyką polską, autor kilku przyczynków do historyi monety naszej, jako to: „Uwagi nad wykopaliskami monet", „Dokumenty mennicze", „Mennictwo w Polsce", „O napisach otokowych", „Jan Thamm probierz, pełniący obowiązki mincmistrza w mennicy krakowskiej od 1655 do 1658 roku", a zwłaszcza najpoważniejsza i najgruntowniejsza praca p. t. „Błędne drogi w zbieraniu numizmatów polskich". Wszystkie te studya w znacznej części drukowane były w „Wiadomościach numizmatyczno-archeologicznych".

Po zmarłym pozostał znaczny zbiór monet polskich, oraz w rękopisie obszerny, przez ćwierć wieku mozolnie przygotowany katalog monet naszych od początku XVI wieku — praca, której całe życie poświęcił.

W kołach ludzi, interesujących się sprawami numizmatyki i archeologii, śmierć ś. p. Kostrzębskiego, cieszącego się powszechnie szacunkiem i sympatyą, jako człowiek zacny i uczynny, budzi żal prawdziwy.

Wydawcy: *Wł. Spasowicz* i *St. Łaguna.*
Redaktor: *Ignacy Chrzanowski.*

Дозволено Цензурою Варшава, 8 Ноября 1899 г.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA
KSIĘGARNI

Teodora Paprockiego i S-ki

w Warszawie, Nowy-Świat № 41.

Rb. kop.

Anatomia głowy ludzkiej wraz z szyją. Wykład poglądowy z tekstem objaśniającym przez dra med. M. Flauma i 5 drzeworyt. . . 1 20

Anatomia i Fizyologia organów płciowych kobiety. Fizyologia ciąży i porodu. Wykład poglądowy z tekstem objaśn. przez dra M. Flauma i 7 drzeworyt. 1 20

Breits dr., lekarz praktykujący w Berlinie. 100 rad dla nerwowych ze szczeg. uwzględnieniem neurastenii, hypokondryi i hysteryi — 25

Brownsford Antoni. Podręcznik do racyonalnego żywienia zwierząt gospodarskich. Drugie nowe opracowane wydanie 1 50

Chmielowski Piotr i **Grabowski Ed.** obraz literatury powszechnej w streszczeniach i przykł., 2 tom. 8 50
w oprawie . . . . 10 —

Choiński-Jeske Teodor. Bez wyboru. Opowieści jakich wiele . . . 1 —
— Na schyłku wieku. Studyum . 1 50
— Rozkład w życiu i literaturze. Studyum 1 35

Ciało człowieka. Wykład poglądowy anatomii człowieka z tekstem objaśniającym przez dra med. M. Flauma i 10 drzeworytami. Wydanie drugie dopełnione . 1 20

Dygasiński Adolf. Dramaty Lubądzkie. Powieść . . . . . . — 60
— Narzeczona z Ojcowa. Komedya ludowa w 3-ch aktach . . . 1 20
— Pióro. Powieść 1 60

Ellis Havelock. Mężczyzna i kobieta. Badania nad drugorzędnemi cechami płciowemi człowieka. Z angielskiego przełożył Feliks Wermiński 2 40

Flaum M. d-r. O wódce, piwie i winie. Odczyt . . . . — 08
— O życiu i śmierci. Odczyt popularno-naukowy . . . . . . — 25

Gliński Kazimierz. Z życia i fantazyi. Nowelle . , ... 1 20

Gomulicki Wiktor. Do niej i do niego. Pogadanki na temat małżeństwa — 40
— Obrazki weneckie . . . . . 1 —
— Zielony kajet. Szkice z ustronia 1 —

Rb. kop

Grot-Bęczkowska W. Bez woli. Powieść 2 50

Gruszecki Artur Rugiwojscy. Powieść współczesna 1 20

Guiraud Paweł. Opowiadania historyczne. Grecya. Życie domowe i publiczne Greków. Przełożył J. L. Popławski 1 50
— Opowiadania historyczne. Rzym. Życie prywatne i publiczne Rzymian. Przełożył J. L. Popławski 1 80

Hoffman Karol. Skazaniec. Obrazek na tle prawdziwego zdarzenia — 30

Jankowski Józef. Rytmy i rymy . 1 20

Junosza Klemens. Monologi z illust. F. Kostrzewskiego. Wydanie II. 1 20
— Monologi. Z illustracyami F. Kostrzewskiego Serya II . . . — 75

Kalendarz powszechny na rok 1900. Wydawnictwa rok XXII . . . — 20

Kobieta. Anatomia ciała kobiecego. Wykład poglądowy z tekstem objaśniającym przez dra med. M. Flauma i 6 drzeworytami 1 20

Konarski Fr. Metydyczna gramatyka języka polskiego . . . . — 60

Kośmiński Paweł. Poezye . . . . 1 —

Krzyżanowski Anatol. W więzach. Zbiór nowel: W więzach. Ocalony. Na rozdrożu. Ociemniała. Apostoł idei. Honor męski. W opałach. Bezładne kartki . . . 1 35

Lamb Karol. Powieści Szekspira, na tle jego dramatów i tragedyi. Przełożył A. Lange 1 80

Łętowski J. Dobrana para. Nowelle 1 —

Łopuszańska Marya. Na złotym szlaku. Opowieść z ubiegłych wieków 2 50
— Zmierzch czy świt? Powieść w 2 częściach 2 tomy 1 80

Machczyński Konrad. Mozaika wilcza, ułożona z młodzieńczych wspomnień przyjaciela, z rysunkami J. Ryszkiewicza . . . . 2 —

Mendès Catulle. Ryszard Wagner. Przełożył i biografią Wagnera opatrzył A. Lange 1 20

Oko ludzkie i organy pomocnicze. Wykład poglądowy anatomii oka, z tekstem objaśn. przez d-ra med. M. Flauma i 5 drzeworyt. 1 20

Rb. kop.

Peters F. ks. Wejście w świat młodej panienki. Niebezpieczeństwa moralne i środki zabezpieczające. Z oryginału niemieckiego podług III wydania przełożyła Zofia Slósarska . . . . . . — 50

Prel Karol du dr. Zagadka człowieka. Wstęp do okkultyzmu. Z niemieckiego tłómaczył F. Wermiński — 50

Prus Bolesław. Opowiadania wieczorne 1 80

Siemiński Lucyan. Wieczory w Ojcowie czyli Opowiadania Grzegorza o dawnych czasach Rzeczypospolitej Polsklej. Z 16 ryc. kop. 80, w kartonie rb. 1, w oprawie płóciennej 1 20

Sirko Wacław. Na kresach lasów. Opowiadanie . . . . 1 —

Strzemeska J. i **Werycho M** Wychowanie przedszkolne. Podręcznik dla wychowawców. Z licznymi drzeworyt. w tekście i 30 tablicami litografowanemi rb. 2 w kartonie. 2 25

Tatomir L. Dzieje Polski. Z 10 mapami i tablicami genealogicznemi wykazującemi rozległość państwa w rozmaitych okresach czasu rb. 1.50, w kartonie rb. 1.75, w oprawie płóciennej 2 25

Rb. kop.

Ufer Chr. Nerwowość i wychowanie dziewcząt w domu i szkole. — 60 Przełożył i opracował dr Mieczysław Goldbaum

Urzyn. Szesnaście obrazków . . 1 20

Valmiky. Ramayna. Życie Ramy. Starożytna powieść indyjska. Podług opracow. Hipolita Fauche, z francusk. przeł. A. Lange 2 40

Walewska Cecylia. Podsłuchane. Nowelle . . , ... 1 60

Wernic Henryk. Historya powszechna, opowiedziana i zaopatrzona pytaniami. I. Dzieje starożytne. Z tabl. chronol. . . . 1 —

— Historya powszechna, opowiedziana i zaopatrzona pytaniami. Część II. Wieki średnie. . . . 1 —

— Historya powszechna, opowiedziana i zaopatrzona pytaniami. Część III. Czasy nowożytne . . 1 —

Zagórski Włodzim. (Chochlik). Mój pierwszy dzik i inne nowelle . 1 50

— W XX. wieku. Fantazya humorystyczna . . . . — 60

Zapolska Gabryela. Z pamiętników młodej mężatki . . . . . . — —

Zeisel S. dr. Chemia (nieorganiczna i organiczna). Z niemieckiego przełożył dr. Flaum. Z 261 drzeworytami w tekście . . . . 6 —